

Warszawa w 1794 r.

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

WARSZAWA

W 1794 R.

Powieść historyczna

przez

B. Bolesławitę

Sunt lachrymae rerum....

Poznań.

Nakładem Tygodnika Wielkopolskiego,

1873.

Konwersja do formatu MOBI: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

*Bronisławowi Zaleskiemu
jako pamiątkę przyjacielską posyła
Autor.*

11 marca 1873.

Są w życiu narodów chwile gorączki i podbudzenia, które, nie patrząc na ich skutki, (bo te wielce różne bywają) same przez się wlewają nowe siły w całą społeczność, spotęgowują jej władzę, spajają i zbliżają ludzi i na długie lata zostawiają po sobie nie tylko pamięć przeżytych dni ale jakby woń uczuć, któremi rozkwitały.

Często po nich następują godziny pokuty i cierpienia, znużenia i wyczerpania — a mimo to jak iskrą elektryczną działa nawet wśród tego stanu przypomnienie przeszłości.

W dziejach naszego kraju takich chwil jasnych naprężenia, rozbudzenia, podniesienia ducha liczymy kilka w ostatnim stuleciu. Epoka sejmu czteroletniego, powstania kościuszkowskiego, krótki moment pierwszy wskrzeszenia Królestwa, rok 1812, 1830 i 1863 do nich należą. Każdy z tych momentów miał właściwy sobie charakter, ale wszystkie razem wzięte braterskimi rysy są do siebie podobne. Ludzie naówczas jakby siłą jakąś nie swoją, zaczerpniętą z tajemniczego źródła, mienili się, rośli, nabierali siły, szlachetniali i w ich życiu potem przeżyty rok także zostawał wiekuistą gwiazdą, ku której się wszystkie myśli zwracały.

Któż z nas nie znał tych niedobitków przeszłości, chodzących potem jak obcy wśród nie swojego świata i żyjących jedną godziną, w której się, skupiło całe ich życie?

Pamiętam, było to w szczęśliwych dniach młodości, poznałem na wsi w jednym z spokrewnionych z nami domów pana kapitana Syrucia. Był on pono dalekim jakimś kuzynem samej pani domu i, z tego tytułu nazywany przez nią wujaszkiem, przesiadywał na Litwie u państwa B.

Był to rodzaj rezydenta, ale tytuł krewnego i szacunek, jaki dlań mieli wszyscy, przykre to położenie czynił znośnym. Kapitan Syruc bardzo niechętnie pokazywał się w towarzystwie, zwłaszcza gdy w domu byli goście; że zaś dom ten w nich zawsze obfitował, rzadko go można było namówić do salonu. Zajmował parę pokojów w oficynie, miał rodzaj małego swego gospodarstwa, chłopaka do posługi, konia i wózek i w domu niemal jak gość wyglądał.

Mając mały kapitalik, nie potrzebował właściwie żadnej łaski, bo się z niego mógł utrzymać, — lecz w miasteczku nie rad był mieszkać, lubił ciszę i samotność; tu był panem swego czasu i kochał państwo B..., więc zgodził się na ofiarę pary pokojów w oficynie. Nie łatwo jednak pono do tego przyszło z razu i musiano pozwolić mu próbować tego życia, nim się z niem oswoił. Kapitan bał się wszelkiego rodzaju niewoli, poddaństwa, służebności, lękał się być rezydentem śmiesznym, jeszcze bardziej stać się komuś ciężarem i dopiero najmocniej przekonawszy się, iż mu tu będzie dobrze i ludziom z nim nie gorzej — osiadł stale w Wierzbowni.

Tak milczącego człowieka nie zdarzyło mi się w życiu spotkać... oszczędnym był w słowach aż do śmieszności, a niekiedy przez całe dni ledwie kto od niego parę wyrazów półgębkiem wyrzeczonych po cichu usłyszał.

Powierzchnowość była przyzwoita i miła... Na pierwszy rzut oka poznałeś starego wojskowego w dobrej wytresowanego szkole. W późnym już wieku trzymał się prosto, chodził krokiem mierzonym, choć nie bez pewnego wdzięku w poruszeniach, nosił się nadzwyczaj starannie i czysto, prawie elegancko i twarz miał poważną, serdeczną a miłą i słodczy pełną, jaka rzadko na starość po życiu zostaje. — Oprócz wyrazu pewnej wstydlivosti i obawy, gdy się w liczniejszym gronie znajdował,

nigdy się nie malowało na obliczu starego wojaka prócz tęsknego jakiegoś zamyślenia... Lubił dosyć czytywać, szczególnie rzeczy historyczne, ale czytał powoli — z uwagą, długo i, gdy mu się książka z pierwszych kart nie podobała, wolał już nic nie mieć do czytania jak się do niej przymuszać...

Zresztą żadnych szczególnych namiętności i nałogów nie miał — polował czasem, ale się nie zapalał do łowów, grywał nie tęskniąc za grą, jeździł konno nie pasjonując się do koni. Człowiek był widocznie zubożniały i wyżyty, choć to mu serca nie odjęło do ludzi i miłości ku nim.

Przywiązywał się do niego każdy, co dłużej z nim pobyl. On ze swej strony nie narzucał się nikomu, nie łatwy był do spoufalenia, chłodny na pozór, ale gdy raz do kogo przystał, choć słowami mu nie okazywał przyjaźni, czuć było, iż jej serce miał pełne.

W Wierzbowni nauczyli się już stosować tak do jego obyczajów, że mu jak największą zostawiano swobodę. Kapitan przychodził, gdy chciał, odchodził, gdy mu się podobało, wyjeżdżał, wracał a czasem tygodniami całymi, choć był w domu, nie pokazywał się we dworze. Miał w ciągu roku kilka takich napadów jakimś melancholii, w ciągu której od ludzi uciekał...

W poufałem zupełnie gronie i gdy go nie wyciągano na słowo, bo to był najgorszy sposób dopytania u niego czegokolwiek, gdy sam się powoli rozgadał, opowiadał w sposób bardzo miły przygody ze swojego życia i służby. Znał ludzi bardzo wielu, w przyjaźni był z najznakomitszymi i ze stosunków z nimi pozostały wspomnienia daleko żywsze niż innym. Chwytał znać stronę życia i fizyognomii prawdziwszą i głębiej umiał wnikać w charaktery. Ale te zwierzenia się jego półgłosem były rzadkie, ostrożne, bojaźliwe i lada najdrobniejsza przeszkoda, dysharmonijna nuta, niezręcznie wtrącone słowo... usta mu zamykało.

To też gdy kapitan mówić zaczął, milczało wszystko... bano się odetchnąć i słudzy nauczyli się chodzić na palcach.

Zamieszawszy w Wierzbowni, przywiązał się tu i do starszych i do dzieci. Szczególniej też je lubił... i nas, cośmy naówczas dorastali.

Młodzież była dlań jakby przedmiotem ciekawych studyów, przedsięwziętych widocznie z pewnym celem i myślą, bo szczególną zwracał uwagę na uczucia jej, na słowa, które objawić mogły żyjącą pamięć przeszłości kraju i obowiązków dla niego.

Z wyjątkiem tych nadzwyczajnych chwil rozbudzenia, rzadkiej rozmowy i uśmiechu Syruc prowadził życie samotne, zamknięte, spokojne i zwrócone więcej ku przeszłości niż ku teraźniejszości...

Mała gromadka ludzi zwabiała go czasem do dworu, od tłumu szczególnie wrzawliwego uciekał. W dniach imienin, w zapusty, w wigilią, pożegnawszy gospodarzów, wyjeżdżał gdzieś w okolicę i nie wracał, aż gdy się uspokoiło.

Dobyć z niego coś, gdy nie miał ochoty opowiadania, było niepodobieństwem... Na zapytania odpowiadał ruszaniem ramion, składaniem ust dziwnem a naostatku pospieszną ucieczką z placu.

Ja miałem do niego dosyć szczęścia, ale nigdy go o nic nie pytałem, mimo gorącej ciekawości... Chadzaliśmy razem na przechadzki w milczeniu, zbierali kwiatki, które lubił, patrzeliśmy siedząc w lesie na obalonych kłodach w zielone gąszcze, z po za których zachodzące niebo jaskrawo przebłyskiwało, i wracaliśmy do dworu czasem dopiero po dwóch godzinach medytacji, rozmawiając nieco żywiej.

Kapitan mówił (gdy mu się na to zebrało) z pewnym słów doborem, z wolna, namyślając się, cicho i śledząc, jakie czynił wrażenie. Nie lubił, by mu przerywano.

Jak w innych rzeczach tak do kieliszka Syruc nie miał pociągu namiętnego, nie odmawiał ani

wódki przed obiadem, ani wina dobrego nie wiele, — pijatyką zaś brzydził się niewymownie. Jednakże gdy wieczorem w małym kółku podano butelkę starego węgryzyna i małe do niej naparstki a lubownicy tego napoju, con amore, powoli sączyli go rozkoszując się, Syruc chętnie dotrzymał placu i... naówczas usta mu się rozwiązywały, przychodziła nawet wesołość i dowcip. — A nazajutrz powracał do swego mrukostwa i, jakby się wstydził wczorajszego wywnętrzenia, smutny był i ponury. Już mu tego przypominać się nie godziło.

Wszystkie jego wspomnienia zwykle do jednej odnosiły się epoki — reszta życia już jakby nie istniała, zabytą była i osłoniętą — jeśli mówił to tylko o kościuszkowskiej... Wiedzieliśmy, że rok ten 1794 przeżył pomiędzy Warszawą a obozem — dla niego była to godzina jasna, jedyna godzina, w której wyczerpał wszystko, co życie dać może. — Z rzezią Pragi skończył się dlań ten żywot a rozpoczęło rozmyślanie i pokuta... Rok ten umiał na pamięć dzień po dniu, godzina po godzinie...

Ale też oprócz losów żołnierza i kraju, w tym roku pono rozstrzygnęły się losy jego serca i szczęścia nadzieje.

Przez dość długi przeciąg czasu widywałem Syrucia co kilka miesięcy. Nie zmienił się nic a nic, nie starzał, zawiądnął tak, że już się zdawał jakby piękną mumią, zasuszoną na zawsze. Ja miałem czas skończyć szkoły i rozpocząć uniwersytet... byliśmy z nim teraz w najlepszej przyjaźni. W r. 1829 jadąc do Wilna, na parę dni wstąpiłem do Wierzbowni.... Kilka osób znalazło się tam właśnie, lecz z najpoufał szego kółka naszego.... Drugiego wieczora... gospodarz kazał przynieść po wieczerzy butelkę omszonego węgryzyna.... rozpoczęła się przy niej niezmiernie ożywiona gawędka.

Syruć był tego dnia w usposobieniu, w jakim go nigdy nie widziałem jeszcze, uśmiechał się, fajkę po fajce nakładał i dowcipował, a miał właściwy sobie sposób podżartowywania, z cicha strzelał jak z za płotu konceptem i milknął. — Sam się nigdy nie rozśmiał, owszem przybierał minę człowieka jakby zifrasowanego niezmiernie.

Przytomni żartowali sobie z zakochanego pana Pawła, pan Syruc nawet dopomagał.

— A! co mi to dziwnego, że wy sobie ze mnie żartujecie, panie kapitanie — zawołał Paweł — taki sucharek, co się nigdy w życiu nie uśmiechnął do kobiety i w oczy jej nie spojrzął, któremu też żadna kobieta nie uśmiechnęła się nigdy, co nie zna miłości tylko ze słuchu.... Syruc usta wydał.

— Tak pan sądzi? spytał.

— Nie inaczej. Zamilkł kapitan i popił.

Dopiero po północy odezwało się w nim, że mu zadano — jakby człowiekiem nie był, i winniśmy temu rozdrażnieniu nadzwyczajnemu, iż nam swoją opowiedział historią pod najmocniejszym zapewnieniem zachowania jej w tajemnicy.... Ale — ale kapitan Syruc dawno już nie żyje....

Miałem później zręczność z innych źródeł dopełnić to, co mi o sobie opowiedział — i z tego stworzyło się następne opowiadanie... najzupełniej historyczne.

"Urodziłem się, mówił kapitan, w pamiętnym roku pierwszego podziału Polski.... Mogę powiedzieć, że od kolebki żył tym jękiem, który gwałt popełniony wywołał. Być może, iż w innych kołach oswojono się wprędce z nieszczęśliwą dolą kraju, w ubogich szlacheckich dworach na Litwie pamięć tego najazdu i niecnego sejmu Ponińskiego, który uprawnił zabory, — żyła ciągle obudzając oburzenie, żalność, pragnienie odwetu.... Rodzice moi mieli maleńką wioseczkę w Lidzkiem, na którą nas dwoje, siostra i ja, i dosyć długów było w dodatku. Szczęściem dla mnie, z przeszłości zostało nam koligacyi i krewnych majątnych wielu, a w owych czasach obowiązki krwi zupełnie inaczej były pojęte. Dzisiaj pękły te węzły nie obchodzące nikogo, naówczas nie ważyłby się najzimniejszy człowiek obojętności okazać dla uboższego krewniaka.

W tym świecie naszym szlacheckim, któremu tyle wad i przywar zarzucić można, pojęcie solidarności całego ciała było jeszcze silne i niezachwiane. Stanowiło ono potęgę. — Cała szlachta

była jedną rodziną mocno związaną tysiącem węzłów krwi i połączeń. — Śmiało powiedzieć można, iż nie było dwóch rodzin szlacheckich, któreby się z bardzo dalekiego między sobą, powinowactwa wywieść nie mogły. Dla tego szlachcic, jadąc bodaj od Bałty do Gniezna, nie potrzebował nigdzie gospody, zajeżdżał wprost do dworu do pana brata, a gdzie nie znalazł szlachcica, zawracał do klasztoru lub na probostwo. I było rzeczą niesłychaną, by mu się gdzie drzwi zamknęły. Przez lat dwadzieścia można było krewnych nie widywać, prawie ich nie znać; gdy przyszła potrzeba się do nich odezwać, szlachcic zaprzęgał do kałamażki kobyłę i ruszał wprost do pałacu, pewien, że się go tam nie zaprą. Posadzono go tam w szarym końcu często, to prawda, lecz go krewny wyściskał i zrobił, co mógł, aby pocziwa krew nie przepadała.

Ojciec mój rodził się z Niesiołowskiej a rodzina to była można i senatorska... Wiedzieliśmy, iż między żyjącym panem wojewodą a nami jest blizki krwi stósunek, i choć nigdyśmy go w życiu nie widzieli, gdy czas był już z domu mnie gdzieś dać dla nauki, ojciec wprawdzie jechać się zawahał do Wilna — ale list do pana Wojewody napisał, szczerze i otwarcie mu zeznając, iż mi wychowania, jakiegoby pragnął, dać nie może, zatem do łaski jego się udaje.

Czekaliśmy odpowiedzi, na której intencją nieboszczka matka modliła się codzień...

Zwlekło się kilka tygodni, co na owe' czasy wcale dziwnem nie było, bo i poczty chodziły opieszale i ludzie pisać nie bardzo lubili. Okazało się też, że list ojca w Wilnie pana wojewody nie zastał.

Naostatek z wielką pieczęcią przysłała wyglądana odpowiedź. Pamiętam dobrze — iż ojciec ją na stole położył, nie bardzo spiesząc z rozpieczętowaniem, a matka odmawiała po cichu Zdrowaśki.

Gdy do czytania przyszło, okazała się daleko lepszą, niżbyśmy spodziewać się mogli. List był serdeczny, czuły, pocziwy, wojewoda cieszył się, że młody Syruc z synem jego prawie tego samego wieku wychowywać się może...

Radość była w domu wielka ale i kłopot nie mniejszy, bo do Wilna wyprawując należało dać przyzwoitą wyprawę. Krawcy, szewc, szwaczki miały wiele do roboty. Gdy wszystko było gotowe, pobłogosławiony przez matkę, spłakawszy się gorzko, siadłem z ojcem do bryczki i pojechaliśmy do Wilna. Biło mi serce ze strachu... łzami zachodziły oczy... nie wilem widział i słyszał, co się koło mnie działo, gdy ojciec wprowadził aa pokoje pana wojewody — lecz wszystko to przeszło wprędce, gdym głos posłyszał łagodny starego Niesiołowskiego i poczuł w mojej dłoni rękę przyjacielską jego syna, który mnie witał jak nieznanego brata.

Nie wiem, czy byli dumnymi dla drugich, to pewna, że dla mnie okazali się najlepszymi w świecie. W domu tym znalazłem rodzicielską troskliwość i serdeczność. Ojciec mój upłakał się z radości i wdzięczności. Na mnie nie zrobiło to może takiego wrażenia jak na nim, bo jako dziecko świat sobie wystawiałem w jasnych barwach, on znał go lepiej i zdziwił się znajdując lepszym, niż marzył.. Dom też Niesiołowskiego był pewnie wyjątkiem szczęśliwym.

Pańsko szlacheckie dwory tylekroć już opisywano, że je z tych tradycyi znają wszyscy; wojewody też do wielu innych był podobny. Polski żywioł zmieszany z francuzkim w nim panował; pierwszy mu dawał szlachetne podstawy, drugi ogładę i formy europejskie. Wojewoda nosił się jeszcze po polsku, ale mówił po francuzku wybornie i maniery miał ludzi wyższego towarzystwa. Sama pani głównie francuszczyznę tu szczepiła i trzymała. Dla tego i syn wychowywany był przez Francuza na wpół z Polakiem;

Tegoż dnia wzięto mnie na egzamin i okazało się, że moja pijarska francuszczyzna tak była śmieszna, iż ja z gruntu wykorzenić potrzebowano a nową na jej miejscu zasadzić.

Wychowywałem się tedy z panem Julianem, dogoniwszy go w nauce i jak on sposobiąc do stanu wojskowego. Ta tylko była różnica między nami, iż on miał jeszcze odbyć podróż po Europie i

zatrzymać się dłuższy czas w Strasburgu a ja z woli ojca natychmiast wstąpić powinienem był do wojska. Pan Julian, z którym byliśmy w najczulszej przyjaźni, ciągnął mnie bardzo do tej podróży z sobą, pisał pono potajemnie do mojego ojca, aby na nią zezwolił, przecież ojcu się zdało podziękować a mnie kazać jechać do Warszawy.

Z listem rekomendacyjnym od wojewody dostałem się do pułku Działyńskiego, stojącego naówczas w stolicy. Przybyłem tu w najsmutniejszą godzinę, gdy pochlubnej ale daremnej walce król miał przystąpić do Targowicy...

Nie mógłem porównać ówczesnego stolicy stanu do świetnej powierzchowności jej w czasie sejmu czteroletniego, ale uderzył mnie nadzwyczajny smutek i pomięszanie na wszystkich twarzach... rozpacz, narzekania i gwałtowne rozdarcie narodu na dwa najzjadle nieprzyjazne sobie obozy.

Co było w Warszawie patryotów najgorętszych dotychczas — na wieść o przystąpieniu króla do Targowicy uchodziło z przekleństw i gniewem za granicę. Stronnictwo niby republikańskie, które na pozór dawnej wolności i praw bronić miało, z zjadłością chwyciło władzę, używając jej na prześladowanie najokrutniejsze. Moskale, od których przez lat kilka Polska była odwykła, z szyderstwem, butą, naigrawaniem, odgrózkami zaciągali znowu do stolicy. Adherenci ich, poubierani w mundury rosyjskie, okryci orderami, otoczeni strażami obcemi, pysznili się na ulicach.

Ponieważ wojsko rozpuszczać w części, reorganizować i zmniejszać miano, trudno się nawet było dostać do niego i ja raczej wśliznąłem się do służby, niż do niej zostałem przyjęty. Stało się to po cichu, za wielką forszą i z niemałymi trudnościami.

- Nigdy może zwycięzka rzeczywiście partya nie obchodziła się okrutniej ze złamanymi na placu boju współziomkami, — jak Targowiczanie z krajem, nad którym z łaski wojsk rosyjskich zapanowali — począwszy od króla, którego pojono żółcią i wydarto mu wszelką władzę, aż do ostatniego żołnierza dano uczuć wszystkim, że Kossakowscy i Potocki mają za sobą poparcie cesarzowej Katarzyny.

Mnie, com się mało mógł wówczas zastanowić i sądzić, uderzało nawet nielitościwe to obchodzenie się z krajem.

W imię wolności najstraszniejszy w świecie zapanował despotyzm.

Nie zdziwi się nikt, gdy się przyznam, że dwudziestoletni naówczas, w pierwszych chwilach po przybyciu do Warszawy, uszczęśliwiony mundurem, widokiem stolicy, nowemi tyłą, przedmiotami i ludźmi mało zwracałem uwagi, za mało czułem, co mnie otaczało. Stopniowo potem ogarniała mnie trwoga i boleść..

Go dzień obijały mi się o uszy narzekania na panujących naówczas Targowiczian i obchodzenie się ich z krajem. Nawet dziecinny umysł uderzyła w końcu ta sprzeczność despotyzmu bezwzględego, który swobody republikańskie miał krzewić.

Strwożony król zupełnie bezwładny siedział na zamku, na listy impertynenckie Szczęsnego odpowiadając pełnemi względów stylizacyami swej kancelaryi. — Oddawali mu honory jenerałowie rosyjscy — ale Targowiczanie wcale się nie kryli z zamiarami bodaj detronizacyi...

Ten mięsopust oślepych panów republikanów trwał tyle tylko, ile było. potrzeba Rosyi, aby na sobie nieprzyjaznych ludziach pomściła się za sejm czteroletni... Nie nazywano inaczey sejmu tego jak spiskiem, konstytucyi zamachem i rewolucyą...

Nastąpił ów okropny sejm, na który króla prawie przemocą musiano wyciągnąć z Warszawy. Butni Targowiczanie znaleźli się wziętymi w matnia.

Krótką chwila panowania ich przeszła, Moskwa dała uczuć, że ona tu jedna rozkazuje i rozrządza. — Jak piorun padł na zdrajców wyrok nowego rozbioru kraju, którego oślepli do ostatka nie przypuszczali.

Było coś okropnego nawet dla najobojętniejszych, najmniej rozumiejących, co się działo w tym sejmie grodzieńskim — który Polskę dobijał... ale prawie, w tejże chwili, gdy na sesji niemej podpisano wyrok na Polskę, rozbudziło się uczucie powszechne zgrozy, oburzenia, rozpaczy tak gwałtownej, iż nie można było wątpić, że za sobą bodaj niewczesny wybuch pociągnie.

Katastrofa ta przychodziła nadto świeżo po wspomnieniach czteroletniego sejmu, padała na gorące je- szcze, nieostygłe nadzieje, a towarzyszyło jej obejście się Moskali z krajem tak okrutne, iż wszystko, co żyło, jakby jednym głosem zawołało — Lepiej ginąć niż ścierpieć takie upodlenie i niewolę!

Nigdzie może wypadki te nie uczyniły takiego wrażenia jak u nas w wojsku... Mówiono ó rozpuszczeniu go, o uszczupleniu, o rozesłaniu po kraju, o gwałtownem wcieleniu do wojsk rosyjskich...

Pomimo nadzwyczajnej pilności władz rosyjskich — spisek się zrodził ze dniem rozbioru prawie... We wszystkich jedna myśl się powtarzała — powstanie... wojna... Nikt sił nie rachował, była konieczność ratowania honoru narodowego jeśli nie ojczyzny. Potrzeba było we krwi zmyć hańbę tych ludzi, co podpisali wyroki na własny kraj...

Jak drgnienie elektryczne przebiegło wszystkich...

"Miałem naówczas lat dwadzieścia dwa, nie mogłem więc być przypuszczonym ani do narad, ani do tajemnicy żadnej, ale dusza i sercem należałem do stowarzyszenia wszystkich moich kolegów, oczekujących tylko znaku do walki. — Nie wiem, czy dla Moskali widoczne były jakie przygotowania, dla nas zaś były one jawnymi...

W połowie marca już w Moskalach konsystujących w Warszawie znać było jakaś trwożę i nadzwyczajne środki ostrożności, przedsięwzięte dla utrzymania porządku w stolicy...

Mieszczanie chodzili chmurni, jakby się nie znając i nie poznając w ulicy a rzucając ku sobie jakiemiś porozumiewającemi się oczyma — między wojskowymi a nimi znalazły się niespodziane znajomości i przyjaźń nie bywała...

Stałem naówczas kwaterą przy Miodowej ulicy w domu Karasia, gdzie mi krewni Mańkiewiczze dali pokój na górze. — Stary Mańkiewicz zjechał był tu dla leczenia się na oczy, towarzyszyła mu żona, a że choroba była uparta, już rok tu przebywszy i nawyknąwszy do miasta, nie myśleli go opuszczać. Mań- kiewicz, stary szlachcic ale człek z głową i niepospolitemi darami umysłu... żył bardzo oszczędnie, po litewsku, żywił też i mnie z dobrego serca a bawił się tem, że o wszystkim, co się działo, wiedzieć musiał. Ostrożnym był bardzo, żeby się nie narazić Moskałom, przecież obawę o siebie zwyciężał patryotyzm gorący i umysł żywy a niespokojny.

Stary chodził z zieloną, umbrelką nad słabemi oczyma, o kiju, bo był bardzo otyły, ale w domu usiedzieć nie mógł i od czasu, jak tu przybył, tyle porobił znajomości, iż o nowiny nie było mu trudno. A umiał ich dobywać z każdego tak zręcznie, iż sam śmiejąc się zapewniał: — Mój moci bodzieju! jak wezmę na konfesatę, powie mi nawet to, czego nie wie. I tak jest — tłumaczył się zaraz — tak jest, bo nie jeden raz powiedział mi człowiek rzecz taką, która dla niego była niezrozumiała a dla mnie wiele znaczącą.

Mańkiewicz najął był sobie cały ten dom (nie pałac tego imienia) a to dla tego, jak powiadał, że nie mógł znieść mieszkania z ludźmi, którychby nie znał i którzyby mu mogli chcieć kołki ciosać na głowie. — Nająwszy porozdawał i powynajmował mieszkania, których mu nie było potrzeba — ale już się tu panem czuł. Takim sposobem mnie się dostał pokój, bo stary Mańkiewicz przypadał mi dziaduniem i bardzo ranie lubił. Mańkiewiczowie dzieci nie mieli... przy sobie, jedyna ich córka zamężna mieszkała na Litwie.

Nie było gorliwszego zbieracza wiadomości, wiadomostek i plotek i pamfletów i broszur nad

starego Mańkiewicza. Oczy sobie dopsuwał, wpisując, co tylko dostał, do wielkiej książki, którą zawsze pod poduszką trzymał. W czasie Targowicy, czasu sejmu i teraz, cokolwiek się ukazało w Wiedniu lub wyszło z potajemnych drukarni w Warszawie, wszystko to mieć musiał.... Skąpy był trochę, ale na taki świstek nigdy nie żałował. Za Księgi rodzaju Targowickie zapłacił dukata, a choć odpowiedź na nie nie wiele była warta, talara i za tę dał dla kompletu. A że pamięć miał nadzwyczajną, wszystko to potem recytował jak pacierz.

Obok tego gorączkowego zajmowania się sprawami kraju, o którego losach nigdy nie rozpaczał, Mankiewicz miał obawę Moskala równie prawie silną jak patriotyzm. — Nie spodlił się nigdy przez nią, lecz dosyć dlań było widoku munduru zdaleka postrzeżonego, ażeby zamilkł, a w domu musiał się pozamykać i opatrzyć pod łózkami, nim wodze puścił słowu___ Przytem jenerałom, oficerom a nawet foldweblom moskiewskim spotkawszy ich w ulicy ustępował z drogi i kłaniał się bardzo grzecznie.

Gdy się czasem żona z niego śmiała, odpowiadał cicho: — Taki system mój, mocia bdziko, taki system, djabłu świeczka... a tak! djabłu świeczka....

Za to w duszy nienawidził ich tem więcej, im 'niżej kłaniać się był zmuszony.

Jak dziś pamiętam, było to wieczorem dnia siedmnastego czy ośmnastego marca..... Czas był szkaradny, smagał wicher z mokrym śniegiem... na ulicę ani było wyjść, wróciłem zawczasu do domu. — Mańkiewicz mi był dał do przeczytania broszurę, którą sobie z rak do rąk potajemnie podawano — Nil desperandum, nudziłem się nad nią przy łojowej świeczce, gdy mnie na dół zawołano na wieczerza.... Jadaliśmy naówczas po litewsku zawsze wieczerzą z dwóch potraw złożoną, bo Mańkiewicz smaczno jeść lubił a babunia Mańkiewiczowa umiała doskonale kuchnią zarządzać. Półmisek woniejących zrazów stał już na stole, bok w bok z kaszą ze słoniną... a stary siedząc palcami bębnił po stoliku i nie jadł. Zamyślony był dziwnie. Jejmość też, z założonemi na piersiach rękami, zadumana, głową tylko rzucała, jakby się bijąc z myślami. Wszedłszy zaraz postrzegłem, że coś jest niezwykajnego.

Od obiadu nie widzieliśmy się.

— Cóżes asindziej na mieście słyszał? he? zapytał Mańkiewicz.

— Na mieście? rzekłem — a no nic nowego!

— A widziałżeś kogoś? począł badać stary, zwolna już jednak przysuwając zrazy.

— Widziałem się z kilku towarzyszami.

— I nie mówili nic? Spojrzał na żonę....

— Nowego tak dalece nie słyszałem.

Mańkiewiczowie popatrzali na mnie jakby badając, czy nie taję się; zaczęliśmy jeść.

Znano z tego dziadunia Mańkiewicza, że plotki lubił, a w mieście nie zbywa nigdy na ludziach, co je noszą, zwłaszcza gdy się spodziewają, przy tej zręczności napić lub zjeść. Zrazy już były rozpoczęte, gdy chłopak oznajmił pana szambelana.

Pod tem nazwiskiem znany nam był staruszek, jeszcze za Augusta III. mianowany, dziś zubożały, żyjący nie wiedzieć z czego w mieście i odgrywający rolę pasożyta. Wcisnąc się on do wszystkich domów, gdzie go tylko jakokolwiek przyjmowano, zabawiał dykteryjkami, nadzwyczaj łakomie zajadał, podejmował się sprawunków, posyłek, przyjmował nawet małe podarki i winien był cały swój byt takiemu wysługiwaniu się między ludźmi. Wszystko winien będąc Sasom, nienawidził Moskali, przypisując ich intrygom odsunięcie od tronu dynastji saskiej.

Stary szambelan nosił się naturalnie po francuzku i mimo wieku był galant dla kobiet, gadał nie bardzo do rzeczy, ale łatwo, wiele i tak, że się nieznanomemu człowiekowi zrazu mógł wcale dobrze wydać.

Przyjście szambusia o tej godzinie, choć w domu był poufałym gościem, miało swoje znaczenie. Wstrzymał się w progu niby strwożony tem, że zastał wieczerzą... lecz już Mańkiewicz krzesło dla niego do stolika ciągnął i o talerz wołał. Szambelan przepaszając zajął miejsce. Oglądał się bardzo ostrożnie.

— A cóż! zapytał Mańkiewicz.

— Najprawdziwsza prawda — zniżonym głosem rzekł szambuś, — niech co chcą gadają, ale tak jest! tak je t! Madaliński poszedł na Mławę ku granicy

. pruskiej... to nie ulega najmniejszej wątpliwości. — Alea jacta est!

Mańkiewicz w ręce plasnął i chwycił się za głowę, ja a żem się porwał ze stołka.

— Siedź! na Boga ukrzyżowanego! odezwał się stary, cicho, wartogłowie, ani mru mru!! Moskale teraz ściany świdrują, żeby co posłyszeć... twarzą ani słowem zdradzać się nie godzi.

Szambelan mówił dalej.

— Koło kwatery Igelströma formalny sejmik, kozacy latają, biegną, wracają.... w oknach światła, kilka karet przed domem. W zamku toż samo... Już wiedzą... myślę, że wojska wysyłają.

— Toż dopiero w Warszawie mieć będziemy czem żyć — rzekł Mańkiewicz — boć kiedy przed dwudziestu dniami, gdy jeszcze nie, było nic a już aresztowali Węgierskiego, Działyńskiego i Sierpińskiego, cóż dopiero teraz będzie. Powinniśmy się jak myszy tulić po norach, ja i z domu nie wychodzę...

Szambelan zjadał zrazy pilnie.

— Nie ma wątpliwości, począł z gębą pełną sosu, że trzeba być nadzwyczaj ostrożnym... szpiegów jak maku... Za mieszczanami chodzą, za wojskowymi, za każdym, co im się zda podejrzanym.

— Asindziej mi się pilnuj, na rany Chrystusowe, zawołał Mańkiewicz, bo uchowaj Boże słówko nieostrożne piśniesz... a uczepią się do ciebie, to mi jeszcze biedy na dom naciągniesz... gotowi i do mnie się chwycić.... A no! djabeł nie śpi!!

— To pewna, potakiwał szambuś, że w domu Igelströma, w loszkach siedzi już kilka, drudzy mówią kilkanaście osób... jeden Potocki nawet.

— Przepraszam dziadka — odezwałem się, — ja wcale paplać nie myślę, słowa nie powiem, ale to wcześniej zapowiedzieć muszę, że jeśli — przyjdzie do czego, nie będę ostatnim..

Mańkiewicz ugryzł się w kułak i dał mi znak milczenia.

— Cicho! odezwała się sama jejmość. Szambuś popatrzył z ukosa. — Zamilkłem. Oprócz tej nowiny o Madalińskim przybyły miał wiele innych do opowiadania po cichu a jedno od drugich były straszniejsze.

— I to nie ulega wątpliwości, dodał, że się przysposabiają w mieście jakieś okropności... Moskale odgrażają się, że w pień wytną nas... Mają arsenał opanować, wojsko rozbroić.

Uśmiechnąłem się.

— Czyżbyśmy się tak dali bez oporu im wziąć? zapytałem.

— A milczże, zaklinam! — stukając o stół ręką, przerwał stary — chłopak chodzi, słucha może podedrzwiami a ty głos podnosisz jakby naumyślnie. — Powie dyskursywe stróżowi, stróż łajdak szpieg... to nie ulega wątpliwości. Z oczów mu patrzy źle... a dom zgubić łatwo, mogą; nas wszystkich wywieść na Sybir.

Przestraszony zamilkłem dając sobie słowo, że ust nie otworzę. Szambelan wciąż szeptał, lecz z nadzwyczajną ostrożnością i, gdy chłopak wchodził, natychmiast rozmowę zmieniał, zwracając ją na nabożeństwo u Kapucynów.

Wieczór przeszedł na komentowaniu tych wiadomości i konjekturach najrozmaitszych... starzy, zobaczywszy mnie milczącym, rozgadali się szeroko, tak żem się dowiedział niespodzianie wielu

szczegółów dla mnie ciekawych, o których wprzód wyobrażenia nie miałem.

Szambelan i stary wtajemniczeni byli doskonale w roboty emigracyjne Kościuszki, Potockich i Kołłątaja, wiedzieli o bytności Zajączka w Warszawie, którego Igelström z rąk wypuścił, o spisku szerzącym się po całym obszarze dawnej Polski.

Mańkiewicz był tego zdania, iż trzeba mu było dać dojrzeć dobrze i że Madaliński wyrwał się zawczasie, tak że przepadnie i cała praca w łeb weźmie, bo ludzie nieprzygotowani.

Szambuś nie podzielał tego zdania.

— *N a* miły Bóg, albo teraz lub nigdy, — rzekł kończąc kaszę, którą mu gospodyni nakładała bez miłosierdzia na talerz... wojsko całe już wie, co ma czynić. Obywatelstwu dano znać przez ludzi zaufanych; później, gdyby rozbroili resztki żołnierza, powstanie jużby się nie miało o co oprzeć.

U nas zresztą, jak tylko czas dać do rozmyśłu, spełźnie wszystko na niczem.

Rozeszliśmy się późno a Mańkiewicz jeszcze na dobranoc powtórzył mi, żebym się miał na bacności, bo na pułk Działyńskich Moskale szczególniej mieli oko...

Jak świt byłem w naszych koszarach...

Tu już po twarzach poznałem, że wiadomość o Madalińskim nie była fałszywą... Oficerowie chodzili niespokojni, szeptano między sobą, naradzano się z żołnierzami, działo się coś tajemniczego i widocznie nadzwyczajne rzeczy gotowały. Jako jeden z najmłodszych nie nabijałem się, aby należeć do narad, bobym nie bardzo wiedział, co i radzić — lecz z rozmów przekonałem się, że mi ufają, i rachują na mnie.

Koszary otoczone były szpiegami... musieliśmy się mieć na nadzwyczajnej bacności, aby nie zdradzić, żeśmy już coś wiedzieli i przysposobili do czegoś.

W ulicach tego dnia uderzał widok szczególny, ludzie silili się jawnie na to, aby nie okazać po sobie, iż wyszli z karbów powszedniego życia, a ruchy ich, wejrzenia, chód... wszystko zdradzało, iż coś niezwykłego się stało i opanowało umysły... Około Igelströma ruch był wcale nie tajony, adjutanci latali, posłańcy chodzili do zamku, od króla przyjeżdżali generałowie, hetman przybył i siedział godzinę... Z ratusza ściągano urzędników...

Z każdym dniem rósł ten niepokój Moskali, którzy jednak dla niepoznaki przechodzili przez miasto z muzyką, mustrowali się, konno płasali po ulicach...

W kilka dni potem zaczęto przebąkiwać o nowych aresztowaniach, mówiono nawet o takich, które do skutku nie przyszły. Jakieś imiona wprzód nie znanych ludzi krążyły z ust do ust między nami, Aloego, ks. Majera, Kapostasa, Kilińskiego...

Mańkiewicz widocznie przy mnie się nie chciał rozgadywać, bo się bał mojej goryczki młodzieńczej... marł ze strachu razem i z ciekawości, co też to będzie.

Tak dożyliśmy do ostatnich dni marca... z każdym dniem ostrzejsza policja, dozór, szpiegi czyniły życie nieznośnem.

Pomimo tych nadzwyczajnych ostrożności, aby się Warszawa nie dowiedziała ani o losie Madalińskiego *ani* o tem, co się w kraju działo, mimo że każdego przyjeżdżającego przetrząsano na rogatkach i brano na konfesaty... że po miejscach publicznych nikt się ust otworzyć nie ośmielił — akt powstania krakowskiego dnia 24 marca w kilka dni później już był wiadomym w Warszawie...

Ktoby nie wiedział o tem, mógł się domyśleć po twarzach mieszkańców... rozpromieniały oblicza... rozjaśniły się czoła...

Mańkiewicz cały dzień chodził po pokoju pogrążony w myślach. Nie wiedząc, czy już dostał języka, z rana przybiegłem do niego z koszar i na ucho mu szepnąłem.

— Jenerał Kościuszko w Krakowie! powstanie narodu ogłoszone... Lud z kosami, mieszczanie, żydzi, tłumem się garną do wojska!

— Cyt! milczałbyś — odezwał się stary — wiem, ale potrzyj język za zębami! wszystko wiem... kto ci powiedział?

— Całe miasto, wojsko, lud wiedział, wszyscy...

— I cóż? spytał stary...

— Niech pan przez okno popatrzy... to na czołach przeczyta, co myślą,...

— A tak! to rozumnie! to ślicznie — zaczął gderać staruszek... napiszcie sobie na czole wielkimi literami, żeby Moskale wyczytali, co myślicie, i wiedzieli, co robić...

— Cóż oni nam zrobią — rzekłem — ich garść a nas będzie krocie...

Ścisnął mnie za rękę...

Już mi trudno było na miejscu usiedzieć, pobiegłem do koszar...

Trzeba było widzieć niecierpliwość żołnierzy i oficerów... ledwie w miejscu spokojnie mogli usiedzieć...

Wieczorem w teatrze zapowiedziano: Krakowiaków i Górali...

Sztuce dosyć było jednego nazwiska " Krakowiaków".. ażeby tłumy ściągnęła. Dowiedzieliśmy się też, że Igelström przeczytawszy afisze natychmiast posłał, aby sztukę zakazać, i że marszałek Moszyński na prośbę Bogusławskiego pojechał sam do generała przedstawić mu, iż sztuka była najniewinniejszą w świecie a zakaz niepotrzebnieby drażnił...

Afisze pozdzierane rano, znowu się pokazały po południu, kto tylko miał grosz w kieszeni; biegł do teatru. Sala była przepełnioną, napchaną, nabitą a — jakby na szyderstwo, w orkiestrze umieszczono muzykę wojskową rosyjską, która przygrywać miała.

Wprawdzie z wyższego świata mało kto na teatrze był dnia tego, ale mieszczan, kupców, młodzieży, wojskowych tłumy. Gdy muzyka rosyjska zagrała Krakowiaka a pary poubierane po krakowsku ukazały się na scenie i tańczący przyśpiewywać zaczęli, teatr mało nie runął od oklasków. Uniesienie nadzwyczajne objęło wszystkich, śmiali się i płakali. Aktorowie, powtarzając najniewinniejsze zwrotki piosenki, umieli im nadać takie znaczenie, iż ci Krakowiacy przedstawiali nam nie to, czem byli na scenie, ale ów lud krakowski, co w tej chwili z Kościuszką szedł pod Racławice... Samo imię Krakowa było jakby hasłem tajemniczym, ludzie sobie nieznani zupełnie powtarzali je po cichu ściskając się za rękę.

Widocznem było, że jednym uczuciem drgały te wszystkie piersi. Uśmiech migał na ustach, łzy stały na oczach, dłonie paliły się.

Spojrzałem po sali, cała była jedną, zapał ogarniał łoże, parter, paradyż... ściśnięty tłum... Gdziekolwiek tylko twarz blada obcego widocznie człowieka, strwożona, pomięszana wydawała, że zrozumiał niemy język tych, co go otaczali.

Słówkiem nikt się nie zdradził — lecz najmniej baczny postrzegacz wyczytałby ze źrenic tych ludzi, czem pierś była przepełniona. Posłuszna muzyka rosyjska grała od ucha i tak wyśmienicie, jakby wiedziała, co dziś krakowiaki znaczyły.

Przed kilku dniami wprzód i ja zostałem wtajemniczony w przygotowania. Nie wiedziałem wprawdzie śni godziny, ani terminu, ale że się w Warszawie coś gotowało, miałem wiadomość, bo mnie kilka razy użyto do odniesienia kilku słów, nie bardzo rozumiałych, majstrowi Kilińskiemu, temu samemu właśnie, którego podejrzewając Igelström wołał do siebie i rozmówiwszy się z nim puścił wolno.

Stojąc w teatrze na parterze, o kilka kroków od siebie postrzegłem mojego pana majstra, który oczy ociera....

Pięknej postawy mężczyzna, twarzy bardzo urodziwej, miał raczej szlachecką fizygnomią niż rzemieślnika. — Wąs zawieszisty, podgolona głowa, wyraz męztwa i energii zwracały nań oczy

nimowolnie.... Spojrzeliśmy na siebie, Kiliński dał mi znak, jakby po teatrze chciał mówić ze mną. Całe to przedstawienie upoiło nas, wychodząc znaleźliśmy się razem. Dopóki tłum wyływający z teatru nas otaczał, nie mówiliśmy do siebie nic, dopiero na Starem mieście, gdzie już puściej było, Kiliński zatrzymał się.

— Mój poruczniku, rzekł, już to wam Działyńszczykom wierzę jak samemu sobie... nie ma co w bawełnę dla ciebie obwijać. Czas płaci, czas traci. Może lada moment przyjdź taki, że i my im krakowiaka zagramy... cha! cha.... Trzeba, by wszystko było w pogotowiu, a te... moci panie — pilnują nas, że się ruszyć nie można.... Ciągłej trzeba komunikacji między nami... a tu szpiegi nam na pięty następują..

— Więc cóż, szanowny obywatelu? o co idzie? rzekłem — jutrom gotów do usług.

— To ja wiem, odparł Kiliński, ale idzie o to, ażeby nie przewąchali i żeby ich zmylić.... Jeśli z was którego pochwyca, choćby acana dobrodzieja, szkoda — rąk i pałaszów nie będzie za wiele... zadumał się pan Kiliński — i rozśmiał.

— Tylko mi, kochany poruczniku, nie myśl, dodał, żeby płocho z tego korzystać, iż cię muszę poznać z piękną dziewczyną.

Na te słowa osłupiałem.

— Cóż to ma znaczyć? spytałem.

— A tak! nie ma rady, choćbyś dwa razy na dzień na umizgi chodził, Moskale się tem nie. zgorszą ani zadziwią, a jak do mnie raz przyjdiesz.... do kozy nas wpakują.

Stałem milczący, bom jeszcze zrozumieć nie mogłem, na czym się to skończy... Szliśmy powoli dalej... Kiliński mówił cicho.

— Trzeba, kochany poruczniku, wszystkich sprężyn użyć.. a nasze kobiety mężkie serca mają. Ja waćpana zaprezentuję tej, która nosi rozkazy i papiery i której tak pewny jestem jak siebie... Cóż było robić, i baby muszą służyć Ojczyźnie. Tylko się Waćpan nie rozkochaj, bo to darmo... to mospanie ludytha jest i nie do romansów.

Niezmiernie zaciekawiony, zmieszany szedłem za Kilińskim. Stanęliśmy w rynku Starego miasta.. Przed nami była wązka kamieniczka, nad której brama żelazna wisiała trzęzłą. Kiliński wprost poszedł na wschodki ciemne, ja za nim. Wdrapaliśmy się tak omackiem na drugie piętro.

Do drzwi zapukawszy raz i drugi, majster poczekał, aż się z zewnątrz mały wasistas otworzył i głos zapytał.

— A kto tam...

— To ja, pani majstrowo... Szepnął cicho nazwisko.

Odryglowano wewnątrz, weszliśmy do przedpokoiku, gdzie mocno już czuć było skóry i juchty.... Kobieta, która nam otworzyła, nie młoda, otyła, wzrostu słusznego, — na powitanie Kilińskiego — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, odpowiedziała pobożnie, ale zobaczywszy mnie za nim, zmieszła się widocznie. Weszliśmy.

— Jest Juta? zapytał Kiliński cicho... Kobieta, nim się zebrała na odpowiedź, zerknęła na mnie, zrozumiał ją majster.

— On tu potrzebny! szepnął. — Nic do rzeczy! nic do rzeczy! odparła stara — po co młodych ludzi prowadzić.

— Żeby się nie dorozumiano, z czym przychodzą, moja jejmość, począł Kiliński..... niech ludzie myślą (rozśmiał się), że dla pięknych oczów Juty... W tej chwili w progu od drugiej izby ukazała się kobieta, domyśliłem się w niej tej, o której była mowa. Wyobrażałem sobie piękną, młodą dziewczynę, ale takiego obrazu, jaki mi się przedstawił, całem spodziewać się nie mogłem.

Opisanie twarzy i postaci kobiecej niezmiernie jest trudne, nadużyto farb i słów..., które w końcu

mówić przestały. Nie będę się też silił na obraz panny Juty Wawerskiej, bo go odmalować nie potrafię. Było to dziewczę lat może 20, słusznego wzrostu, z główką dumnie podniesioną, twarzą na pozór nic w sobie nie mającą nadzwyczajnego, z oczyma dużymi niebieskimi i warkoczami blond. Wyraz więcej mówił niż rysy, chociaż te czyste były i piękne. Rzadko twarz kobieca miewa taką cechę energii, odwagi i dumy, jaką się Juta odznaczała. Przypatrywała się, skinąwszy głową Kilińskiemu, mnie nieszczęśliwemu, stojącemu jakby pod pręgierzem, i zdawała mierzyć i ważyć, co też ja wart być mogłem.

Usta jej w końcu zacisnęły się z pewną, oznaką, nieukontentowania, założyła rękę na piersi i stała milcząca...

— Chodźmy no dalej, rzekł Kiliński... Szliśmy tedy przez drugą izbę, która była warsztatem rymarskim, dużą i przestronną, a potem przez rodzaj kuchenki do porządniejszej trzeciej, w której pani Wawerska wskazała nam stołki z widocznym zafrasowaniem i złym humorem... Juta stała nieco opodal.

— Nie gniewajtaż się, nie gniewajta, moja dobrodziejko — czwał się Kiliński. — Porucznik S. ruć, którego wam przyprowadzam, zalecony mi dobrze, nie jest żaden płochy chłopiec, poczciwe dziecko. Cóż wam zaszkodzi, gdy czasem przyjdzie i słowo przyniesie, które Juta odda, gdzie należy?

— Ale dalipan, nie krzywdząc porucznika — poczęła stara Wawerska — niech to będzie bez urazy, mogliście też dobrać starszego... E! piękna rzecz, jak się tu mundur do nas zageści... i ludzie na Jutę gadać będą...

Machnęła ręką... — E! e! powtórzyła.

— Ale moja pani majstrowa — odezwał się Kiliński, — nam tego potrzeba, żeby go posądzali, że zasłapał...

Rozśmiał się, ale ani Juta ani matka nie dały się tem rozweselić. Owszem twarz milczącej dziewczyny surowego i coraz dzikszego nabierała wyrazu.

— Mogliście też dobrać starszego! dodała Wawerska.

Spojrząwszy na matkę, na Kilińskiego i na mnie, Juta po namyśle odezwała się wreszcie dźwięcznym i spokojnym głosem.

— Niechaj już mateczka się tem nie gryzie... rzekła. — w takiej godzinie nie ma co myśleć o sobie, kiedy tu ojczyznę ratować trzeba... Niech tam sobie ludzie plotą, co chcą — pan porucznik przyniesie, co trzeba, a ja odniosę, gdzie należy. Kiedy już komedią, grać trzeba... to i grać, aby Moskali oszukać...

Ja nie wiele dbam, co ludzie powiedzą.

Wawerska ramionami ruszała.

— O Jutę ja się wcale nie boję — dodała klepiąc ją po ramieniu — to! to! tej tam głowę zawrócić nie łatwo a umizgusów krótko i węzłowato odprawia! Niechby się tam który ważył — a no, po co na ludzkie języki się dawać...

— Moja majstrowa — zważcie no, o co to idzie... rzekł majster — nam żadnemu nie ruszyć się, żeby za sobą szpiega nie miał... na Jutę nikt zważać nie będzie... to mus... albo my ojczyznę wyratujemy w tym terminie, albo zgubiona...

Juta żywo przerwała...

— Nie ma co mówić — co trzeba to trzeba — niech porucznik przychodzi! Przecież raz się od Moskali musimy uwolnić...

— I spodziewam się, że to nastąpi — uśmiechnął się Kiliński... Ale tu nieustannie między wojskiem a nami trzeba związek utrzymać... Jak? nie ma rady, tylko kryjąc się i motając tak, żeby nici

nie doszli...

Wawerska milczała, westchnęła.

— Albo to myślicie, panie majstrze, odezwała się, że mnie ojczyzna mniej droga jak wam i że jabym życie się wahała za nią dać, jak nieboszczyk mój Serafin... Panie, świeć nad jego duszą... wszak ci nie kto tyłkom ja Jutę wychowała, że ma tak wielkie serce — a no, dziecka żal...

— A co mu się stanie? odparł Kiliński, już ci porucznik szanować ją potrafi...

Przyszła tedy pora na mnie odezwać się, a przykro mi już było, że tak jakoś przyjęty zostałem z nieufnością.

— Pani dobrodziejko — rzekłem grzecznie — bardzo mi boleśnie, że będąc użyty w publicznej sprawie, od której się wymówić nie godzi — nie mogę zamienić mojego obowiązku z kim innym, aby pani nie być natrętnym; ale upewnić ja mogę, że wychowany w religijnym domu a płochości żadnej nie dopuściłem się w życiu. Tem mniej można mnie posądzać o nią, gdy idzie o sprawę taką, jak nasza... byłoby kryminałem...

o czym innym myśleć jak o niej.

Juta przypatrywała mi się i słuchała pilnie, gdym mówił — słowo moje trafiło jej do serca...

— No, dosyć, dosyć — odezwała się, o mnie to idzie — dajmy pokój, mateczko... Jużem się podjęła nosić ładunki i papiery i hasła... trzeba dotrzeć do końca...

Oczy jej zapłonęły jakby ogniem wewnętrznym...

— Ojca mi zabili Moskale! dodała — niechże ja słaba choć w ten sposób go pomszczę.... Gdyby i zgi-nać przyszło! W oczach stanęły łzy, Wawerska je też otarła fartuchem... Kiliński wąsa kręcił.

— No, panie poruczniku, rzekł nie dopuszczając, aby się więcej popłakały — żart żartem... będziesz pierwszy raz w życiu wystawiony na ogień baterii nieprzyjacielskich, bo oczy Juty... to gorzej armat... nie dajże się zabić! trzymaj się krzepko...

Juta z politowaniem jakimś spojrziała na mnie z góry, zaczerwieniłem się nie odpowiadając nic.... Wstaliśmy ze stołków, żegnając gospodynią milczącą, i piękną dziewczynę, która dopiero u drugich drzwi roztargniona mi główką kiwnęła.... Chłopaka zaspanego z za pieca dobyto, ażeby nam na wschodach poświecił.

Wyszliśmy w rynek, Kiliński z milczenia i postawy musiał się domyślać, że był w złym humorze i nie bardzo rad — ujął mnie tedy pod rękę.

— No, no, rzekł żartobliwie, cobyś mi powinie a dziękować, że ci tak ocukrowałem posługę dla ojczyzny, porucznik mi kwaśną robisz minę.

Żartobliwy był i kobieciarz wielki pan majster.

— Na waszem miejscu — w waszym wieku, dali pan, miałbym sobie za szczęście parę razy na dzień takiej ślicznej pannie spojrzeć w oczy... choć bez dalszych konsekwencji! A muszę wam dodać, że jak piękna jest, tak mężna i stateczna, prawie powiem, heroina.... To prawda, że nieboszczyk Wawerski Serafin od Moskali zginął... zarabali go... najniewinniej... ale też córka... to Polka, panie, jakiej drugiej poszukać. Już za to nie ręczę, żeby karabina nie wzięła. Ona tu tak czynna prawie jak ja, a umie doskonale dać sobie rady... i wśrubuje się wszędzie.

Słowa te Kilińskiego, przy pożegnaniu •wyrzeczone mocno mnie zadziwiły i obudziły ciekawość. Napatrzyłem się choć młody, że w wyższym towarzystwie kobiety nasze w intrygach politycznych czynne były bardzo i wielce się roznamiętniały — ale w tej klasie, do której należała Juta, nie przypuszczałem ani uczucia patryotycznego ani możliwości posługiwania sprawie kraju.

Pomimo że sobie jak najuroczyściej przyrzekłem ani pomyśleć o pięknej dziewczynie, ani na nią spojrzeć, obrazu jej pozbyć się nie mogłem noc całą.... Stała mi przed oczyma z tą surową twarzą, z oczyma zaognionymi jakby gniewna i natchniona i straszna, a mimo to pociągająca pięknnością

dziwną, której zrozumieć nie mogłem. Nic w niej nie było niewieściego, wdzięcznego, — nic łagodnego — jednak urok miała tem oabliwszy dla mnie, że jej go ani otoczenie, ani strój, ani mowa, — nadać nie mogły. Córka rymarza, ubrana skromnie, bez starania i elegancyi, z twarzyczką, jakich się tysiące spotyka — pogardliwie odpychałem wrażenie, jakie uczyniła na mnie, a pozbyć się go nie umiałem... Naturalnie o tej całej przygodzie nikt w domu odemnie nic się nie dowiedział, unikałem, rozmowy z Marikiewiczem, gdyż coraz bardziej się trwożył. Nie wiedział on, co się działo w mieście, ale musiał się przygotować, domyślać.

Miesiąc kwiecień zaczął się dla nas wzrastająca codzienność gorączką.

Postać Warszawy zmieniała, się codzienność, ślepyby chyba nie dojrzał, że tu się przysposabiano do stanowczego kroku.

Igelstrorn wprawdzie miał doskonałe raporta o stanie umysłów, lecz nie przypuszczał pono nigdy, ażeby do walki w stolicy przyjść mogło. Posłał on po posiłki, obawiając się wręcz powstania i Kościuszki niż samej Warszawy. Tu codziennie aresztowano kogoś, ostrożności były nadzwyczajne; król, hetman i cała zamkowa partya w myśl jenerała działała i z nim trzymała....

Nie było tajemnica dla nikogo, iż w wielkim tygodniu, korzystając z tego, iż lud miał być przy grobach i po kościołach, chciano arsenał opanować i wojsko polskie rozbroić.

Ożarowski zgodził się na to.

Cichowski jenerał, który przy nim adjutantem był i naczelnikiem sztabu, należał do związku, przez niego wszystko naszym było wiadome... Moskali w Warszawie było od siedmiu do dziesięciu tysięcy, polskiego wojska, rozbitego, rozdzielonego, porozkładanego po koszarach i na Pradze, mało co więcej nad dwa tysiące. — Liczyliśmy wszakże na mieszczan, których arsenał powinien był uzbroić.

Zaraz nazajutrz posłano mnie do Juty z papierem, który miała odnieść na Pragę.

Zapukałem do drzwi, a że w pierwszych dwóch izdebkach" pełno było czeladzi u roboty, poszedłem z nią aż do trzeciej, przyczem roztropna Juta, ażeby znać nie dać posadzać, iż z czemś ważniejszym przychodzę, śmiała się i żartowała, co mnie bardzo zmieszało. Czułem, iż źle odegrywałem rolę moją. Szedłem za nią zmuszając się do uśmiechu... a w sercu gorzko mi jakoś było. Przyszła matka, prosząc mnie na kawę, którą zaraz sama przygotowywać zaczęła. — Myśmy się cofnęli w głąb okna i tu, nieznacznie oglądając się, aby czeladź nie dojrzała, wręczyłem jej papier, który pospiesznie schowała.

Pierwszy raz widziałem ją po dniu... wydała mi się daleko piękniejszą niż wczoraj. Płeć miała dziwnie białą i delikatną, śliczne oczy lazuruwe, czoło wysokie a rzęsy ciemne; gdy powieki spuściła, jedwabną frędzlą kładły się na licu... Szlachetny wyraz twarzy dziwił w prostym dziewczęciu. Przypatrywałem się jej ze drzeniem, ona mi z obojętną ciekawością. Kilka stów przemówiliśmy po cichu do siebie.

Zapewne dla zbałamucenia czeladzi w drugiej izbie, od której drzwi stały otwarte, wesoło i śmiejąco się mówiła do mnie.... Czuć jednak było, że ta wesołość i humor wyrobione były umyślnie. Matka takie dla oszukania ludzi przyjmowała mnie jakby kawalera....

Nie było nic tak dziwnego naówczas, żeby się szlachcic, oficer starał o córkę zamożnego rzemieślnika i mieszczanina, mającego dom i kapitalik jak Wawerscy. Żeniło się wielu, zwłaszcza gdy panny były ładne i dobrze wychowane.

Umyślnie przesiedziałem tu chwilę, aby się komuś nie zdawało, że jak po ogień przyleciał. Juta siadła naprzeciw mnie wsparta na rękę... ale rozmowa wymuszona nie szła. Przypatrywała mi się tylko ciekawie i wcale nie kryjąc z tem, że chciała lepiej poznać narzeczonego jej młokosa.

Mnie się nie wiodło, prawilem od rzeczy, spokojny wzrok Juty jakby starszej siostry

spoczywający na mnie... odbierał mi przytomność. Gdy przyszło odchodzić, Wawerska umyślnie znowu wyprowadziła mnie przez warstat i czeladź aż do progu, ciągle na głos powtarzając:

— Prosimy bardzo bywać u nas częściej, choćby co dnia, bardzo prosimy, zrobisz nam pan wielką przyjemność. Juta dawno chciała brać lekcye rysunku... a tego starego Foligna, to się ani doprosić.

Z tego dowiedziałem się, że mogę odgrywać rolę nauczyciela rysunku.

Spłoszony, zmęczony, nie rad z siebie wydobyłem się na Rynek, tu dopiero odetchnąłem. Szedłem powoli ku zamkowi zamyślony, rozglądając się, gdy po za sobą usłyszałem żywy chód i zobaczyłem już idącą Jutę.... Nowy to był dla mnie widok — spotkać ją w ulicy... ustąpiłem na bok i skryłem się pod bramę, żeby się jej lepiej przypatrzeć.

Okryta chustką czarną, tak że twarzy jej prawie nie było widać, szła a raczej biegła krokiem pewnym i śmiałym, z postawą tak zręczna i uderzająco piękna, iż ja za przebraną panią jakąś wziąć było można. — Nie spostrzegła mnie nawet i pominęła zamyślona, szła zajęta swoim poselstwem. Poszedłem za nią zwolna i długo ścigając oczyma. Dziwnie mi się to w głowie mięszało. Zdawało mi się, iż się parę razy zatrzymała, przechodząc i wymieniając słów kilka ze spotkanymi mieszczanami... znikła mi potem za zamkiem...

Powróciłem do domu. Tu trwogę zastałem i radość niezmierną — wiedziano już o bitwie pod Raławicami i zwycięztwie, które w pierwszej chwili naturalnie jeazcze większe przybrało rozmiary. Szambuś opowiadał, że w zamku i u Igelstroma panował niewy stawiony popłoch...

Przeklinano Jakobinów!

Na ucho mieszczanie opowiadali sobie, iż kilka tysięcy Moskali na placu legio, że wojska ich były rozbite, armaty zabrane i po raz pierwszy wieśniacy z kosami heroicznie wystąpili, przyczyniając się do zwycięstwa...

W kołach wojskowych i szlacheckich, cieszą się zwycięztwu to prawda, lecz gdy mowa była o chłopach i kosach, milczano. Powołanie włościan do broni było rzeczą tak nadzwyczajną, iż w tej chwili pachniało w istocie jakobinizmem i napełniało obawą. Szlachta nie tała się z tem wcale, że zwycięzkie kosy i dla niej były straszne... Po co to odrywać ludzi od zagona i roli, czy to ich rzecz bić się za ojczyznę a od czegoż my?

Akt powstania i odwołanie się w nim do ludu, czytane na zamku wywołały naturalnie zarzuty jakobinizmu.

Wkrótce potem ukazały się plakaty Rady nieustającej, zaskarżenie o zdradę i ustanowienie sądu na buntowników, ale te zdzierano natychmiast. Opowiadano o Igelstromie, iż przystąpić doń nie było można, wpadał w wściekłość na widok kontusza, odgrażał się, łajał, bezcześcił senatorów... kłął i przezywał zdrajcami wszystkich... W ulicy mało się kto śmiał pokazać a przed mieszkaniem posła unikano przejeżdżać.... W mieście zapanowała straszliwa cisza i pustynia... Ludzie suwali się bokami, starając się przejść niepostrzeżeni i niepoznani... Żołnierze moskiewscy czy w skutek rozkazów, czy rozzuchwaleni napastowali najspokojniejszych przechodniów, odwachy pełne były uwięzionych.

Rozumie się, iż w takim stanie rzeczy ludzie najczynniejsi kryli się jak najpilniej, nie chcąc zwracać na siebie uwagi; ja — najczęściej po cywilnemu i panna Juta, na którą, nikt nie zważał, nosiliśmy rozkazy, przynosili wiadomości. Cały ruch miejski skupiał się przy Kilińskim, który na oko zajmował się swoim rzemiosłem; ani poznać było można po nim, że w jego rękach los stolicy a po części i kraju się mieścił. Zawsze wesołego i rubasznego humoru, odważny, zimnej krwi, nie dawał z powierzchowności domyślać się, jak był czynnym. W mieście tak wielkiem, gdzie Moskale długim pobytem porobili tysiące znajomości i stósunków, przygotować lud, czeladź, — część narodu najmniej nawykłą do tajemnicy i milczenia, tak aby, przed czasem nie zdradzić się — było

prawdziwym cudem. Patrząc, jak się to w ciszy przysposabiało... nie mogłem wyjść z podziwu i uwielbienia dla człowieka prostego, nieprzebiegłego wcale, który to tak poprowadzić umiał.

Zbliżał się wielki tydzień... czuć było mimo tłumionych uczuć wrzenie w całej ludności... obiegały wieści o rzezi, o zbrojeniu, o napaści Moskali na kościoły. Wszystko to rozdrażniało lud, ale co kipiało w nim, nie okazało się na zewnątrz. Igelstrom mógł sądzić, iż grozą i trwogą zmusi Warszawę do poddania się. Nie szczędzono też tej grozy i znęcań. Na zamku panowało przerażenie — ale nie tak rewolucyi się tam obawiano, bo od tej wojska rosyjskie zabezpieczały, jak gniewu Imperatorowej, którym zawczasu Igelstrom piorunował.

Król napróżno przedstawiał mu, że za obłąkaną część narodu nie godziło się karać wszystkich, — po- dawał do zrozumienia, iż w niczyja niewinność nie wierzy.

Z każdym dniem było gorzej, powietrza zdało się braknąć do oddechu... około koszar kozactwo, armaty do koła, szpiegi, włóczęgi... prześladowanie do niezniesienia. Major Zajdlie i kapitan Mycielski nie stracili wszakże ducha. Ponieważ miano ich na oku, posyłali mnie lub Jagodzińskiego, a że i ja też na Dunaj do Kilińskiego dostać się nie mogłem ani do Morawskiego rzeźnika, który mu pomagał, posyłaliśmy Jutę, po całych często dniach prawie bez spoczynku, bez jadła biegająca to na Pragę, to po różnych miasta zakąskach. Co biedne dziewczę wycierpieć musiało przez to, ona tylko wiedziała! Nie poskarżyła się wszakże nigdy a często, gdy ledwie przysiadłszy i nie mając czasu spocząć musiała biedz znowu, blada i zmęczona słowem się nawet nie odezwała. Matka patrzyła jej w oczy z politowaniem, otarła łzę i milczała także.

Mieliśmy już i komunikacye z Kościuszką, i Krakowem i z Litwą, gdzie się Jasiński gotował, i z wojskiem stojacem na Ukrainie i z Wołyniem a w Warszawie wszyscy z sobą staliśmy w porozumieniu a Moskale albo się nie domyślali nic lub bardzo mało. — Działo się to wszystko pod ich oczyma, które Pan Bóg zaślepił. Nie rozumieli nas, nie mogli nic odkryć, a szczęściem nie było zdrajcy naówczas między nami.

Duchowieństwo po klasztorach także było bardzo patryotyczne i pomocne; u nich najpewniejszy był skład broni, przechowanie ludzi, a gdy posłańców nie stawało, można było na śmiało braciszkowi w ucho szepnąć, aby szedł tam a tam, sprawił się zawsze jak najlepiej.

Na zamku wcale nie było po dawnemu... Spojrzawszy nawet od ulicy, poznać mogliśmy łatwo, jak tam królowi ciasno było. Tych tłumów dworaków jak dawniej, tego ścisku, karet, tego napływu cudzoziemców wcale nie było widać co dawniej. Służba zmniejszona, reprezentacya skromniejsza, mała garść kręciła się jeszcze tylko około Poniatowskiego, który całe znaczenie stracił. Moskale oddawali mu honory jako głowie koronowanej, ale Igelstrom obchodził się z nim jak z niewolnikiem... Ani balów, ani asambłów... ani obiadów licznych na zamku.. Otaczała króla familia, prymas, który znowu był tu wy- rocznia, pani Krakowska, Wojewodzina lubelska, Mniszchowie, pani Grabowska, ekspodkotnorzy, Tyszkiewiczze... Prymas, pani Krakowska i Grabowska jak byli zawsze tak teraz jeszcze bardziej trzymali się Rosyi i ambasadora. Pilnowano króla, strasząc go jakobinami, ażeby z tego kółka nie wyszedł, Dnie i nocy narzekano na Potockich, na sejm czteroletni i wszystko złe jemu przypisywano.

Więcej pobłażania było dla konfederacyi targowickiej; o tej tylko po cichu, w małym kółku rozpowiadano sobie, jak dokazywała przez krótki czas życia swojego. Oczy i serca ztąd skierowane były na Petersburg. Spodziewano się pokora i uniżonością przebłagać carową — gdy powstanie krakowskie wybuchło. Dla króla i familii był to cios nowy — znaleźli się między młotem a kowadłem. Największy wstręt miano do rewolucyi, a z drugiej strony Moskal stawał się najnieznośniejszym, wymagającym, despotycznym — król nie chciał się ani jednej ani drugiej narazić stronie i męczył się okrutnie. Ożarowski i Zabiełło przychodzili doń nie już z rozkazami od

Igelstromo, ale tylko z wiadomością, co zostało nakazane... Król się godził na wszystko.

Wygrana pod Raclawicami wszakże dała mu do myślenia: — A nuż rewolucya zwycięży? rewolucya, jakobiny, teroryści, demagogi.

Nie przypuszczano wszakże w, zamku, aby potęga Rosyi mogła być złamaną, a w odwodzie byli też Prusacy. To uspokajało.

Gdy tak z jednej strony świat urzędowy łudził się nie czując, co miał pod stopami, w mjeście organizowało się na dobre powstanie.

Przez Cichowskiego wiedzieliśmy na pewno, że w czasie nabożeństwa wielkopiątkowego miano zająć arsenał a dla odciągnięcia ludu pożary wzniecić umyślnie. — Ośm przeszło tysięcy wojska mający Igelstrom i dobrych jenerałów nie wątpił, iż, choćby do starcia przyszło, zwycięży i steroryzuje Warszawę.

Nam więc trzeba się było spieszyć, aby go uprzędzić.

Szpiegów było pełno, ale ci patrzyli i nie widzieli nic lub to, co wagi rzeczywistej nie miało; nasi scho- dzili się w arsenał, na ratuszu, po gospodach, w izbach koszar... radzili, rozsyłali rozkazy, posyłał, Pan Bóg im oczy pozamykał.

W istocie, gdy sobie teraz przypomnę tę chwilę, wybuch poprzedzającą, nie mogę pojąć, jak się stać mogło, że nas zawczasu nie pobrano, że do ostatniej godziny Igelstrom nie wiedział nic... Mimo ostrożności ludzie się prawie jawnie umawiali, co robić mieli; noszono w fartuchach skałki i ładunki, po warsztatach nie było roboty, na każdy odgłos dzwonu zrywali się ludzie, niepokój malował się na twarzach.

Żołnierze moskiewscy w wielu domach stali kwaterą, ocierali się niemal-o spiskowych... nie domyślali się nic.

Być bardzo może, iż wielki tydzień, nabożeństwo, przygotowywanie się do świat, zwykle czyniące zamęt w życiu powszedniem, przyczyniały się do tego.

W wielki wtorek już, ani Kiliński ani Morawski nie pokazywali się na ulicach... w koszarach naszych przygotowywano wszystko. Najczynniejszy był kapitan Mycielski, bo i sam sobą, i groszem robił, co mógł. Haumanowi pułkownikowi, który wywiezionego szefa Działyńskiego zastępował, nie wypadało się mięszać aż do ostatniej chwili, bo był zbyt na oku.

Gdym tego dnia przyszedł do domu, żeby dziadka Mańkiewicza pożegnać, bo chciałem mu oznajmić, że się muszę do koszar przenieść, zastałem oboje staruszków bardzo skonsternowanych, Szambuś im placu dotrzymywał.

Po twarzach znać było, że się oboje Mańkiewiczowie albo domyślali lub wiedzieli coś, o czym ja im mówić nie mogłem. Gdym wszedł, stary mnie przywitał kwaśno.

— Co bo waszeci już ani widać! zawołał — co się z tobą dzieje?

— Ale służba — rzekłem — służba...

— Gdzie? co? służba! gadaj temu, co nic nie rozumie... w wielkim tygodniu! jaka służba?

Popatrzyli na mnie, zmieszany byłem.

— Ale słowo daję dziadusiowi, że — służba, odpowiedziałem, jużciżbym z dobrej woli nie latał...

Szambuś na mnie spojrział uważnie, skorzystałem z tego przemówienia, aby przy tej zręczności oznajmić, że dom będę musiał opuścić.

— Tak pilna u nas teraz służba i mustra, rzekłem, że nawet przyszedłem się oznajmić, iż na kilka dni niuszę się przenieść do koszar. Mam rozkaz od kapitana Mycielskiego...

Wszyscy się na siebie popatrzyli znacząco i umilkli... Szambus chrząknął.

Mańkiewicz, chociażem się spodziewał sprzeciwienia z jego strony, nie powiedział nic...

Zamilkłem i ja... Nie śmieli mnie znać pytać a odpowiadając też nie mógł... Po chwili Mańkiewicz, odprawiwszy chłopaka na miasto i opatrzywszy drzwi, powrócił.

— No — gadaj, co się święci? w mieście wre? wy cóż gotujecie? tu nie ma co się wyklamywać... ja stary i kaleka, licho mi jeszcze nadało stanąć tak niedaleko od kwatery posła... może być nieszczęście przy jakim zamęcie... Co robić! Czy w istocie poszaleliście i zamierzacie co?

— Ja o niczem nie wiem — rzekłem, jestem młody, spełniam rozkazy, a reszta do mnie nie należy....

— Ale oczy masz! cóż się tam gotuje? zawołał stary, Moskali z jakie dziesięć tysięcy w mieście, naszych nie ma i dwóch a to połowa na Pradze, artyleryi nie ma... ładu też pewnie... z czymże się tu porywać? z motyka na słońce?

Znałem Mańkiewicza, że był patryotą najgorliwszym, ale też tchórzem znakomitym... ruszyłem ramionami i nie odpowiedziałem nic...

— Gadajże, czarno czy biało! zawołał stary!... cóż boisz, się mnie czy co?

— Spodziewam się, że mnie też pan Syruc się nie boi? — uśmiechając się rzekł Szambelan...

— Musiałbym powtórzyć tylko - to, com mówił — odpowiedziałem z wolna — nic nie wiem. Po mieście jednak mówią wszyscy i to żadnym sekretem nie jest, że Moskale w wielki piątek rzucić się mają na domy, miasto podpalić, arsenał opanować i rzeź sprawić! — Ale, gdzie zaś! ofuknął dziad.

— Tak mówią, powtórzyłem — nie bardzo w to wierzę... Powiadają, że na domach znaki kredą porobione, poznajdowano... Gdyby w tem co było prawdy, czyż mamy dać się jak barany w pień wyrznąć nawet nie broniąc... ?

— To są brednie — przerwał Mańkiewicz. Zamilkliśmy.

— Wpadłem w matnię, dodał namyśliwszy się, z Warszawy wyjeżdżać za późno... będzie rzeź, to dostanę po gardle a uchowaj Boże awantury... także nie lepszy koniec.

— Mój jegomość, odezwała się, spokojniej pani Mańkiewiczowa, choć to babskie zdanie, możecie go posłuchać. Gdzie się ratować można, dobrze się zakłopotać, a jak nie ma ratunku, co najlepsza? Zdać się na wolą Bożą i siedzieć. Jam się już wypowiedziała, jegomość też, sumienie mamy czyste... niech się dzieje, co da Opatrzność.

— Ale zapewne, — potwierdził głowę skłaniając Mańkiewicz — ale zapewne... jednakże... wpadłem w matnię... Na oczy mnie Beekler nie wykurował, a gardło dla nich przyjdzie dać...

— Juścić nas w pień wszystkich nie wyrzną — dodał szambuś. Są strychy i piwnice... są schowki... jak już wielka bieda będzie... to do nory...

Wstałem, ażeby starych pożegnać, szczerze mi ich żal było, Mańkiewicz podniósł się, objął mnie za szyję i błogosławiąc po cichu rozplakał się.

— Ty także, nieboraku, szepnął, pewnie w kącie siedzieć nie będziesz... niechże cię Chrystus Pan od nieszczęścia strzeże... in nomine patris et filii. Wstrzymywać cię od zapłacenia świętego długu ojczyźnie — nie będę... ale szanuj się.

Wszystko to w ucho mi kładł po cichu, zbliżyła się staruszka ze łzami w oczach także, ale. męźniejsza.

— Nie rozmazujcie się, rzekła, co Bóg da, to da. Polakowi w ogień iść to zwyczajna rzecz... Dziadowie i pradziadowie wasi nie inaczej ginęli. Naliczyłabym moich kilka pokoleń z rządu, z których ani jeden na łóżku nie umarł, wszyscy na placu... I toć piękniejsza śmierć nad inną. Co Bóg da, to da!

Szambuś wstał i zbliżył się też do mnie.

- Kawalerze kochany, odezwał się, ja, tak dyskursy we, na przypadek dla informacji powiem ci, — nie żebym się do czego chciał mięszać... ale... wierzaj mi tak... dyskursy we tylko... powiem ci...

że... tego (tu się pochylił do ucha mego) w kamienicy ambasadora tylne wyjście trzeba mieć... na oku... hm!

To powiedziawszy, odskoczył, zbliżył się do mnie znowu i tak samo mi szepnął.

— Szanuję kościół, ale z Kapucynami porozumieć się — hm! — bo to naprzeciw Igelströma — punkt — wielkiej importancyi — hm... Tak, dyskursywe.

Odprowadzany aż do drzwi poszedłem. Ledwie do koszar dobiegłem, zawołano mnie do kapitana Mycielskiego. Między innemi wyznaczony zostałem w środę do zajęcia stanowiska właśnie około Kapucynów, naprzeciwko pałacu, w którym stał Igelström, niedaleko od mieszkania dziadka, mając polecenie śledzenia, kto będzie wchodził i wychodził i gdzie posłańców wyprawia. Było nas dokoła rozstawionych tak kilkunastu, ale po cywilnemu, bez mundurów.

Szambuś doskonale odgadł, bo już naówczas dowiedziałem się, że nazajutrz rano rozpocząć się miało od napadu na tę główną kwaterę.

W przód jeszcze, nim zająłem mój post w izdebce u szewca, z której okna doskonale bramę i furtkę widzieć mogłem, musiałem pobiedz z kartką do Juty.

Było tylko co z południa, gdym do nich zapukał. Sama mi otworzyła. Warstat pusto wał, czeladzi nie było nikogo, w trzeciej izbie właśnie Wawerska zastawiła była obiad, gdym się zjawił.

Juta była blada... oczy się jej tylko paliły, a miała oczy dziwne, bo się w nich barwa mieniła. Bywały szare, niebieskie a czasem ciemno-szafirowe, bledły i ciemniały, gdy się uspokoiła lub rozgorączkowałyła i jak twarz jej stawała się białą albo karmazynową od zapływającego rumieńca, tak te źrenice wielkie, czyste... mieniły się cudownie. — Popatrzyłem na nią, była zmęczona widocznie, — niespokojna, ręce jej drżały a wzrok pałał.... Zaryglowałem drzwi i przeszedłem z nią do matki.... Stara milcząc jadła rosół a dla córki talerza nawet nie było....

— A pani nie jesz? spytałem. Była już śmielszą ze mną,

— Nie mogę — rzekła, zmęczona jestem okrutnie, nogi pod sobą ledwie czuję, głodna jestem a do ust nic wziąć nie mogę. Im bliżej ta godzina wielka, stanowcza, tem niespokojniejszą jestem. Mój Boże wielki — dodała łamiąc ręce — azali się nam też uda biednym — azali się uda! Moskale gotowi, wiercie mi — może nawet co wiedzą. — Chodząc tyle, patrzałam baczenie, wielka pilność u nich. - A! Boże, czy też się nam uda!

I padła na krzesło, zakrywając oczy.

— Wszystko w mocy Bożej — szepnąłem wzruszonym się czując jak ona — w takich sprawach nie ma podobno człowieka, któryby wyrachować potrafił, jak się powie. Najmniejsza rzecz może dopomódz, najmniej znacząca na pozór przeszkodzić... ja mam dobrą nadzieję.

Juta miała oczy łez pełne.. matka, popatrzywszy na nią, rzekła:

— Ale zjedzże co ciepłego... ta to powietrze jakby stworzone, żeby febry dawało... choć łyżkę...

Ona już chustkę narzucała chcąc iść.

— A pan? odezwała się — pan pewnie głodnym jesteś i więcej potrzebujesz niż ja posiłku i siły.

— Ja jadłem — rzekłem dziękując i potrząsając głową...

Matka podsunęła jej talerz, wzięła łyżkę przez posłuszeństwo, poniosła ją do ust i położyła.

— Nie mogę — szepnęła — nie mogę — prędzej suchego chleba kawałek... Muszę iść na Dunaj... gdy wrócę, matusia mi zrobi kawy... bo ta sen odbiera, a ja nie chcę i nie mogę spać... W tej chwili zasnąć... tegobym sobie nie darowała...

Przyznając się bez wstydu, że w szalonej dziewczynce tej zakochałem się już naówczas, a pewny jestem, że każdy młody człowiek, coby na mojem miejscu był, tak samoby. głowę stracił. Lecz im mija mocniej zawracała, tem więcej się starałem ukryć z tem, co się ze mną działo. Za nic w świeciebym się z tem nie wydał, udawałem najobojętniejszego...

Już miała wychodzić, a ja, pożegnawszy się z matką, szedłem też do progu, gdy zwróciła się do mnie z poufałością niewinna siostry...

— Gdzie pan będziesz stał? zapytała...

— Kazano mi przy Miodowej być na czatach aż do — chwili...

— W ulicy?

— Nie — rzekłem, mam tam na dzień kątek u szewca i okno... podle Kapucynów...

— No — odezwała się, stojąc w progu i podając mi rękę — *Bóg* wie, czy się na tym świecie jeszcze spotkamy i zobaczymy, *Bóg* wie, co mnie i co was czeka... pracowaliśmy razem dla jednej sprawy... bywaj rui zdrów, dobry towarzyszu...

Uśmiechnęła się smutnie. W uniesieniu porwałem jej rękę i z zbytnia może gorączka począłem ją całować, aż mi ją, wyrwać musiała i zarumieniła, się. Nie rzekliśmy już ani słowa, bo pobiegła piorunem pędząc po wschodach, a ja wlokłem się jak sparaliżowany. — Na duszy dziwnie, strasznie, smutno mi było... -

W kilka dni tych przywiązałem się do niej, po bratersku prawda, ale tak, że mi się zdało, iż nigdy już obcemi sobie pozostać nie możemy. Uczucie jedno związało nas, zbliżyło... spoufaliło tak prędko, tak mocno, żem teraz myśląc, iż może już nie zobaczę jej nigdy, kamień miał na sercu. — Poszedłem na stanowisko.

Izdebka była brudna, wyziewem skór i smoły przesiąkła, ciasna, okno zasmolone... słowem stanowisko wcale nie miłe. W pierwszej izbie majstrowa Tomiłowa. z trojgiem małych dzieci, jedno u piersi, drugie w kolebce, trzecie raczkujące po podłodze. Jeżeli jedno przypadkiem usypiało, drugie zaczynało krzyczeć, jeżeli dwoje się uspokoiło, płakało trzecie. Biedna kobieta ze swem — luli, luli i wzdychaniem do Boga o ratunek i fukaniem i pieścizotami czyniła mi wrażenie prawdziwej męczennicy. Miałem już ochotę najstarszego potomka Tomiłów na kolana wziąć i sprawić mu — jedzie pan na koniku!!.. ależ od szyby nie wolno mi było odstąpić...

Przed nią brama domu Igelströma była jak na dłoni...

Ile razy się otworzyła w dziedzińcu, mogłem dostrzedz stojący batalion piechoty pod bronią... Ruch był ogromny... konni kozacy co chwila przybiegali i odjeżdżali. Kilku jenerałów przybyło na narady..

W oknach pierwszego piętra przesuwwały się mundury i gęsto snuły najrozmaitsze postacie.

Kareta hetmana Ożarowskiego przybyła także i stanęła... za nią przyjechał Zabiełło, potem Ankwicz.. potem jenerał adjutant od króla...

Narady trwały długo.. wysłano parole na miasto... Znowu kozak pobiegł konno ulicą Miodową ku Sto-Jerskiej...

Zaczynało zmierzchać, gdy pierwszej izby drzwi się otworzyły, ktoś wszedł... Poszeptano cicho... patrzę, w progu stoi Kiliński. Choć wcale gorąco nie było, pot ocierał z czoła... podał mi rękę...

— Coś te.... przewąchały! szepnął — prawda.. jak w ulu pszczoły brzęczą... Nie widziałeś, kto to z naszych panów był? zapytał.

Powiedziałem mu imiona tych, których znałem, głową potrząsał. — E! było ich tam pewnie więcej.. a dobrzeby spisać, aby jegomościów do porachunku pociągnąć... hm!!.

Popatrzał tedy sam przez szybę, długo...

— Mój poruczniku — rzekł. — mnie się zdaje, że wybyście gdzieindziej byli zdatniejsi niż tu. Wieczór nadchodzi... tu nie ma już co robić...

— Ale kazano... odparłem...

— Zluzują was pewnie...

Zgadł pan majster, gdyż w samej istocie przysłano mi wieczorem rozkaz stawić się do koszar...

Wolniej odetchnąłem odebrawszy go, bo mi tu beczynnemu było i nudno i wstyd siedzieć z założonymi rękami... W ulicach patrole kozackie latały, tak że z wielką trudnością przyszło mi się przedrzeć nie zaczepionemu przez nie, bo po drodze zatrzymywały i badały niemal każdego. Już pod koszarami znalazłem rosyjskich żołnierzy, jakby rozproszonych umyślnie, aby przystępu do nich bronili... Nasi oficerowie warty tóż rozstawili, żeby się do koszar nie dać zbliżyć nikomu i szpiegować. Gdym nareszcie wpadł tu rozradowany i szczęśliwy, znalazłem wszystko w poruszeniu i spiesznem przygotowywaniu... Ale musieliśmy cicho to robić, aby nie zaalarmować nieprzyjaciela przedwcześnie...

Było nas razem wszystkich nie więcej nad czterechset kilkudziesięciu ludzi; mieliśmy cztery armatki trzyfuntowe, ale bez koni...

W salach, gdzie byli żołnierze, skupiało się wszystko około oficerów... Zapał był ogromny, prości ludzie przysięgali głośno, że padną trupem wprzód, niżeli sobie broń wydrzeć 'dadzą'. Zapowiedziano im bowiem, że Moskale rozbrajać mieli... W mieście cichuteńko jeszcze było... U nas o północy - też uspokoiło się nieco, bo godziny stanowczo oznaczonej nie było i mogło jeszcze co przeszkodzić; musieliśmy sygnału czekać, gdy we dzwony uderzą...

Godziny się wlokły powoli... była czwarta z rana, gdyśmy naprzód usłyszeli od strony Saskiego ogrodu i Żelaznej bramy wystrzał z działa.

Równemi nogami porwali się tedy wszyscy, poznawszy, że już się poczyna... Konie pod działka, amunicją, kasę mieliśmy wprawdzie napatrzona i zamówiona, lecz trzeba je było dopiero ściągnąć. Pułkownik Haumann, kapitan Mycielski, major Zajdlic stali już w pogotowiu... żołnierz się rwał...

— Do broni! rozlegało się po koszarach...

Była krótka chwila zamętu, ale ta nie trwała, żołnierze biegli i stawali ochotnie w szeregach.

Wykomenderowano oddział, aby co najbliższe warty moskiewskie zdejmował. A tuż... nigdy większego w życiu nie doznałem wrażenia, wszystkie dzwony w mieście uderzyły na gwałt. U Dominikanów, Paulinów, Bernardynów, u św. Krzyża... zaczęto bić... zrazu w największe, potem we wszystkie.

Ledwie na dzień się brało... ciemno dokoła... Po pierwszym wystrzale cisza, potem daleki, głuchy tentent i krzyki stłumione i wyżej wszystkiego głos dzwonów.

Rozeznac było można prawie, że nie na modlitwę wołają, te dzwony, że nie jęczą żalnością, grobowy, że to jeszcze nie tryumf głoszą, ale budzą do broni... Zrazu zwolna, nieśmiało dźwięczały, potem rozkołysały się, rozpędziły, coraz żywiej, goręcej, jakby czuły, co czynią... jednym jękiem nieustannym krzyczeć się zdawały — Do broni! do broni!

Zdala budziło się miasto całe... a raczej zbudzone i oczekujące wstało w mgnieniu oka. W nas już kipiała krew... Strzały rozlegały się zdala i znów głos potężny dzwonów... i huk, którego już rozeznac nie było podobna.

O brzasku wybiegliśmy z koszar w porządku... Podporucznik Sypniewski, mężny żołnierz, szedł przodem w awangardzie, co mógł zdążyć. Zdawało się nam, żeśmy się opóźnili na głos tych poświęconych dzwonów, że nam na wstyd dragoni mirowscy i gwardya wyprzedzić musiała. Tak doszliśmy do ulicy Ujazdowskiej... O brzasku rannym z boku postrzegł Sypniewski o kilkaset kroków tylko kolumnę moskiewską z ośmiu armatami. A że ta dała nam przejść nie zaczepiając a nam też zbyt pilno było do miasta, żebyśmy tu z nią walkę rozpoczynać mieli.

Wbiegliśmy tak na Nowy Świat... Kamienice pozamykane, ulice puste, w oknach rzadko gdzie głowa, dzień się robi... ze dzwonnicy gwałt a w mieście już słyszymy strzały i krzyki i szum... Biją się.

Spieszmy. — Oko w oko znowu spotykamy się z uszykowanym szwadronem jazdy moskiewskiej

pułkownika Baura, który znać rozkazów nie mając, puszcza nas dalej. Minąwszy szwadron... napadamy na tłum ludu naszego, ale bezbronny. Rzemieśnicza czeladź, słudzy, mieszczenie... z gołemi rękami.

Sypniewski woła... — Lećcie do koszar naszych, znajdziecie broń, a prędzej!... i w mgnieniu oka ta fala ludu uliczkami się rozplywa ku koszarom. Myśmy tak spokojnie dobili się aż do ulicy Sto. Krzyckiej.

Tu już trzeba było stanąć. Naprzeciw nam wykierowane były dwa działa i pułk moskiewski przeciął ulicę, zajmując całą od pałacu Branickiego do kościoła ks. Dominikanów Obserwantów.

Położenie nasze było wcale nie miłe, z tyłu za sobą pozostawiliśmy nieprzyjaciela a tuśmy go mieli przed nami... Trzeba było próbować fortem jeśli nie siłą... Huk w mieście rozżarzał nas, odbijał się nam w" piersi jak gdyby napróżny jęk i wołanie:

- Przybywajcie na pomoc.

Pułkownik Hauraann wysłał naprzód adjutanta Lipnickiego na zwiady, jakąśmy siłę przeciwko sobie mieli. Dowiedzieliśmy się przez niego, iż ludzi około pięciuset w czworobok ustawionych z ośmiu działami pod komendą generała Miłasiewicza i księcia Gagaryna zapierali nam drogę.

Hauraann wyprawił majora Gresena z żądaniem, aby nas do zamku przepuszczono... ale wnet rozeszła się wieść, że posła naszego aresztowano...

Sypniewski tymczasem ciasną uliczką ś. Krzycką posunął się nieostrożnie, chcąc bok nieprzyjacielowi zająć i dom, w którym była apteka Misyonarzy. Zmuszony był jednak cofnąć się, gdyż groziło niebezpieczeństwo w zbyt ciasnym przejściu i podoficera jednego ubito... z najlepszych naszych strzelców.

Mycielski z jedną dywizją i jedną armatą wysłany został ulicą Warecką dla obrony od napaści z tyłu... Staliśmy jak na mękach... nie wiedząc, co począć, gdy — z nakazu czy z niecierpliwości z jednego naszego działa dano ognia...

Ledwie się dym rozszedł, gdy Moskale w odpowiedzi kartaczowym ogniem sypnęli... a żeśmy stali bardzo blisko, ranili i zabili nam wielu, popłoch się* wszczął, ale też wołanie — Na miłość ojczyzny naprzód ! na działa! na działa!...

Adjutant Lipnicki i chorąży Urbanowski na bagnety prowadzili wprost zebranych ludu naszych, bo prędko oprzytomnieli, lecz w chwili, gdy już miało przyjść do walki wątpliwej bardzo, Urbanowskiemu myśl przyszła doskonała, zsiadł z konia, cofnął się i wprost na wrota klasztoru Dominikańskiego wpadłszy wyłamał je, prowadząc za sobą ludu.

Czyby mu do końca stało tej myśli dobrej, nie wiem, możeby był z podwórca się bronił — lecz tuż w białym habicie, z twarzą rozognioną, schwycił go za rękę stojący braciszek.

— Na miłość Boga! na wieżę! na wieżę za mna! na wieżę!

Sam skoczył przodem pochwywszy karabin, Urbanowski też, żołnierze ilu ich było...

Chorąży znalazłszy eię na drugim piętrze i opatrzwszy okna, w mgnieniu oka strzelców rozstawił.

— Ognia! rzekł, — ale tylko do artylerzystów co przy działach!

Strzelcy byli, co do jaskółek mogli w lot kulami palić, jak wzięli na cel... posypali się artylerzysci. Kule padały jakby z nieba i odpowiedzieć na nie sposobu nie było... Popłoch się stał w szeregach wielki.

Sypniewski skorzystawszy z tego, pod ogniem nieprzyjaciela rzucił się na bramę pałacu Branickiego ze swemi strzelcami i tu z za murów też jął razić w odkrytem miejscu stojących żołnierzy Miłasiewicza. Szło to tak szczęśliwie, że duch wstąpił w nas, uporządkowaliśmy się jak należy, jedno działo ustawiono w rogu ulicy ś. Krzyckiej, drugie zaprowadzono na Sułkowskie.

Przy pierwszym z tych dział obsługa była jeszcze jakakolwiek, bo kapitan Mycielski wcześniej artylerzystów pozbierał, ale na Sułkowskim można powiedzieć, że Pan Bóg strzelał nie ludzie... Było około działa dwóch doboszów, którzy tyle tylko, że kiedyś widzieli, jak strzelano i nabijano, i że czterech chłopców wyrostków po lat czternaście pod komendą doboszów, amatorów z pozakasywanymi rękawami, jeden od szewca, drugi od stolarza, inny od ślusarza. Ci wśród ognia, kul.. trupów śmiejąc się i wykrzykując, choć jeden z nich padł; heroicznie się popisywali, aż dusza rosła.

Mnie, choć kule świstały koło uszów a jedna ładownicy pas przecięła, dotąd się nic nie stało. Z razu przyznam się, pierwszy w życiu wytrzymując ogień, po kartaczowym wystrzale poczułem rozróż w kościach; ale gdy się walka zawzięła na dobre, wszelka myśl o sobie, o niebezpieczeństwie pierzchnęła... gorączka opanowała. Zapomniało się, że można być zabitym, pamiętało, że bić i zwyciężyć potrzeba.

Nadzwyczajna przytomność umysłu i męstwo naszych oficerów ciągnęło, można powiedzieć, za sobą... Kapitan Zabilski z porucznikiem Witkowskim rwali się naprzód i trzymali ludzi, nie dając się im rozsypać; dawano ognia i wytrzymywano ogień dzielnie a tymczasem idąc za przykładem Sypniewskiego, major Zajdlie z Monkeynem z jedną armatą i małym oddziałem wparł się do pałacu, ordynackiego, przeszedł go i atakował z boku... a potem zajął miejsce pod kościołem Wizytek; Kowalski tak samo przysunął się do pałacu Karasia, Woliński zaś poparł Urbanowskiego i strzały się sypały jak grad... ze wszech stron...

Już tylko kiedy niekiedy ucho chwytało głos dzwonów wśród huku dział i ręcznej strzelby...

Wzięty ze wszech stron pułk Miłasiwicza nie mógł wytrzymać na takim stanowisku, chociaż bronił się dzielnie do ostatka... Dwa działa, od których kanonierów odbito, zostały na placu, — zmieszany czworobok w popłochu cofać się zaczął. Widząc to Urbanowski i Woliński, zbiegli zaraz, aby pochwycić działa.. i od dziedzińca pałacu Małachowskiego uciekającym zaparli drogę... Ze wszystkich stron objęty nieprzyjaciel zwinął się i uchodzić zaczął w największym nieładzie ku saskiej kuźni...

Ludzie nasi poszli w pogoń i rozpierchli się także; zwycięstwo było przy nas, ale należało być ostrożnymi... gdyż nie z jednym tym oddziałem mogliśmy mieć do czynienia. Nie wiedzieliśmy, co się stało z pozostawionymi w tyle. Uderzono więc na apel, do porządku.

Część naszych ludzi zgromadziwszy Zajdlie i Woliński, przez dziedziniec saskiego pałacu i z bramy, na końską targowicę idącej, drugi koło saskiej rajszuli na końskim targu jeszcze napastowali pierzchających.. którzy rozsypali się, przez dziedzińce i podwórce domów uchodząc... Nabito ludzi dużo.. ale i naszych a najmężniejszych padło wielu...

Miłasiwicza rannego zabrano do niewoli, a ks.

Gagaryn padł broniąc się mężnie na placu... Dzień

już był — widok tych trupów leżących po ulicach tej krwi czarnej na bruku kałużami stojącej, gdym ochłonał, przejął mnie jakimś bólem na chwilę, lecz zapał był taki, że ogarniał i w szalę wprawiał... Tak dawno nasz żołnierz nie kosztował zwycięstwa, tylu upokorzeń i znęcań mścić się byliśmy zmuszeni...

Wśród nocy mniej może wrażenia. czyniła bitwa, ale w biały dzień przerażającą się stała.

W całym mieście wrzało... strzały i krzyki i wrzaski i jęki mieszały się w powietrzu, dym kłębamii unosił się po ulicach... dzwony biły ciągle...

Stanęliśmy tak na krakowskim przedmieściu... mimowoli spojrzałem ku zamkowi... cicho było koło niego, bramy zamknięte, okna pozapuszczane — jak w pustce... Gdyśmy się zebrali... znowu pod strzaskaną chorągwią, bo nam ją kartacz nieprzyjacielski zdruzgotał, mnie z kapitanem Zabilskim i

Huhnem, z chorążym Urbanowskim wysłano przez ulicę Piwna na Podwale dla atakowania z tyłu domu Igelstroma...

Stanęliśmy tedy do szturm, bo istotnie był jak forteca ze wszech stron obwarowany i ludźmi najdzielniejszymi osadzony... Chcieliśmy bramę wysadzić... gdy sypnęli na nas ogniem, przypuściwszy do niej, tak gęstym, iż w pierwszej chwili, nie spodziewając się go, żołnierz prawie się strwożył... Spostrzegłem obok mnie padającego kaprała Kocierzyńskiego, któremu krew buchnęła z boku, i w chwili, gdym się do niego schylał, poczułem jakby ukłucie w rękę a potem ciepło w rękawie i — bezwładna dłoń mi opadła...

Byłem ranny... Nie chciałem dla tego rzucić towarzyszków moich i brałem się do obwiązania ręki, gdy mnie Skąlecki żołnierz oburącz porwawszy na bok odsadził.

Cofaliśmy się też wszyscy, bo wprost na bramę napadać nie było sposobu; postanowiono zająć sąsiednie domy... i z nich zdobywać kwaterę Igehtröma..

Było dobrze z południa... Czas ten tak nam przeszedł, iż się jedną wydawał godziną. Nie wiedzieliśmy dobrze, co się w innych stronach miasta działo, lecz sama walka tak długo oznajmywała nam zwycięstwo. Nie ustawała ona ani na chwilę, owszem stała się zażartszą coraz, zajadlejszą... a miasto przedstawiało obraz, który ktokolwiek widział w życiu, do zgonu go nie zapomni. Wściekłość ludu, rozpacz dzika żołnierzy moskiewskich, którzy nie mogąc się obronić napadali na domy, rabowali, pili i pijani dawali się zabijać i wieszać... rozruch i wrzawa straszna, nie wrzawa bitwy, ale coś okropniejszego nad nią — zamęszalony szturmem zdobytego grodu... stanowiły obraz przerażający.

Gdy mnie od domu Igelstroma odciągnął żołnierz tracącego przytomność ze znużenia i upływu krwi, nim omdlałem, spostrzegłem jeszcze Kilińskiego na czele ogromnej gromady dziwnie uzbrojonych ludzi, która z zimną krwią na pałac ambasadora się posuwała.

Prowadził on nie wojsko i nie żołnierza, ale coś daleko straszniejszego nadeń — tłum, tłum pijany zwycięstwem, zemstą, zdumiony szczęściem a mimo to dziwnie poważny i posłuszny. Patrzeni na wodza i szli za nim jak dzieci. Poobnażane piersi, na których widać było szkaplerze i medaliki, u niektórych różańce w ręku przy rękojeściach pałaszów, chłopcy bosci, inni zaledwie w koszulach i spodniach skrwawionych i podartych, broń począwszy od topora do szyny rozpalonej na kuźni, młoty, piły a obok karabiny stare... ciężkie jakieś z arsenału pochwycone gardłacze. Między starcami dzieci, wyrostki, kobiety... żydzi nawet, studenci, księża, wszystko to pomieszane, zbite a złane w jedno ciało, które tylko taka rozpacz wiekowa mogła na chwilę skojarzyć.

Obraz ten ostatni przedstawił mi się przed zamglonemi oczyma; wkrótce potem widziałem tylko jakby szary obłok, przez który blade przesuwwały się cienie, a potem ciemność, wśród której przelatywały błyskawice a w uszach brzmiały mi dzwony i huk dział i jęki konających.

Gdym oczy otworzył, była noc... znajdowałem się w izbie ciemnej, z boku bladym światłem płonął kaganek na przymurku... nad głowami wisiało ciemne sklepienie... dokoła poczułem narzuconą słomę a obok usłyszałem jęk cichy. Nie byłem sam, leżało nas kilku na podłodze. W izbie panowała głucha cisza, przerywana to stękaniem obok leżących ludzi, to w dali wrzaskiem i strzałami.

Widocznie walka nie skończyła się jeszcze. Chwyciłem się za rękę, w której czułem ból, była naprędce obwiązana... krew sączyła się przez chusty... Ze drzwi otwartych do drugiej izby płynęło pasem jasnym żywsze światło... i ucho wsłuchawszy się pochwyciło kilka głosów stłumionych, które się naradzać żywo zdawały... Zwróciłem oczy ku drzwiom tym ciekawie.

W tejże chwili prawie wchodziło trzech ludzi, bernardyński braciszek niosący bieliznę i kilka flaszek, ksiądz staruszek, przygarbiony, i człowieczek chudy, w którym poznałem dawniej widzianego w mieście felczera Mutiga.... Zobaczywszy ich podniosłem się na rękę.

— Co się tam dzieje w mieście? na miłość Boga! — zapytałem.

Braciszek przyłożył rękę do oczów, patrząc, z kąd głos pochodził, a Mutig, poznawszy mnie znać po mowie, zawołał:

— Pan Syruc! a! i pan tu!

— Opatrz mi rękę na miłość Bożą, powtórzyłem, bo ja tu leżeć nie będę... i idę.

— Dokąd idę? co za idę? ofuknął stary Bernardyn... Ledwie tu Waszmości przynieśli a już ci pilno nazad? Dziękuj panu Bogu, żeś gdzie pod płotem ducha nie wyzionął.

Mutig przestępując przez rannych, którzy też poczynali głośnie jęczeć, przyszedł do mnie... Książd świecił. Podnieśli mi rękę... wisiała jak bezwładna. Kula nadwerzęwszy kości nielitościwie poszarpała więzi i mięśnie... krwi upłynęło duża... rana była szkaradna. Felczer głową kiwał i mruczał.

— Co się dzieje w mieście? pytałem natarczywie. Staruszek poklepał mnie po ramieniu.

— Jeszcze się bijemy, rzekł — ale dzięki Bogu nie ma wątpliwości, że zwyciężym. — Igelström zabiera się do ucieczki, miasto w rękach naszych, kilka tysięcy trupa w ulicach, kilka tysięcy więźniów pod strażą mieszczan.

— A król? zapytałem.

— Neutralnie się zachował na zamku! rozśmiał się Bernardyn, — ale przebył chwilę nie wesołą... Patrzaliśmy na to, jak mu gwardye z zamku uciekały do miasta, jak wybiegł, żeby je zatrzymać, i jak go Leszczyński potracił uchodząc... a powiedział mu, słyszę, chcącemu zatrzymać, że ojczyzna go woła a na głos jej głuchym być nie może.

— Więc zwyciężyliśmy! zawołałem radośnie.

— Tak! tak! potwierdził stary, byle tylko Prusacy nam się do Warszawy nie wpakowali. Odpoczywaj i bądź spokojny!

Mutig tymczasem rękę mi krajał i zszywał i obchodził się z nią po barbarzyńsku, ale taka radość miałem w duszy, żem prawie bólu tego nie czuł. — Chociaż od wyjścia z koszar nic w ustach nie miałem, siła jakąś dziwna trzymałem się nie wiedząc o głodzie.

Na myśl mi przyszli Mańkiewiczze a zaraz po nich Juta, co też z niemi, co się z nią działo? Trudno mi było spoczywać tu w refektarzu bernardyńskim, mając gdzieindziej schronienie.

— Mój ojciec, odezwałem się do starego, macie i będziecie tu mieli kogo pielęgnować; ja, dzięki Bogu, mam krewnych niedaleko i schronienie, po co drugim potrzebne zajmować miejsce, puście mnie...

— Dokąd? zapytał stary.

— Na Miodową ulicę, odpowiedziałem.

— A no tam jeszcze się Moskale bronią i przez strzały a ogień przejść nie można.

— Nie, rzekł Mutig, — na tyłach sam ogień... zdaje się, że już Igelströma wykurzyli i walka koło pałacu Rzptej.

— Gdyby mi kto iść dopomógł, odezwałem się.

— Leżałbyś, gagatku! burknął stary Bernardyn, jeszcze ci niańki trzeba i betów... a nie łasku z drugimi na słomie obok tych, co jak ty za ojczyznę

— Zawstydzilem się, ale surowy ton starego trochę mnie zabolął, poczuł to znać i zaraz złagodniał.

— No, no, rzekł, — bądźno cierpliwym, zrobi się wszystko powoli. Tu pierwsza rzecz, jak najwięcej ludzi uratować, nie ma czasu pieścić.

Musiałem milczeć. W czasie opatrywania namęczył mnie felczer, ale koniec końcem ręka ściśnięta jakoś zdala mi się więcej moją — czucie wracało. Postanowiłem spróbować choć podźwignąć się z

posłania i dokazałem tego. Nogi mi się chwiały, ałem stał... Spojrzałem po sobie. Wyglądałem okropnie. Mundur był poszarpany, odarty, zbłocony, postrzelany... miejscami wisiały z niego powyrywane kawały... zimno mi chodziło po kościach.

— Mój ojciec, odezwałem się opierając na pałaszu, który przy sobie znalazłem, — mój ojciec, od czwartej z rana w ustach nic nie miałem...

Bernardyn zamruczał coś.

— Cóż ja ci dam, moje dziecko ? zapytał patrząc na felczera, nie zaszkodzi kieliszek wina...

— I kawałek chleba, dodał felczer, — żołnierzowi nie zaszkodzi, bo o rosółach nie ma mowy.

Drugi dzień już jak pewnie w całej Warszawie żadna gospodyni nie zastawiła nic w kuchni, chyba Tremo dla króla jegomości.

— Tego pani generałowa musiała chyba jak dzieciątko łyżeczką karmić, rzekł Bernardyn, boby w rękę jej sam nie utrzymał, takiego mu strachu napędzili... A miał gości do licha, bo coby było w mieście zdrajców, wszystko pod jego skrzydła tulić się poszło. Ożarowski, Ankwicz, Moszyński, Zabięto, Kossakowski, Masalski... wszyscy tam siedzą... dobrze, że ich wiadomo gdzie szukać.

Postawiwszy światło ksiądz poszedł po wino i chleb; siadłem na znalezionym stołku... Nadszedł posiłek a nawet talerz rosółu z przeszłych dni znać zachowanego...

Jak mi się to wydało po długim głodzie — opisać tego nie potrafię; nigdy w życiu żadne jadlo i napój nie zdał mi się tak smacznym, tak nadzwyczajnie wonnym i doskonałym. Czułem, jak mi krew żywiej po żyłach obiegać zaczęła, jak wstępowała siła we mnie... Mógłbym już śmiało iść. Wstałem, aby sta- ruszkowi podziękować ucałowawszy jego rękę. Śmiało się z radości...

— Do prawdy się ty wybierasz ? zapytał...

— Nic mi nie brak, tylko ręka boli, a wyleżećbym nie mógł, odpowiedziałem — pójdę.

Milcząc zrobił mi krzyżyk nad głową; i przeprowadził stoczek zapaliwszy do furty...

Miało się na dzień... godzina była ranna, ale miasto jeszcze się ruszało całe i strzały słychać było w dali. Tu około Bernardynów i zamku wydało mi się pusto. Na zamku w dwóch oknach blade za firankami widać było światełko... Łuna jakby od przygasającego pożaru roztaczała się po nad Miodowa i Sto-Juraką. Niekiedy wśród niej błyskało żywiej i głuchy grzmot się rozlegał a po nim jakby okrzyk tłumu... to strzały ręcznej broni sypnęły gradem i umilkły... Chmura dymu czarnego, rozkładająca się szeroko jak ciężki całun, purpurą podszyty rozciągała się po nad miastem. Opierając się na szabli szedłem zwolna dalej, dążąc ku Miodowej... Zbliżając się ku niej... zacząłem spotykać trupy. Leżały kupami czarnymi, tylko woskowe ich twarze z dala jak blade plamy świeciły. Żołnierze rusczy, chłopcy i czeladź rzemieślnicza, kobiety w odartych sukniach leżały razem... Gdzieniegdzie w rynsztoku zapałała się krew czarna i stała gęsnąc, okryta pianą...

W niektórych kamienicach okna były powyłamywane, okiennice wisiały na hakach, bramy strzaskane zwały się na bruk... Widocznie przeszli tędy Moskale i zostawili po sobie pustkę... przed jednym z domostw wytoczone i rozbite beczki, z których wylała się wódka, czuć było spirytusem, na ziemi pomieszczanym z błotem i krwią...

U sklepu jednego stał trup, który go chciał znać uronić, kula utkwiała mu w czole, osunął się tylko i, rękami kostniejącymi za drzwi chwyciwszy, tak stęzał. Widok był straszny, krwawy, bolesny... odwracałem oczy, lecz gdzieś je obrócił, spotykałem ciała ludzi a wiele z nich już były do naga odarte... Na latarni jednej wisiał trup i chwiało się z wiatrem a żelazo pi- szczało pod nim... Zwolna ciemność ustępowała brzaskowi dnia...

Doszedłem do pałacu Igelströma... znalazłem go w gruzach, paliły się resztki: Kupa ludzi stała dokoła, inni coś dobywali ze zgliszców, naprzeciw kościół Kapucynów otworem był a na wschodach usłany trupami Moskali....

Wszędzie mury czerniały tkwiącemi. w nich kulami, kawałami poosypywały się z nich tynki, okna były potrzaskane, drzazgi drzewa zalegały bruk, przez który dla trupa przejść było trudno.... Swąd spalenizny dusił w powietrzu, czarne płachty popalonych papierów wiatr niósł od domu Igelströma i zaścieniał niemi drogę.... Jęki dziwne dobywały się z piwnic pod domami.

W domku szewca, gdzie miałem niedawno schronienie, na progu leżała matka cisnąc zabite dziecko do piersi, drugiego trup tulił się do niej... ściany kawał leżał obalony na chodniku....

Ze ściśnietem sercem spieszyłem do domu Karasia do Mańkiewiczów... tem więcej strwożony, że właśnie przy Miodowej dla sąsiedztwa ambasadora szkody były największe.

Już zdala zobaczywszy bramę zabarykadowaną" odetchnąłem lżej. Przednia ściana postrzelana była, okna potłuczone, lecz wnijsie zostało zaparte.... Żelazne okiennice na dole nietknięte były także.... Mało miałem nadziei dostania się do kamienicy, jednakże sparłszy się o mur stukać począłem. Nawykł był stary stróż nieraz mnie poznawać po pukaniu masońskim, któregom go był nauczył. — Bezmyślnie powtórzyłem je kilka razy, znajdując, że wołanie prózmemby było. W bramie zakratowane i z wewnątrz zasuwane było okienko... odsunięto je....

— Kto tam? spytał stary Filip.

— Ja! odrzekłem słabym głosem — Czy żyjecie? nic się wam nie stało....

Zamiast odpowiedzi furtka się otworzyła, Filip mnie wpuścił nie mówiąc słowa i natychmiast zarygłował.

W mroku dojrzał ręki na temblaku i rozpłakał się....

— A Mańkewicze? spytałem.

— Pan Bóg nas ocalił! szepnął Filip, ale ino On, bo na tyłach byli Moskale i rabowali i trzech ludzi ubili a jedną kobietę cięli szablą... ale czasu nie było się tu dostać.

Uściskawszy stróża, skierowałem się do drzwi dziadka.

Nie zapomnę też i tego widoku nigdy, jaki mnie uderzył, gdym wpuszczony do mieszkania wszedł do pokoju dziada.... Stary leżał na łóżku ze złożonemi rękami, w których trzymał różaniec.... Znac gotował się lada chwila na śmierć, bo krzyż miał na piersiach i w rękach medalik.... Nieco opodał z gromnicy w rękę żółtą, obwiązaną wstążką pąsową, klęczała spokojnie staruszka Mańkiewiczowa u krzeselka, na którym rozłożona była gruba księga, i odmawiała głosem niewzruszonym litaniją do patrona dobrej śmierci, św. Józefa.

Gdy drzwi po cichu otwarły się i stanąłem w progu, Mańkiewiczowa zwróciła oczy, postrzegła mnie, lecz nie przerwała modlitwy.... Stałem, odmawiała ją aż do antyfony, staruszek cicho powtarzał

— Módl się za nami!

Dopiero po skończonej litanii wstała, opierając się ręką o ziemię staruszka i zawołała:

— Bądź Jezu pochwalony! Syruć żyje! Dziadek, który sądząc, że chłopiec był wszedł, głowy nie podnosił i nie widział mnie, pochwycił się na posłaniu i krzyknął:

— Syruć, dziecko moje! żyjesz!

Szedłem całować ich ręce, dopiero zobaczyli rękę na temblaku okrwawioną i poszarpany mundur na mnie....

— Ranny nieboraczysko! zawołała staruszka, ręka.... cóż? strzaskana....

— Dziękujmy Bogu, że żyjemy! odrzekłem, straszne przebyliśmy godziny.

— Moje dziecko, odparł stary spokojniejszym niż dawniej głosem, — nie to było tobie bić się i broniąc narażać, ale nam tu bezbronnym tyle godzin niechybnej śmierci czekać i słyszeć ją chodzącą w koło... wdzierającą się do domu, dobijającą do drzwi, szturmującą do okiennic, oddalającą się na chwilę i powracającą znowu...i czekać i modlić się — i ocalić cudem

Głosu mu nie stało... odetchnął i mówił dalej:

— Któż wie? powrócą może jeszcze a naówczas zemsta ich nie poszanuje nikogo...

Strzały, dające się słyszeć w oddaleniu, tym słowem starego Mańkiewicza nadawały pewne prawdopodobieństwo.

— Wypędzeni z miasta połączą, się z Prusakami, uderzą na nie... wyrzną nas w pień... to niechybna! dodał staruszek.

— Nie, rzekłem, nie ma się co obawiać, większa część Moskali w niewoli, do trzech tysięcy leży trupem w ulicach. Nie z wojskiem jednym mieli do czynienia ale z narodem: nie działa ich pokonały, ale tłumy... tłumy bohaterskie.

Stary pokiwał głową a był szlachcic z kośćcami.

— No, no, rzekł cicho. Kiedy też już do tego przyszło, że szewcy ojczyznę zbawiają — koniec świata.

Mimowolnie musiałem się uśmiechnąć. Był już dobry dzień i przez szczeliny okiennic wciskało się blade światło poranka, ale z obawy napaści nie śmiano Otwierać — i siedzieliśmy przy gromnicy.

Zacząłem opowiadać, co wiedziałem, na com patrzył i jakieś się bili. To staruszka odżywiło, duch w niego wstąpił, wstał z łóżka i począł chodzić. Mańkiewiczowa gotowała kawę. W mieście jakoś się po trosze uspokajało, strzałów przynajmniej nie było już słychać i rzadko tylko przeciągająca kupa ludzi z pobojoziska okrzykiem przerwała ciszę.

Filip wysłany na zwiady w kilka godzin oznajmił, że w mieście było wszystko skończone, tylko się brano do porządku, bo dla trupów i gruzów przejść ni przejechać nie było można. Otwarto więc choć jedną boczną okiennicę, żeby gromnicę zagasić. Starzy poszli spoczywać i ja z pomocą Filipa wdrapałem się do mojej izdebki na górę, gdzie padłszy na posłanie kamiennym snem zasnąłem aż do ranka w niedzielę.

Nie mogłem jeszcze podnieść się z łóżka i wynijść, chociaż najgoręcej pragnąłem zobaczyć miasto "wolne", iak je w odezwie swej nazwał Zakrzewski... miasto dla nas nowe, bośmy go nie znali my młodzi tak swobodnem, jak teraz było. W pierwszych chwilach rozgorączkowany więcej miałem sił, teraz mnie one opuściły- Przywołany doktor nakazał spoczynek, a rękę też źle na razie opatrzona i obandażowana należało jeszcze raz krajać i zszywać, co mnie zmęczyło i osłabiło... Z pomocą, Filipa raz na dzień miałem pozwolenie powoli zniść do Mańkiewicza, i tam parę godzin posiedzieć.

Tu teraz przy najpatryotyczniejszym usposobieniu wszystkie plotki z całego miasta się zbiegały. — Szanibuś, który na strychu w jednym z domow przy ulicy Długiej, koło komina się tultic, rewolucya, szczęśliwie przesiedział, — powrócił do dawnych obowiązków, skromniej tylko ubrany, gdyż cała jego garderoba, rze czy i — jak mówił — precyoza padły ofiarą, nienasy conej chciwości nieprzyjaciela. Okazało się później z jego własnych wyznań, iż drogocenne owe klejnoty szambelana składały się z piętnastu łokci galona złotego, który miał kiedyś przedryzlować, ze srebrnej tabakierki i sprzążek od trzewików wysadzanych Czeskimi kamieniami.

Ale — co dlań daleko było dotkliwszym, stracił nieborak suknie i peruki, tak że mu jedna tylko i to najstarsza, którą na głowie miał, ocalała. Bolał też bardzo nad stratą pończoch jedwabnych, acz wychodzonych u dołu ale w górze prezentujących się bardzo świeżo.

Szambuś już znowu wiedział wszystko... ścisnął się z Wysogotą Zakrzewskim, odwiedzał Mokronoskiego, miał szczęście rozmawiać z bohaterem Kilińskim, z d'Aloëm i Wulfersem... On pierwszy doniósł nam, że Kossakowskiego, Ożarowskiego, Ankwicza, Tomaysa, Boskampa i wielu innych aresztowano i osadzono w arsenale i na ratuszu...

W zamku popłoch być miał niesłychany, bo kilku nich z *pod* boku królowi wzięto... Poniatowski zaklinał się, że już trzymał z narodem.. patryotyzm po zwycięztwie rósł ogromnie... wszyscy starali się donieść, że jeszcze 16 kwietnia a właściwie 22 marca patryotami byli i nie czekali ani

Kościuszki, ani Kilińskiego, aby się przejąć tem uczuciem...

O Moskalach mówiono, że się około Magnuszowa pod jenerałem Nowickim gromadzili...

Mańkiewicz się rozplakał dowiedziawszy o rewolucyi w Wilnie, wzięciu Arsenijewa i powieszeniu hetmana.

Ta wiadomość na zamku była ciosem okropnym - haniebna śmierć, rewolucyjny sad doraźny przerażyły króla a więcej jeszcze uwięzionych jego przyjaciół... Przychodzące wiadomości z Paryża o konwencyi i jej czynach trwożą tu zwiększały. Grano patryotyzm i popularność na zamku, ale po twarzach zasepionych znać było wstręt i przerażenie...

Dopiero dnia 29 kwietnia na uroczyste nabożeństwo, które się w kolegiacie u św. Jana odprawiać miało, doktor mi pójść pozwolił. Pierwszy raz wyrzałem na ulicę.

Warszawa dziwnie była zmienioną... Powozów prawie widać nie było. w ulicach oprócz karety Prymasa i prezydenta Zakrzewskiego. Mundury, strażę zbrojne mieszczańskie, swobodnie kołyszący się tłum panował na nich.

Słyszałem zaraz wyszedłszy rozlegającą się, powtarzaną wszędzie pieśń ochotników krakowskich, którą niemal całe miasto nuciło. Jeszcze mi kilka strof w pamięci się błąka:

Pókiż damy się ciemiężyć?

Dalej bracia do oręża!

Kto chce umrzeć lub zwyciężyć,

Ten zawsze prawie zwycięża!

To była ostatnia strofa — ale mnie w niej to wtrącone dla miary — prawie jak dysharmonijna nuta raziło...

Była tam inna zwrotka jeszcze, która mi także w pamięci utkwiała:

Roztropne Moderatory!

Saryte stronniki północy!

Któreż wam odkryły dwory,

Że nam nikt nie da pomocy...

Panującym w ulicach żywiołem był, jak już mówiłem, mieszczanin i wojskowy, z wyższego towarzystwa mało kogo było można spotkać. Gdzie niegdzie przez ciekawość pokazywano się z okien dla bezpieczeństwa w kolorach narodowych, biało z karmazynowym.

Tego dnia tłum był niezwykajny, bo i pora piękna służyła i nabożeństwo za poległych do kolegiaty ciągnęło... a kto chciał patryota się okazać, musiał tam być. Ponieważ w pierwszych dniach wszyscy byli orderzy pozzrucali, a król to wziął za oznakę jakobinizmu i żądał, aby tytuły i krzyże i gwiazdy powkładano, poubierali się wszyscy po dawnemu.

Kościół św. Jana cały wysłany był czarno... Mojej ręce na temblaku winien tylko byłem, żem się do niego docisnął. W pośrodku znajdował się piękny katafalk laurowemi wieńcami obwieszony z napisami:

"Nie zapominajcie dobrodziejstwa, albowiem dali za was duszę swoją. "

"Pamiętka ich będzie w błogosławieństwie a kości ich zakwitną z miejsca swego. "

"Woleli raczej pocziwie umrzeć aniżeli jarzmo dźwigać i nie przystojne rodowi swemu krzywdy cierpieć. "

"Dusze i ciało nasze wydaliśmy za prawa ojczyste, wzywając Boga, aby co najrychlej narodowi naszemu miłościwym był. "

Wśród zawieszonych pośrodku wieńców laurowych inne jeszcze czytano napisy: — "Zeszli z żywota, ale wszemu Narodowi pamiętkę śmierci swej na przykład cnoty i męztwa zostawiwszy. "

Sam Prymas, którego najmocniej posądzano o sprzyjanie Moskwie a nawet o konszachty potajemne

z Prusakami, odprowadził nabożeństwo uroczyste. Znany z wymowy i patryotyzmu ks. Witoszyński miał ogniste kazanie. — Król był obecnym i na widoku...

Witoszyński wśród mowy swej nie wahał się zwrócić do króla, aby go niejako wciągnąć w sprawę narodu... I tak jak owego pamiętnego dnia 3 maja 1792 roku odezwał się król w kościele św. Krzyża, tak i tu odpowiedział Witoszyńskiemu...

— Twoje serce zacne, N. Panie, rzekł Bernardyn — nie opuścisz ludu.

Na co król z tronu — Tak, nie opuszczę, z ludem mym chcę żyć, z ludem moim umierać!

Szmer poszedł po kościele, ale czy tak bardzo wierzono w te słowa, trudno przypuścić. Zmieniał król tylekroć przekonania, że się już obróconej chorągiewce nigdy dziwić nie było można.

I tego dnia i następnych król począł pokazywać się na ulicach, dosyć sympatycznie witany, ale mimo to z niedowierzaniem patrzeli drudzy na te przejażdżki, gdyż były wieści nie płonne, że chciał się z objęć Jakobinów wydobyć, a Warszawa obawiała się, aby, gdy ja opuści, na łup i zemstę wydana nie została. Pilnowano więc króla niezmiernie, a mieszczanie sami widzialny i niewidzialną straż sprawowali.

Z kościoła wyszedłszy, gdy się tłum na różne strony rozpląwał — tknęło mnie pójść się do Juty dowiedzieć. Na prawdę nie miałem do tych odwiedzin żadnego prawa, ale mi głęboko w sercu pamięć po niej została a nie wiedziałem, jak wyszła z tych krwawych dni, w których łatwo narażając się paść mogła ofiarą.

Zawahałem się nieco zrazu ale tłumacząc się sam przed sobą, żeć przecie kryminału nie popełnię, odwiedzając ją — poszedłem.

Na Starem mieście zwłaszcza koło ratusza bardzo było tłumno i gwarno, precisnąłem się jakoś, patrząc w okna kamienicy, ale w nich nic widać nie było.

Na wschodach też cisza... zbliżyłem się do drzwi i zapukałem nie śmiało.

Czekałem dosyć długo, dopóki znajomy mi chód starej Wawerskiej nie dał się słyszeć.... Spojrzała przez okienko i krzyknęła. Otworzyły się zaraz drzwi, lepszą mnie powitała twarzą, niżlim się spodziewałem.

— A to, chwałę Bogu, żyjesz waćpan, rzekła bez ogródki — a nam tu mówili, żeś na Miodowej około domu Igelströma padł.

Dopiero zobaczyła rękę na temblaku i moją twarz wybladłą, skinęła głową — Ciężko ranny.

Poszliśmy razem do trzeciej izby, czeladzi nie było żywej duszy. Tu Juta siedziała w oknie, a gdym wszedł, zarumieniła się i podbiegła ku mnie, podając obie ręce.

- A toś żyw! dzięki Opatrzności! zawołała.. myśmy was opłakali.

Jeszcze w jej oku stała łezka, której się powstydzwszy prędko ja otarła fartuszkiem.

— A jam się o was troszczył, rzekłem, boście się narażali, a nie każdemu Bóg dał wyjść cało z tej okropnej walki.

— O ! to prawda! to prawda! wzdychając przerwała Wawerska; com ja wycierpiała, Bóg mi jeden policzy. Wszakże Juta o czwartej godzinie rano jeszcze nie była w domu... a potdm, gdy wróciła, utrzymać jej nie mogłam... Była w arsenale, kule nosiła w fartuchu! Jak Boga kocham... Suknię ma dwa razy przestrzelona" cudem N. Panny, że ja, kalectwo nie spotkało.... Juta, jakby się wstydziła, zakryła twarz dłonią i patrzyła w okno, nagle odwróciła się ku mnie cała w płomieniach.

— A! kto te dni przeżył, do śmierci mu one w oczach stać będą ! nie prawdaż? spytała. — Tak coś okropnego, straszego, pięknego chyba jeszcze na świecie nie bywało! A! bili się nasi jak lwy! Duch jakiś w nich wstąpił! Patrzyłam i płakałam... Mój Boże! Florek od nas, czeladnik...

— Takie to rozlazłe — wtrąciła matka.

— Zakrwawiony, posiekany, parł się na mur do pałacu Igelstroma jak lew... oczom nie

wierzyłam... Dzieci zmieniły się w bohaterów.

Pod bramą dwunastoletni chłopak, terminator od ślusarza, ze sztabką żelazną w ręku uwijał się w moich oczach... wzrok mu się palił. Podszedł... Syknęły kule, porwał się za pierś i padł. Poskoczyłam ku niemu, chwyciwszy głowę... obrócił ku mnie oczy, uśmiechnął się, podniósł rękę — Niech żyje wolność! wyjąknął i skonał.

Juta płakała, Wawerskiej łzy płynęły z oczów i mnie się na płacz zbierało.

- Toż samo, rzekłem, widziałem ja pod Domininami, na Sułkowskim... to też Bóg dał zwycięstwo Kobiety zamilkły.

Juta wyglądała uspokoiwszy się blado i mizernie znać na niej było zmęczenie wielkie i jakby goryczkę.

— Wszystko to dobre, dodała po kilku minutach rozmowy matka — ale już dziś, gdyśmy swoje zrobili — dosyć — trzeba wrócić do roboty i do dawnego spokojnego życia... a toby człowiek się spalił tą gorączką... Słyszę, że pan Kiliński do rady i do rządu zaproszony i że ma dowodzić żołnierzami... a jabym na jego miejscu do szydła i dratwy wróciła. On tam nie poradzi nic, ani on ich ani oni jego nie rozumieją i tylko się pocziwe człowieczysko nagryzie... a z kośćmi to zacne i dobre...

— E! matusiu! odezwała się Juta, — to nie koniec, a któż będzie wały sypał! a któż na zamku straż utrzyma, żeby król nie uciekł? Żołnierzy mało... to nasza sprawa...

— Tylko nie twoja, przerwała matka, nam babom garnków pilnować.

Juta się rozśmiała ruszając ramionami i spojrzała na mnie. Trzymałem w nią oczy wlepione, oderwać ich nie mogąc.

— A! mój poruczniku, rzekła, ja teraz rozumiem, jak to nałogu nabrać można i dla czego Jakowski stary, choć mu doktorowie śmiercią grożą, do szynku ciągnie. Wszak to mnie tak samo w ulicę rwie i do tej bieganiny, do której przez kilka tygodni nawykłam. Czegoś mi brak... radabym znowu kule nosić i przekradać się i oszukiwać Moskali, których chwała Bogu nie ma... i ot, czegoś mi nudno...

Matka się namarszczyła.

— Nie plotłabyś dziwolągów! rzekła chmurno, jeszcze czego, dobrze, że się to raz skończyło.. dzień w dzień ze strachu o ciebie marłam, przynajmniej odetchnę wolniej.

Nie wypadało mi zbytecznie odwiedzin przeciągać, choć grzeczniejsi byli dla mnie niż, się spodziewałem, osobliwie Juta. Parę razy pochwyciłem jej wzrok na mojej chorej ręce spoczywający.

— Kto pana opatruje? spytała, gdym się już miał zegnać.

— Mam tam felczera, rzekłem.

— Musi być nie bardzo mądry, dodała, bo pan strasznie mizernie wyglądasz... a mężczyzna, jeśli ma żyć, trzebaby, siłę miał, bo bić się musi...

— Ja też spodziewam się wkrótce do szeregów powrócić, rzekłem z uśmiechem, ręką będę władał, byle wydobrzała. Była wprawdzie wątpliwość, czy władzy nie stracę, coby mnie kaleką uczyniło, ale z tego strachu wyszedłem...

Począłem się zegnać, stara miała coś do czynienia i zaraz odeszła. Juta weselsza odprowadziła mnie do drzwi.

— Bardzo mi was żal było, rzekła już dochodząc do drzwi, gdy nam powiedziano, żeście zabici. Wierzcie roi, zapłakałam. Tak to się łatwo poprzyjaźnić i nawyknać można, a potem zdaje się, że się już człowiek i nie obędzie bez przyjaciela.

— A! jakżeś mię panna Juta... uszczęśliwiła, — - odpowiedziałem całując ją w rękę, tem dobrem nazwi skiem przyjaciela. Zapłaciłaś mi za ranę.

— Za ranę? podchwyciła, — a nie! ojczyzna za płaci za krew i ranę, a ja płacę wam za to, żeś nie był płochym, żeś mnie poszanować umiał i że mi bzdurstw nie prawileś jak drudzy, w które nie wierzę! Zaczerwiniłem się mocno i pożegnaliśmy się jak brat i siostra. Drzwi się zamknęły.

Dom Mańkiewiczów, w którym mnie moja rana trzymała jeszcze, stał się teraz prawdziwym zbiorowiskiem nowin. Stary siedział, przyjmował, puszczał się w polityczne i strategiczne konjunktury, a tu mu ludzie kosztami i worami przynosili nie stworzone baśnie. Przyznają się, że mnie ta paplanina próżna ludzi, co sami nie robili nic a ostro sądzili o tych, którzy się do czegokolwiek brali — niezmiernie męczyła. Siadywałem milczący. Mańkiewicz pono mi to za złe miał. — Uważałem, że niezmiernie pilną uwagę zwracano na króla. W istocie, mimo oświadczeń jego patryotycznych, mimo ofiar sreber i kosztowności na pozeby ojczyzny, mimo odezw głośnych — nie można było pić, iż rewolucyi, coraz groźniejszej przybierającej rozmiary sprzyjać nie mógł. Pomimo utrzymanego porządku i jakiej takiej subordynacyi lud i mieszczaństwo brało górę... pomiędzy szlachta i panami w najbliższem otoczeniu króla wytykano jawnych zdrajców a papiery po Igelströmie dowiodły ich własnymi podpisami, iż brali pensye od Rosyi.

Sam król z sześciu tysięcy dukatów, z których kwitował, tłumaczyć się musiał. Mieszczanie, którzy do zamku chodzili na straż codzien i siedzieli w pokojach królewskich, pełniąc niby urząd czasowych szambelanów pomimo respektu dla N. Pana... nie dowierzali mu wcale. Nocami rozstawiali się i nie sypiali.

Wiedzano z największą pewnością, że familia króla przestraszona oskarżeniami, jakie wywołały regestra Igelströma, chciała koniecznie wyrwać go z rak rewolucyi. Przygotowywano do tego lud w ten sposób, że król się codzien przejeżdżał dalej... i chciał oswoić z tem Warszawian a jednego dnia puścić się za Wisłę i oddać w ręce oddziałowi Moskali czy Prusaków....

Prymas szczególnie miał się zajmować całym tym planem i eam także podobno uciec zamierzał. Jak się o tem dowiedziano, trudno zbadać. Być może, iż między służbą królewską na zamku byli donosiciele. — Dosyć, że na ratusz przynoszono coraz to nowe przestrogi... a Rada tam zasiadająca odpychać ich nie mogła.

Nierazem to rozważał z ludzkich opowiadań, wiedząc o losach króla Poniatowskiego, iż nieszczęśliwszego człowieka na świecie nadeń pono nie było.

Pozornie miał wszystko, co do szczęścia potrzebne, a w istocie panowanie jego było długim męczeństwem.

Męczyli go swoi, obcy, przyjaciele, familia... Ci, dla których był najlepszym, jak hetman wielki, jak Szczęsny: wywdzięczyli mu się w sposób najokrutniejszy, Rosya, której sprzyjał, poniewierała nim, ambasadorowie karmili upokorzeniami... a jeśli kiedy był w położeniu strasznem, to przez czas rewolucyi 1794. Każdy hałas w ulicy zdawał się ostatnia, zwiastować godzinę.... Od porwania przez konfederatów król ciągle mówił, iż czuje, że nie umrze naturalną śmiercią, że go los Karola czeka.... Nigdy ta fałszywa przepowiednia prawdopodobniejsza się nie zdała jak naówczas.

Ze wszystkich swych nieprzyjaciół król najbardziej się musiał obawiać tych, którym się naraził. Nigdy nie lubił Kołłątaja a od Targowicy zupełnie z nim zerwał, nie chciał żadnych zachować stosunków. Teraz zwrot wypadków dawał mu w ręcę wpływ i potęgę... a król drżał, ażeby jej na zemstę nie użył....

W pierwszych dniach maja rozpoczęło się już coraz z większym napływem osób wszystkich stanów sypanie wałów dokoła miasta.... *Rząd* zachęcał ku temu, lud miał ochotę, a płosi ludzie jak ze wszystkiego zrobili sobie z tego patryotyczną zabawkę. Był to w istocie piękny obraz... gdyby dziś zdała widziany prawie smutnym się nie wydawał.... Co żyło w mieście a nawet i wyższe klasy, pociągnięte nowością i rozgrzane patryotyzmem, płynęło z rydlami, łopatami, taczkami na cały dzień

do sypania wałów: kobiety, wyrostki, dzieci, księża, mieszczanie; panowie, nawet dygnitarze Rzeczypospolitej.

Pospolicie zbierały się całe takie bandy z muzyką, na wozach jechały łopaty, baryłki z winem, piwo, żywność, łakocie, bo się bez ucztowania nie obyło, i przy odgłosie patryotycznych piosenek orszaki strojne ciągnęły — na okopy, kobiety miały ubiory właściwe, króciuchne, kapelusze słomiane, wesołość panowała jak największa, śmiechy i koncepta... ale roboty wiele nie było. — Pół dnia odpoczywano, kilka godzin posilano się i taniec na murawie nie był bezprzykładny.

To tylko było pięknem w tych pochodach, że tu nigdy jeszcze nie widziana panowała harmonia i piękne panie stawały tło łopat obok obdartusów a senatorowie wraz z rzeźnikami. — Że się tam potem wieczorami śmiano u senatorów z panów mieszczan a u mieszczan z panów i ich kręgów, to bardzo być może, ale na okopach przyjaźń była jak najczulsza...

Z dostatnich baryłek poili panowie biedaków, a za to choć potem niebardzo rydlem wiele dokazali, nikt im nic nie mówił.

Nie było zdaje mi się naówczas zdrowego człowieka w Warszawie, żeby na okopach nie był. A kto nie kopał, szedł czy jechał się przypatrywać. Ci, co pracowali czasem, do gawroniących odzywali się z zaprosinami... naówczas radzi nie radzi szli spektatorowie do taczek na chwilę. W tem wszystkim więcej było fantazyi i śmiechu niż roboty — za to prawdziwych robotników dzień i noc pod ścisłym dozorem płatnych — nie brakło...

Król nawet parę razy jeździł do okopów także i, chcąc dać dowód patryotyzmu, taczkę piasku zatoczył. Dawano mu — bravo! jak w teatrze... Gdy jechał na spacer... wszakże, choćby na te okopy, z dala nań nagładano... Zawsze tkwiła ta myśl we wszystkich, że kroi chce uciec i że naówczas Moskwa opanuje miasto i obróci w kupę popiołów... Nie można powiedzieć, żeby rozumowanie to całkiem nie logicznem być miało...

Zdaje mi się, że dnia 8 maja, na sam św. Stanisław i mnie wzięła fantazyja, choć jeszcze z ręką na temblaku pójść na okopy. Nie będę się z tem tail, że pobudką dla mnie było wyszpiewowanie, iż Juta u matki się wyprosiła pójść z rydelkiem także. Wzięła ona z sobą dwie koleżanki i poleciały... Bardzom chciał ja zobaczyć, pobiegłem też... Wybrała się nie rano, bo matka z razu nie pozwalała; ja też, dopiero później dowiedziawszy się przez czeladnika, któregom w ulicy spotkał, poszedłem. Juta była na Pradze... ledwie się przerwał przez most i wyszukał to miejsce, gdzie stała, aby jej pomódz... ledwie ją miał czas pozdrowić — słyszemy od mostu na "Pradze i od miasta. •• jakby alarm... Patrzymy, tłumy się zbierają... zwijają, lecą... wrzask, zamęt... słowem, nie ma wątpliwości, coś się stało...

Spojrzałem na Jutę, stała jak w ogniu, rzuciła rydel, oczy wlepiła w drugi brzeg, drżała cała.

— Chodźmy, rzekłem, podając jej zdrową rękę zobaczymy, co to iest...

— Chodźmy ! krzyknęła... ale nie przyjmując ręki i z wzrokiem zapalonym puściła się jak strzała ku miastu... tak że zaledwie mogłem za nią nadążyć - tchu mi brakło...

Na Pragskim moście przecisnąć się było trudno... Pytamy, co jest.

— Król chciał uciec...

Drudzy wołają — Zdrajcy z więzień się chcieli wybić! Zdrajców trzeba wywieszać... Śmierć zdrajcom!! Ludowi i ojczyźnie sprawiedliwości! Krzyki te głuzyły nas... Juta biegła blada, anim mógł ja powstrzymać...

Już za mostem spostrzegliśmy zawrócony orszak królewski, majestatycznie powoli zdążający ku zamkowi. Król niezmiernie blady, uśmiechając się niezręcznie kłaniał się na wszystkie strony. Lud krzyczał — Wiwat król! ale więcej wołało — Śmierć zdrajcom ! a że i króla naówczas nie za lepszego miano, można sobie wystawić, jakie na nim okrzyki te mogły czynić wrażenie...

Nie ma nic straszniejszego nad lud choćby najszlachetniejszy i najpocziwszem uczuciem roznamiętniony. Namiętność jednego jest bezpamiętną i dziką; cóż, gdy tysiące łańcuchem się jednym spoją i w pierś każdego wleje się spotęgowana namiętność tysiąca! Naówczas nie lud to ale morze, którego fale biją o brzegi niepowstrzymane, niszcząc, co spotkają w biegu. Takim był tłum dnia tego. Jedni króla pozdrawiali, drudzy podchodzili pod konie prawie z odgrózkami. Pokazywano pięści, król się kłaniał.

— Niech żyje król! krzyczeli dworscy.

— Tak! niech żyje, lecz niech nie ucieka!!

Jak pogrzeb zwolna ciągnęła kawalkata królewska, oczyma pożerając zamek, port wybawienia.

Widzieliśmy ją zdążającą coraz pospieszniej ku bramie i wpadającą w nią nagle. Lud pozostał na placu i ulicach, mrużąc, krzyżąc i miotając się, raz ku zamkowi podpływając, to znowu pod ratusz na Stare miasto, gdzie prawie nieustannie zasiadała Bada.

Okrzyki jak wystrzały dobywały się z tego tłumu, na okrzyk taki odpowiadało milczenie i zdala chwytałyśmy tylko głos słaby mówcy, który stanąwszy na Kamieniu, ławie lub beczce coś przemawiał do narodu i obywateli. Widocznem było przy nieustającym pod wieczór ruchu, że przyczyna jego nie był wcale wyjazd króla, ale co innego. Z innych pobudek wyniknęło to poruszenie, bo jak sami mieszczanie opowiadali, zrodziło się daleko od zamku i mostu pragskiegoi wybuchnęło w okolicach arsenału razem i kilku miejscach, zupełnie z sobą nie będących w związku.

Okazało się później, iż służący Ankwicza całej tej wrzawy i wynikłych z niej nieszczęść był przyczyną. Zamknięci w arsenale i prochowni więźniowie niepokoiłi się losem swoim. Oni to wpadli na myśl ratowania się ucieczką, korzystając z wynikłego w mieście zamieszania: starano się je sztucznie wywołać.

Rozsiano tedy wieść o ucieczce króla i napadzie Prusaków na Warszawę, czem łatwo lud jeszcze wrący po ostatnich wypadkach poruszyć było można.

Ankwiczowi jednak nie udało się uciec, bo straż około więzień była pilna, a lud ciągle trapiiony myślą, że mu się zdrajcy wyrwać mogą, zwrócił się zaraz ku nim i począł wołać na nich kary i sprawiedliwości.

To więc, co oswobodzenie ich sprowadzić miało, nieskończenie pogorszyło ich położenie. Tłumy skupiły się około arsenału, koło ratuszaj, przed zamkiem, napełniały ulice, wołając jednym głosem — Śmierć zdrajcom! śmierć zdrajcom.

Widok tego zburzonego i coraz gwałtowniej roznamiętniającego się tłumu był w istocie straszliwym... Juta milcząca przeciskała się zręcznie, ja szedłem za nią, nie wiedząc, co zrobić z sobą, a obawiając się o nią. Nie zdawała mi się jednak wcale strwożoną, ani podzielała uczucia, które miotało tłumami, smutną była. Namarszczywszy brwi, szepnęła mi:

— Coś złego się gotuje... ktoś ten rozruch zrobił... czuć w tem rękę nieprzyjaciela...

Około ratusza spotkałem Kilińskiego, zamyślonego, zafrasowanego, który węża kręcił, spoglądając to na lud, to na ratusz. Z jednej strony ciągnęli go, żeby lud uspokajał, mając nad nim przewagę i zaufanie u niego, z drugiej strony głos braci mówił do niego jakby jego własnym... Nie rad był folgować i on zdrajcom... Juta przypadła doń, chwytając go za rękę... Więcej ona miała rozwagi w tej chwili niż wszyscy-

— Panie Kiliński, zawołała doń — przemówcie i postarajcie się o uspokojenie... Na Boga! na co się to przydało... Na zdrajców sad będzie... wszak jest wyznaczony... a bodaj go i nie było, nie mielibyśmy w oczach ludzi tej plamy, że nasza ziemia zdrajców rodzi! Mamyż się chwalić i głosić, że tyłu ich między nami? mamyż się mścić?

Kiliński spojrział na nią i pokiwał głową.

— A do kądzieli! mościa panno! zawołał, a do krosien, a do pończoszki! Będziesz tedy nas uczyła rozumu! Śliczne rzeczy! Co asińdzka rozumiesz i wyższej polityki... Tu mospanie sęk, tu sęk... tu na naszych głowach i ramionach, mości panie, przyszłość... tu trzeba wiedzieć, czy powściągnąć czy popuścić... he!

— Nie uczcie ludu poczciwego krwi żądać! zawołała Juta... napisano jest — nie zabijaj...

— Cicho... bo jeszcze się dopytasz, że cię tu kto weźmie za Moskiewkę, rzekł Kiliński. Sądziysz, mościa panno, nie zabijaj.

— Niech sędziowie sądzą nie wy... i niech kat nie wy zabija! dodała Juta...

— Dobrze, dobrze — rozśmiał się Kiliński, ale czasem lud, mościa panno, musi być i sędzią i katem... nie, ma na to rady... trzeba przykładu...

W tej chwili Jutę i mnie tłum odbił od Kilińskiego. Na becze pod ratuszem stanął młody człowiek, blondyn... i głosem ochrypłym począł wołać o sprawiedliwość i kare na złoczyńców... Słuchano go z natężeniem, niekiedy tylko przerywając mu okrzykami, a mowa jego tłum z nowa tak rozgorączkowała, iż dobijając się zaczął do ratusza...

Na ganek z kilką słowy uspakajającemi wyszedł Zakrzewski, ukochany od ludu — ale cichą jego mowę zahuczały krzyki. Popchnięto Kilińskiego, który wcale wymownym nie był, lecz słowo z ust jego wprost szło, zrozumiałe, dostępne do serc wszystkich... - Obywatele wolnej stolicy! zawołał — posłuchajcie mnie — sprawiedliwość będziecie mieli i to w jak najkrótszym czasie aleście nas wybrali, ufajcież nam, spuście się na nas... a dziś idźcie spokojnie do domów...

Mówił długo i jękał się w ten sposób, ale już pod koniec mowy zagłuszać go poczęto. Zły to był znak, gdy ukochanego Kilińskiego słuchać nie chciano. Juta stała przy mnie ruszając ramionami.

— A też to rozum, odezwała się — porobić z nich męczenników, ażeby ohyda na nas spadła!!

Przyznaję się, że mi trudno ją, było naówczas rozumieć. Ogólne usposobienie było takie, iż jej mowa dla mnie nawet wydała się dziwaczny. Przypisywałem ją tylko usposobieniu łagodniejszemu, kobiecemu...

Strapiona odprowadziłem do drzwi jej domu, podała mi rękę widocznie zniechęcona i smutna.

— Mój miły Boże, zawołała do mnie załzawionym głosem — jabym pragnęła, aby nasza rewolucya tak była czysta, święta, niesplamiona, aby rak sobie nie zmasała niczyją krwią... a tu źli ludzie pchną ją na takie szaty... w których już nikt nie wie, co czyni. Bić się z nieprzyjacielem... a! to cudowne, ale brudy swe po szubienicach wywieszać przed światem... Wszakże to bracia... wszak to Polacy... niechby ich wrzucili gdzie w doły i ciemności, aby świat imienia ich nie wspomniał.

My to mieszczenie oswobodziliśmy Warszawę, ja pomściłam śmierć ojca, Kiliński stał się bohaterem — to nasza krew i nasza sława... a chcą nas pchnąć na mordy, abyśmy ją stracili — a, to okropne... Idź" poruczniku... uspokajaj — proś... niech się rozchodzą...

Znikła mi wśród domu... nie wiedziałem, co z sobą zrobić, poszedłem prawie nie myśląc ulicami.

Chociaż wieczór nadchodził, tłumy raczej się powiększały niż rozpraszały... Wszędzie ktoś do nich przemawiał, i, o ile dosłyszeć mogłem, starał się przekonać, że rząd nie domierzy sprawiedliwości, że zdrajcy mają przyjaciół, że ich rojaliści ocala, że im ucieczkę ułatwią, że dla postrachu złych potrzebny jest przykład i że lud musi stać na straży a nie przestać domagać się kary, dopóki jej nie otrzyma. Największe zbiegowisko otaczało arsenał... nie spuszczać się na straże i warty, które tam stały, obawiano się, aby więźniowie nie puciekali. Tu też rozdrażnienie było naj- okropniejsze odgróźki najdziksze, ryk tego morza ludzkiego najwięcej przejmujący. — Mając znajomych wojskowych przy warcie i sam będąc w mundurze, wszedłem wewnątrz, aby się coś o tem dowiedzieć...

Tu nowy mi się widok przedstawił.

Znaczna ilość więźniów wojennych rosyjskich, podobno generał Miłasiewicz i inna starszyzna pobrana w nocy 18 kwietnia, znajdowała się tu także zamknięta. Można sobie wystawić przestrach tych ludzi słuchających zdala wrzasków zdziczałego ludu. Blade twarze wyglądały przez okna.

W chwili gdy na ulicy najzapamiętałej wykrzykiwano, ujrzałem kilku mieszczan i wojskowych, podstępujących pod okna więźniów rosyjskich, z którymi obchodzono się z największą ludzkością, można powiedzieć, z wyrachowaną grzecnością i wyrozumieniem dla ich nieszczęśliwego stanu.

— Panowie, zawołał do okien mieszczanin w imieniu tych, którzy mu towarzyszyli, przychodzimy tu umyślnie, abyśmy was uspokoili. To, co słyszycie, ta wrzawa i ta wściekłość nic się was nie tyczy. Marny naszą domową sprawę ze zdrajcami ojczyzny do ukończenia. Biliśmy się z wami na placu, dobijając się należnej nam swobody; wyście żołnierski spełnili obowiązek, szanujemy was i nie dopuścimy, aby któremu włos spadł z głowy. Całość wasza jest honorem naszym. Jesteście bezbroni. Nie mamy do was nic — nie lękajcie się i nie trwóźcie.

Rosyanie powychylali się z okien słuchając, kilku podało nam ręce — scena była rozrzewniająca. Jeden z nich odezwał się, że ufają honorowi Polaków. Odpowiedziano, mu okrzykiem... i tak się skończył epizod tej nocy dla mnie pamiętnej.

Pobiegłem do moich starych, aby i ich uspokoić nieco, bom czułem, że i oni strwożeni być musieli. Zastałem oprócz szambusia niejakiego Drogomirskiego, człowieka, którego zajęcia, ani stanu, ani przekonań nigdy dopytać nie mogłem. Kręcił się ciągle, bywał wszędzie, mówił wiele, dopytywał jeszcze więcej. Miałem go za wielce podejrzanego, bo się pokazywał i znikał. Umiał kilka języków, wiedział o wszystkim i znał cały świat a z całym światem był dobrze. Uchodził za jakiegoś kupca, ale czem handlował właściwie, nigdy się z tem nie wydał. Była to figura sucha, długa w stroju niemieckim, z harcapkiem, skromnie ubrana. Mańkiewiczze zapraszali go chętnie, bo plotki im trząsały jak z rękawa.

Gdym się ukazał w progu, a cały prawie dzień mnie w domu nie było, wszyscy zarzucać zaczęli pytaniami.

Nie łącno mi było odpowiadać.

Drogomirski, którego po kwietniowych dniach raz pierwszy spotykałem, począł mi rany i męztwa wieszować — dziadunio dopominał się relacyi.

Uczyliłem im jak najwierniejszą z tego, com słyszał i widział.

Stary był przerażonym, w jego przekonaniu rozruch musiał być wszczęty przez nieprzyjaciela, który pewnie nocą, z niego chciał korzystać i zdobyć a wyróżnić Warszawę. Gdym się z tego śmiał, Mańkiewicz się pogiewał..

Zaczęto pytać, czy się lud rozchodzi.

— Ani myśli, rzekłem, mnożą się po ulicach tłumy i coraz stają groźniejsze... a gdy raz poszło przeciwko zdrajcom, a po nocy wszystkie krowy czarne, może się dostać i najniewinniejszemu.

Drogomirski zdawał się powątpiewać o prawdzie słów moich.

— Wiecie państwo co? — zawołał — szanowny młodzieniec trochę gorąco te rzeczy sądzi i widzi. Pójdę ja — nic mi się nie stanie, rozpatrzę się w położeniu i powrócę z relacya, jeśli państwo tak rychło spać nie pójdziecie.

— A ktoby tu myślał o śnie! krzyknął Mańkiewicz — piękny mi sen, kiedy pod oknami takie wycie, co do szpiku kości przechodzi. Idź Waszmość i powracaj...

Szambuś został. Tysiące epizodów dnia tego było na placu. Godzili się wszyscy na to, że całej biedy narobił służący Ankwicza, który słup alarmowy o milę od Warszawy podpalił, licząc na to, że w rozruchu pana wybawi. On, Ożarowski i inni konie mieli w pogotowiu nie daleko od arsenału.

Siedzieliśmy tak prawie do północy, gdy Drogomirski powrócił — minę miał przepłoszoną i twarz

bladą. Siadł, aby odetchnąć.

Nie rychłomy dopytali od niego wiadomości.

W istocie, rzekł po namyśle, groźnie rzeczy stoją. Lud się tuła po ulicach, krzyczy, zbrojne bandy chodzą... i bodaj... bodaj — ale cóż tu już kryć.. szubienice po nocy przy pochodniach budują. Mańkiewicz pobladł.

— Gdzie? zapytał.

— Dwie czy trzy przed ratuszem Starego miasta, — docisnąć się tam było niebezpiecznie ubranemu z niemiecka, bo tam kapoty królują — mówił Drogomirski. Jedna na pewno pod Bernardynami, widać ja będzie z zamku.

Na te wiadomość zamilkli wszyscy. Posiedziawszy jeszcze chwile, poszedłem ja zobaczyć, co się działo. Mnie żadne nie groziło niebezpieczeństwo...

Mundur i ręka na temblaku dostatecznie mnie broniły.. '

Wiosenna owa noc, którą na wsi nieraz przepędziliśmy słuchając słowików i napawając się wonią lasów, w mieście przybrała charakter złowrogi. Nie była ona wcale podobną do pamiętnej mi nocy wałki, dzwonów i huku dział. Miasto na pozór było spokojne a nie spało... z okien wyższych, ostrożnie niekiedy otwieranych, wysuwały się trwożliwie głowy, usiłujące wsłuchać się w, gwar i znurtować ciemność, z której wychodzi}. Światła były pogaszone wszędzie... Z szynków tylko buchały czerwonawe łuny, na których tle czarne jakieś zwijały się postacie groźne i do rozeznania trudne. Niekiedy zegar miejski wybijał godziny bezlitośnie... Zamek stał czarny — ale około niego chodziły widocznie podwojone straże, dziedziniec był pełen gwardyi mieszczańskiej. Po za grubemi zasłonami okien migały jasne pręgi.. nikt tam pewnie nie spał...

Na Krakowskiem milcząca kupa otaczała miejsce, w którym stawiano szubienicę... a odgłos siekiery w śród nocy, ciosającej te bierwiona cmętarnie — rozlegał się tragicznie. Kilka pochodni oświecało te scenę pogrzebową, straszniejsza tem, — że jej wtórował śmiech niekiedy przejmujący, jakiś śmiech urągający życiu... Postawszy tu, poszedłem pod ratusz. Tu było daleko gwarniej. — We wszystkich oknach świeciło, ludzie wchodzili i wychodzili, powóz Zakrzewskiego stał zaprzężony. Zbrojne straże się mieniały. Pod bokiem rady najwyższej tłum budował tuż, tuż trzy szubienice, z których jedna z sosnowego białego drzewa na ciemnym tle domów podnosiła się już gotowa na przyjęcie winowajcy, nawet ktoś na niej sznur powiesił, na którym nie rychło dopatrzyłem się uduszonego psa... wirującego razem ze stryczkiem... Na straży tych groźnych rusztowań leżeli, siedzieli, stali gromadami ludzie, jakich się rzadko w biały dzień widuje. Byli to widocznie pozbierani ochotnicy różni, niektórzy podpojeni, twarze czarne, ogorzałe, suknie odarte narzucone na ramiona, najwięcej koszul tylko grubych płóciennych. Niekórzy nucili piosenki, inni mruclili coś niezrozumiałego i śmieli się wskazując ku ratuszowi.

W przedsięniu zamyślnego spotkałem Kilińskiego, który stał i jak zawsze, gdy mu co dolegało, nieszczęśliwego węża pokręcał.

Poznał mnie mimo nocy i wziął za rękę, daleko był mniej pewien siebie niż z wieczora...

— A cóż, spytałem, nie potrafiliście ich skłonić, aby się rozeszli...

— To darmo, szepnął po cichu majster — już i Zakrzewski i Mokronoski próbował, lud musi mieć sprawiedliwość. Ale cóż waćpan chcesz, dodał — to pano. n dla tego, że jaśnie wielmożni, ma być wolno sprzedawać ojczyznę i ma im to uchodzić bezkarnie. Wracam z zamka — szepnął mi — chodziłem, mości panie, w delegacyi, aby Najjaśniejszego uspokoić. Nigdy go takim nie widział. — Zawsze się bywało uśmiecha i przymila, a dziś był jakby zły... tylko po swojemu i strasznie pańsko wyglądał... a słowa mu z ust płynęły bez zastanowienia i oczy miał załzawio- ne... Bo to mości panie, wszystko przyjaciele... najlepsza była komitywa...

— Mówiłeś z królem? zapytałem.

- A jakże! z respektem — ale jak się należy... po obywatelsku, rzekł Kiliński... Gdy namienił o zdrajcach, aż N. Pan mi — Wszyscy u was zdrajcy... nie długo i mnie powiecie, że i ja też taki!... — I zaczął mnie molestować, abym wpływu mojego na lud użył i starał się go odwieść od ekscesów. Wtedy powiedziałem mu — N. Panie, zaniku choćby piersiami naszemi obroniemy, aby majestat nie cierpiał, ale co się tyczy tych panów... ja tu już nie mogę nic...

Król zapłakał...

Pobłakawszy się po mieście... i trwożliwie popatrzywszy na szubienice, do których poprzybijano nad ranem ogromne karty z napisami — Kara na zdrajców ojczyzny — powlókłem się spocząć do domu. W ulicach wprawdzie przeredziło się ludzi nieco, ale znać było, że drudzy napływają... Szubienic pilne wały strażę.

Ledwie się zdrzemnął tylko, biały wczesny blask wiosennego dnia mnie obudził, dzwony się odzywały na jutrznie... ubrałem się i wyszedłem...

Ulice były pełne znowu... najgromadniej koło ratusza się cisnęli wszyscy... Gwardya miejska uzbrojona, przystrojona jak na uroczystość jaka, czekała u przedsionka...

Dowiedziałem się, że sąd się zbierał i że po aresztantów miała właśnie iść gwardya... która, uszykowawszy się, z doboszem na przedzie ruszyła. Lud wszędzie się przed nią rozstąpywał.

Zobaczywszy mnie w tłumie stara Wawerska, dała mi znak, ażeby do nich wszedł, kamienica bowiem tak stała, że z okien jej wszystko było widać jak najlepiej. Udałem się więc chętnie, bom też chciał Jutę zobaczyć.

Znalazłem ją w izbie, zdala od okna z czerwonymi od płaczu oczyma...

- A no — patrze — zawołała stara Wawerska do mnie, niechże ja, kto zrozumie? Jak trzeba się było bić leciała prawie w ogień, a teraz, kiedy lud chce sobie sprawiedliwość uczynić, płacze i nie może na to patrzeć...

— Pani majstrowo, rzekłem — ja się temu nie dziwuję, smutny to widok... wstyd i ból...

— A! niech łotry dyndają! machając ręką, zawołała Wawerska — dość się karmelków najedli za moskiewskie pieniądze... Mam ich żałować?

Juta się nic nie odzywała... chcąc ją rozerwać przystąpiłem do niej, ale była roztargnioną, smutną i pogrążoną w sobie.,

Matka zaś siadła w oknie i tak się zajęła widokiem, który miała przed oczyma, że się od niego oderwać nie mogła... Mimowolnie wyrwały się jej z ust wyrazy i wykrzyki...

Więźniów o zwykłej godzinie przyprowadziła gwardya na ratusz... Tu dopiero lud zaczął tak się cisnąć i oblegać go, że, gdybym był chciał wyniść, nie było sposobu. Z góry patrząc widać tylko było czapki, głowy, czuby, kapelusze i ramiona tego tłoku, wśród którego ani na szpilkę miejsca nie było próżnego. Wszystkich oczy zwracały się na ratusz... milczenie panowało głucho...

Trwało to długie cztery godziny... tylko niekiedy przerywane głosy, które domagały się — kary zdrajców...

Wiedzieliśmy później, iż sąd postąpił sobie acz z pośpiechem, którego wymagał lud, chcąc ocalić sądowe formy i nie dać mu sobie samemu domierzać sprawiedliwości — ale z zupełną pewnością winy... ferując dekret a... Papiery znalezione u Igelströma świadczyły, że brali pieniądze i że za nie obowiązali się być posłusznymi rozkazom obcego rządu. Ich własne podpisy na kwitach potępiły ich... Sąd musiał wydać wyroki śmierci na wszystkich.

Z południa ruszyło się wszystko na placu i w bramie ratusza... zakipiało... Okna pełne były głów, lud na placu poruszał się jak fala..

Przyznaję się, że choć nie bez wstrętu jakiegoś i trwogi stanąłem obok Wawerskiej, aby coś

zobaczyć. Juta nie ruszyła się z krzesła — patrzyła dziko, ponuro na ścianę...

W bramie ukazał się naprzód mężczyzna słusznego wzrostu, pięknej bardzo postawy, twarzy pańskiej, delikatnej, ubrany w zielony wutowany kaftanik, tak znać, jak go po bezsennej nocy z więzienia zabrano... Szedł śmiałym krokiem... ku szubienicy... sam wstąpił na drabinę i chciał coś mówić... W tej chwili wrzask tysiąca ludzi oburzonych zagłuszył go...

Juta zakryła oczy... ja patrzyłem jak osłupiały... Stał jakiś czas w górze, spokojny, pogardliwym niemal okiem mierząc tłum... Widok był rzeczywiście tragiczny... Okazała jego postać nie zmieniła się, nie drgnęła... dobył z wolna z kieszeni tabakierkę świecący, tabaki zażył, oddał ja katowi i sam sobie założył stryczek...

Nie miałem siły patrzeć na egzekucję dwóch drugich, która się odbyła szybko — lud milczał... tłumy stały długo... ale dziki okrzyk pierwszy nie powtórzył się już więcej. Grobowe milczenie... szmer... niektórzy zaczęli uchodzić. Widok śmierci zawsze porusza najnieczulszych a biada tym, których on roznamiętnia...

Nie wiem już, jak spełniono wyrok na czwartym osadzonym, którego egzekwowano naprzeciw Bernardynów pod zamkiem... tak że król z okien widzieć mógł do godziny czwartej po południu zostawione ciało...

Wyprosił pono król tego dnia biskupa Massalskiego od śmierci, która go później w czerwcu nie minęła. Nie byłem świadkiem krwawych tych wypadków gorszych jeszcze od 9 maja w Warszawie. Ręka moja cudownie się goiła, domagałem się sam jakiegoś zajęcia i skutkiem prośby mojej wysłano mnie do obozu naczelnego Wodza.

Na wyjeździe samem poszedłem Jutę pożegnać. Już naówczas nie tałem się przed sobą a pewnie i ona poznać to mogła po mnie, że się do niej mocno przywiązałem. Nie mówiłem jej o tem nigdy. Na cóżby się to przydało? Ożenić się nie mogłem teraz a miłości bez celu wyznawać jej nie śmiałem. Zdaje się, że ona mnie też rozumiała. Matka poznawszy mnie lepiej, nie broniła mi wstępu do domu. Położenie moje w nim było dziwne, niemal śmieszne, byłem znajomym, przyjacielem, niby dalekim krewnym, nie ukrywano się z niczem przedemną, nie mówiliśmy o przyszłości nigdy. Lepiej poznawszy Jutę, potrafiłem ja inaczej niż w pierwszych chwilach ocenić. Matka u której była jedynaczką, starała się pilno o jej wychowanie. Innego naówczas dać nie było można dziewczynie średniego stanu jak klasztorne. Szkół dla kobiet nie było, pensje francuzkie nie przyjmowały dzieci mieszczan i kupców, boby sobie szlachecką przez to popsowały klientelę. Juta więc chodziła na naukę do klasztoru, czas jakiś nawet w nim mieszkała. Umysł się jej tam otworzył. Później pokrewieństwo z Greblem dostarczyło książek do domu, czytała chciwie, wiele, nieporządnie i wszystko to razem układało się, jak mogło, w jej głowie. Ale szlachetny charakter wybierał na swój użytek to, co mu przypadało do jego natury i usposobienia.

Z tych wszystkich żywiołów i wpływów stworzyła się istota oryginalna, nie podobna do innych a nadewszystko do tego, co ją otaczało. W pierwszych dniach nie byłbym mógł w niej poznać nieco wyżej nad stan wykształconego dziewczęcia. Każda inna byłaby się tem wychowaniem chlubiła, — ona się kryła prawie z niem, tak że powoli dopiero dobadywałem się z pod tej zwierzchniej prostoty tego, co wiedziała i umiała. Usilnie pragnąc zastósować się do swego świata, z którego wychodzić nie myślała, Juta okrywała się taką powierzchownością pospolitą, aby łatwiej wyżyć z pocziwą matką i ludźmi, wśród których obracać się musiała. Jakież było zdziwienie moje, gdym nierychło poznał w niej drugą Jutę starannie ukrytą. "Wiele naówczas uczuć jej mi się wytłumaczyło. Raz wydawszy się z sobą, nie ukrywała się potem przedemną. Wyznała mi (o kilkakrotnie, iż zaufanie, jakie do mnie miała, winieniem był temu, że jej nigdy nie prawu komplementów i nie wzdychał do niej.

Milczałem naturalnie, gdy to mówiła, chociaż myślałem w duchu, że wcale mnie nie znała, bom się

naówczas w niej najzapalczywiej kochał.

Ale za to, co mówiły oczy, zdawała się nie gniewać, ustom tylko nakazane było milczenie.

W dniu wyjazdu do obozu naczelnego wodza, do którego wiozłem papiery ważne, poszedłem do Wawerskich z pożegnaniem. OJ tygodnia tam nie byłem. Juta mnie spotkała w progu niespokojna.

— Cóż to się z wami stało? zapytała poufale, —

gdybym się nie obawiała starych nastraszyć dopytując o pana, byłabym już poszła się dowiedzieć o niego, bom sądziła, żeś chyba chory?

Podziękowałem jej serdecznie.

— Nie chcę bywać nadto często, rzekłem, ażeby się nie przyzwyczajając zbyt do was... a potem nie tęsknić jak zepsute dziecko.

Spojrzała tylko na mnie, jakby zakazując mi, żebym pospolitych słodczy nie mówił... musiałem zmienić ton na weselszy.

— Wybieram się też w drogę, dodałem.

— Dokąd?

— Do obozu Naczelnika.

— To waćpan szczęśliwy, naprzód, że się wydobędziesz, gdzie się biją... ztąd, gdzie my tylko kłócić się będziemy — a potem, że zobaczysz człowieka, w którym cała Polska pokłada nadzieję...

Zostaniesz tam, czy powrócisz? zapytała.

— Przed wami powiedzieć to mogę, rzekłem cicho, że jadę z papierami. Czy powrócę z odpowiedzią, Czy mi tam każą zostać, nie wiem.

— A kiedyż pan jedziesz? — spytała.

— Dziś jeszcze przed nocą.

Nastąpiło milczenie, przyszła Wawerska, która za każdym moim ukazaniem się miała sobie za obowiązek poić mnie kawą.

— Porucznik dziś wyjeżdża w świat! odezwała się do niej Juta.

— Co? jak? na długo?

— Nic nie wiem... odpowiedziałem — ale jadę do wojska...

— A ręka? — zawołała matka.

— W drodze się dogoi — rzekłem, Byłem tu i teraz jak w domu, nawykłem do tego skromnego pokoiku, a rozmowa z Jutą, mogę powiedzieć, życie mi słodziła. Jednakże w tej chwili zapął do boju, ochota do czynu, nadzieja zobaczenia Kościuszki dawały mi prawie wesołość.

— Wojska się muszą; zbliżyć do Warszawy, dla jej obrony — odezwała się Juta — to i pan z niemi Naówczas, spodziewam się, odwiedzisz nas i nie zapomnisz o dawnej koleżance.

Rozstaliśmy się smutnie; zwykle teraz, nie obawiając się ani mnie ani matki, odprowadzała mnie do drzwi... Tym razem poszła też ze mną, po woli trwożliwie jednak oglądając się, czy matka patrzy.

— Wawerska zajęta była już gospodarstwem. U drzwi wziąłem jej rękę do pocałowania i spojrzałem w oczy, miała je pełne łez, choć się uśmiechała.

— Żal mi pana — rzekła — ot widzisz, nawykliśmy tak z *sobą* być po bratersku... nie będę miała z kim pomówić i czasem... do prawdy, żal mi pana. Pomyśl tam czasem o Jucie...

W tej chwili zdjęła z szyi krzyżyk złoty, który nosiła na aksamitce, i wcisnęła mi go w rękę.

— Krzyżyk na drogę!! odezwała się śmiejąc — nie śmieć się pan z tego... krzyż Pański wiele wara przypomni... Chrystusa, ewangelia, bliźniego, miłość nieprzyjaciół... i tę może, co krzyżyk dała... szczerze mu życząc szczęścia na tej drodze i na całej drodze życia...

To mówiąc rękę mi dała i pobiegła. "

Syruciowi, gdy to mówił, choć staremu, zebrało się jakby na łzę — ale po chwili ciągnął dalej.

"Dobiliśmy się do obozu Naczelnika po bitwie nieszczęśliwej pod Szczekocinami, znalazłem go w Kielcach. —

Po kilku wygranych bitwach zachwiani byliśmy wszędzie dla przemagających sił nie jednego ale wszystkich trzech nieprzyjaciół, mniej więcej jawnie przeciwko nam występujących. Prusacy się już wcale nie taili z tem, że Rosyanom pomagać chcieli. Ich niespodziewanemu ukazaniu się winien był Kościuszko przegrana szczekocińską, jeśli tę bitwę nazwać się stracona godziło. Oprócz tego zagrożony był Kraków nie wiodło się innym oddziałom. Sam kraj, co wcześniej przewidywał Kościuszko, nie odpowiedział powołaniu rozpacziwemu pod broń wszystkich sił narodu. Ociągano się, obawiano, wątpiono. Lud nie był przygotowany, szlachta przestraszona.

Pierwszy to raz w Polsce rewolucją zrobili mieszczenie a do wojska na równi ze szlachta powołani byli wieśniacy. To, co się działo we Francyi, rzucało jaskrawe światło na to, co się działo w Polsce. Rosyanie i ich przyjaciele wołali ciągle na Jakobinom, na kluby, na nowe zasady przeciwne wszelkiemu porządkowi społecznemu i religii. Igelström powołanie wieśniaków do broni nazywał naruszeniem własności...

Na zgotowanie rewolucyi takiej, o jakiej wychowany politycznie w Ameryce marzył Kościuszko, dłuższego potrzeba było czasu... Stary porządek w szlachcicu widział żołnierza, we włościaninie spokojnego żywiciela narodu... Wszystkie klasy rozdzielone były i rozbite wiekowym stanem, z którego w chwili na rozkaz wyjść nie mogły. Znalazł więc Kościuszko Polskę nie przygotowaną, a jego pojęcia republikańskie grożące rzeczywista równością; zamiast szlacheckiej — odstręczały od niego... Wołali od dawna wszyscy ludzie widzący niebezpieczeństwo o oswobodzenie włościan — trwożyła się niem szlachta i na tę ofiarę zebrać nie mogła.

Odrzucono kodeks Zamoyskiego z oburzeniem dla tego tylko, że napomykał o usamowolnieniu jednej trzeciej części ludności wiejskiej; konstytucya 3 maja trwożliwie dotknęła kwestyi włościan, boby inaczej, mimo czteroletniej propagandy liberalnych idei nie przeszła, Głos Kościuszki w imię ojczyzny odzywał się do ludu, nie śmiano mu się sprzeciwić, wielka powaga imienia wielka świętość sprawy nie dopuszczała — ale bierny opór stanął milczący przeciw rozkazom Naczelnika.

W obozie znalazłem czoła chmurne, twarze smutne... Obawiano się o Kraków, lękano o Warszawę... Nie zwątpił jeszcze Kościuszko i nie powątpiewał do końca, czuł już przecie, z jak wielkimi, nie tylko zewnętrznymi przeszkodami walczyć mu przyjedzie...

Pierwszy raz w życiu miałem go zobaczyć — i — gdy mnie Linowski wprowadził pod skormny szałas z gałęzi zielonych, który zajmował, serce mi biło ogromnie. Ze drzeniem przystępowałem do niego.

Spodziewałem się znaleźć w Naczelniku narodu coś majestatycznego, bohaterskiego; zdumiałem się widząc średniego wzrostu, bardzo skromnego człowieka, którego twarz dopiero po wpatrzeniu się uderzała wyrazem dobroci, czystości, spokoju, rzekłbym, prawdy... gdyby można tak się wyrazić.

Nic w nim nie było wybranego, udanego, obrachowanego. Stał takim przed ludźmi, jakim go Bóg stworzył... Niepiękne rysy twarzy miłe były i sympatyczne... w oku patrzyło męstwo i rozwaga.....

Ubrany był w szarą sukmankę krakowskim krojem, długie buty, czapkę chłopską i ładownicę. Właśnie powróciwszy z przeglądu wojsk odpasywał szablę, gdy wszedłem. Szałas, w którym mieszkał, raził prawie ubóstwem. W jednym kąciku ciasne łóżeczko z poduszka skórzana a pod niem tłumoczek na pół opróżniony, w drugim stolik sklecony na prędcie, zdaje się z okiennicy, a na nim papiery i mapy. Drugi podobny stół był właśnie nakryty ze spartańska prostotą grubym obrusem nie dobielonym i kilką talerzami glinianymi. — Butelka wina jedna... stała przy karafce z wodą. '.. Ani wykwinnych adjutantów ani służby przy nim. Stary, z nieogoloną brodą kucharz w białym fartuchu,

zarazem pono i służący, zjawił się oczekując rozkazów. Kościuszko, nim jeszcze otworzył papiery, począł mnie rozpytywać o Warszawę. Zobaczył rękę jeszcze na temblaku, dowiedział się o ranie i uściskał mnie milcząco...

Mówił sam mało... Linowski poddawał pytania jedne po drugich, tak że ledwie na nie zdążyłem odpowiadać.

Wielu też rzeczy nieświadomy byłem lub znałem tylko zewnętrzną ich fizyognomią. — Musiałem opowiadać o egzekucyi 9 maja, com o niej wiedział. Naczelnik milczał posepnie, popatrzyli na siebie z Linowskim, nie mówili nic.

Naostatek, gdy się główne przedmioty wyczerpały, Kościuszko kazał dawać do stołu. Trzech wojskowych, Linowski i ja siedliśmy do tej skromnej prawdziwie spartańskiej uczy. Chleb był razowy... Zupę przyniesiono w ważce otluczonej, potem polską sztukamięsz białą, pieczyste i naleśniki. Na deser znalazły się przysłane przez kogoś poziomki. Wypiliśmy po kieliszku wina, podano wreszcie czarną kawę.

Rozmowa przy stole toczyła się ciągle niemal o 'Prusakach, o ich wiarołomstwie i o losie Warszawy. O królu nie mówiono prawie. W ciągu całej tej wojny oddawano mu wprawdzie wszystkie honory należne dostojności królewskiej, ale od wszystkiego odsunięto go, czynnie nie dopuszczono do niczego, nie mając w nim zaufania.. Król próbował czasem wywierać wpływ pewien i w końcu utworzył sobie kółko, które rozmaitemi drogami usiłowało działać na Naczelnika, — na rząd. — Zawsze jednak działanie to nie śmiałe, słabe nie mogło mieć wielkiego znaczenia.

Spodziewano się tu jeszcze powstania szerszych rozmiarów w kraju, większego udziału włościan, żywszego patriotyzmu szlachty. Linowski pytał kilka razy o Potockiego i Kołłątaja, ale małym mu co mógł o nich powiedzieć. Kościuszko badał pilnie o Kilińskiego i prawie do łez. był poruszony, gdym mu przygotowania do powstania w mieście' pod oczyma i grozą Igelströma opowiadał.

Tak nam zszedł czas do wieczora.

Co chwila nadbiegali oficerowie, raporta a wreszcie i szlachta okoliczna przybywała pokłonić się Naczelnikowi, przywożąc mu skromne zasiłki do jego spiżarni a ' stękając okrutnie, że jej kosarzów i kosa zabierano w samuteńką, kosowicę.

Stary szlachcic z okolicy Kielc, niejaki pan Belina i ubawił i zasmucił Kościuszkę... Przyjechał ze starem winem węgierskiem i z perswazyą.

— Naczelniku nasz uwielbiony! zawołał głośno, na rany Chrystusowe co czynisz, tych chamów nam buntując. A czy to my się bez nich nie obejdziemy! wiało to narodu szlacheckiego! Czy to umie władać orężem. Kosa! kosa bardzo dobra rzecz na łące, ale na Moskali to żarty...

— Przecież pod Raclawicami gorzej się rej lękali niż szabli, rzekł Kościuszko.

— Bo się jeszcze nie poznali! zawołał Belina, —

a najgorsza rzecz, że nam zaraz chłop zdumnieje i już go za ucho pokręcić nie będzie można.

— Panie sędzio, zawołał Kościuszko, powracam z Ameryki, z kraju prawdziwie republikańskiego, gdzie oprócz murzynów niewolników i chłopów nie ma i szlachty też nie ma.

— Jakże to może być, wykrzyknął Belina, aby gdzie na świecie szlachty nie było. Oto dopiero kraj! Jakże oni tam mogą żyć... promiscue... jak bydło...

Oficerowie się śmiali, Belina mówił dalej.

— Już to w tem, Naczelniku uwielbiany, zbłądziłeś, chamów nie trzeba było wołać, bo to do niczego! a szlachcicowi obok nich stanąć — despekt. Gdzie to kto kiedy widział! fuj ! Dalej i żydzi pójdą.

— A spodziewam się! zawołał Kościuszko, i mam pewność, że pułk sformują.

Szlachcic oniemiał.

— Koniec świata, — zawołał po chwili, — my się już z sobą nie zrozumiemy. Samibyśmy ojczyznę ocalili, było tylko czasu dać.

— A czemuż nie idziecie? spytał wódz, garnijcie się, przepędźcie innych, ale stańcież falangą krociową, jakiej ja potrzebuję.

— Niechaj no po żniwach, to zobaczymy, — rzekł stary Belina. Co do mnie, ja ci i dziś na koń siędę, a no ze mnie pociecha; nie wielka, miałem synów dwóch, oba poszli, — cóż chcesz więcej!

Starowina się rozplakał, a Kościuszko go uściskał. Nie było co walczyć z ideami, które jednego dnia się zmienić nie mogą.

Wieczorem dowiedziałem się, że przez noc Linowski z Naczelnikiem miał mi odpowiedzi wygotować, a nazajutrz rano musiałem powracać do Warszawy.

Próbowałem się tu wprosić do służby, Kościuszko mi odpowiedział łagodnie:

— Mój poruczniku, naprzód ręka jeszcze nie bardzo zdrowa, powtóre, potrzeba mi koniecznie kogoś, coby rozkazy zawiózł, a raz już przebyłeś tę drogę szczęśliwie, to ją i powtórnie przejedziesz. (Czekaj)

zblizymy się tam do was, postaram cię dobrze umieścić, abys ochocie dogodził.

I pokłoń-że się odemnie pocziwemu Kilińskiemu.

Przespawszy się w drugim szalasię z oficerami od sztabu na sianie, gdzie nas w nocy deszcz napadł i porządnie strzepał, — o godzinie ósmej odebrałem papiery i listy od Linowskiego, pożegnałem Naczelnika i puściłem się do Warszawy.

Z różnemi jednak przygodami walcząc po drodze i krążyć zmuszony, wróciłem dopiero po dniu 10 czer. Już w drodze dowiedziałem się o wypadkach zawca. szłych w różnych stronach kraju a dla nas po większej części niepomyślnych; wszystkich trzech nieprzyjaciół mieliśmy przeciw sobie, ze trzema ucierać się trzeba było z siły niedostatecznemi, nie mając czasu na ich zorganizowanie; Warszawie groziło oblężenie przez Prusaków.

Wszędzie po pierwszej chwili popłochu kupiły się wojska mocarstw nas otaczających, mające zasoby o wiele przewyższające nasze; Polskę ratował tylko patryotyzm jej i ofiary, które płynęły zewsząd ochotnie. Lecz i te starczyć nie mogły, bo kraj był poprzecinany przez nieprzyjaciół, zajęty przez nich w części i komunikacje ze stolicą utrudnione.

Poddanie Krakowa znękało i przybiło wszystkich. — Przybyłem właśnie na tę chwilę rozgorączkowania i rozpaczy... Warszawa wydała mi się zmienioną — fizyognomia jej nawet inaczej się teraz przedstawiała... Większa część ludności, ochłonawszy z zapału, narzekała tylko i wątpiła, upatrując zdradę i zdrajców we wszystkich... Posądzano ludzi najniewinniejszych, rodziła się chęć nienasycona zemsty i krwi pragnienie. Nikt nie wiedział, co czynić, miotano się, rzucano, narzekano... Przestrach panował wszędzie... podejrzliwość go mnożyła... Zaledwie przybywszy, zbiegłem Po oddaniu papierów na Radzie, nie wiele ustnie opowiedziawszy o Naczelniku — - do moich Mańkiewiczów... Przyjęto mnie tu otwartemi rękami i okrzykami radości, — wszyscy jedno pytanie mieli na ustach, czy prędko przybędzie Kościuszko... W nim jednym widziano ratunek... Każdy ciekawym był coś o nim posłyszeć... nie ufano ani Kołłątajowi, ani Potockiemu nawet, ani ulubionemu Zakrzewskiemu, cudu ocalenia wyglądał każdy od bohatera z pod Raławic.

Gdym począł opowiadać o nim, o jego Cyncynatowskiej prostocie życia i postaci, o chłopskim ubiorze... nie rozumiano jakoś całej piękności i wzniosłości obrazu, który kreśliłem... dziwiono się a nawet zaprzeczano, ażeby to pożytecznem być mogło...

— Wódz, zawołał szambuś, powinien uderzać oczy tłumu, mieć powagę i majestat... nakazywać wzrokiem... trzeba, by się go trwożono na pierwsze nań wejrzenie...

Mańkiewicz nie wierzył też w skuteczność chłopskiej pomocy... Pomimo to wierzone w geniusz

Kościuszki i w jego cnotę. Instynkt ogółu szczególnie czuł w nim i cenił ideał ten zacności i prawości, charakter niezłomny, sumienie wielkie...

Niejeden może w duchu więcej zdolności przyznawał Potockiemu i Kołłątajowi, a mimo to potęgą charakteru nad wszystkimi nimi niósł się góra Kościuszko!

Jakże szlachetnem było usposobienie narodu, który w chwili największego niebezpieczeństwa więcej ufał cnotcie niż geniuszowi nawet!

Takie było poczucie ogółu. Pojedynczo wzięci ludzie sądzili różnie i już odzywano się z różnemi krytykami. Łatwemi one były, niestety! bo nikt podolać nie mógł ogromowi niebezpieczeństw, jakie na nas spadały.

Od Mańkiewiczów wychodząc, spotkałem mojego Kilińskiego. Zmęczony był, zbiedzony, przybity. — Karmazynowa wstęga na ramieniu (oznaka członków rady i rządu) ciążyła mu. Obowiązki przechodziły jego siły. Znając wpływ jego na mieszczan, narzucano mu nieustannie kierowanie nimi, uspokajanie ich, wstrzymywanie, nawracanie.

Ścisnął mnie za rękę. Był to zawsze ten sam patryota, który wiódł lud dnia 17 kwietnia bezbronny na wojska nieprzyjacielskie — lecz łatwiej zaprawdę było zwyciężyć wroga zbrojnego niż ducha, który niebezpieczeństwo zaszczerpiło w Warszawie.

Z nim walczyć było zadaniem Herkulesowem... Kiliński blady był, niecierpliwy i prawie gniewny.

— Waćpan nie wiesz, panie poruczniku, — rzekł do mnie, co to tu u nas się dzieje. Sodoma i Gomora, mówię wam. Lud kipi, zdrajców pełno, coraz gorsze wiadomości. Naszego kochanego Kościuszki nie widać, a tu dalej, dalej rozżalonego narodu nie utrzymamy, jak pójdzie..., jak się rzuci, to i zaniku nie obroniemy.

— Ależ to nie ocali ojczyzny! zawołałem.

— A no, kiedy żal szaleństwem poi. Co na to poradzić! rzekł Kiliński.

Chwilami się uśmiechał, gdy mówił o nieprzyjacielu i o wojnie, ale wspomniawszy miasto chmurzył się...

— Już to tu nie obędzie się jeszcze bez... awantury... nadto zdrajców zostało. Ludzie mówią o konszachtach z Prusakami, a póki tu mieć będziemy niepoczciwych, pótyśmy nie pewni siebie, mogą nas wydać w ręce wrogów.

Zaczął mi liczyć podejrzanych, poczynając od prymasa; zatknąłem uszy. Rozeszliśmy się, bo mi było do Juty pilno. O nią pytać go nie śmiałem. Zapukawszy do drzwi długo pod niemi czekać musiałem; zamiast matki lub córki otworzył mi chłopiec i oznajmił, że jejmość wyszła na miasto a panna czegoś była niezdrowa.

Zawahałem się w progu — bo choć w mieszczańskim domu ubogim nie ma tych form wymyślnych, które chorego nawiedzić nie pozwalają, nie wiedziałem; czy mi wypada narzucać się Jucie w czasie niebytności matki. W tej chwili postrzegłem ją samą, bladą i smutną, wyglądająca z trzeciej izby ku mnie. Poszedłem już nie pytając o pozwolenie. — Rumieniec wybiegł jej na twarz.

— Cóż to wam? chorujecie? zapytałem, ale to być nie może?

— A! nie — tak — było mi trochę nie dobrze, rzekła cicho — powiedzcie mi, komu tu w takie czasy zdrowo i wesoło być może? Wszyscy, siedzimy gdyby na beczcze prochu, która nas co chwila może wysadzić w powietrze! Jeżeli nie o siebie, biedujemy o kraj... o rodzinę, o kochane miasto!

A! — o siebie się troszczyć nawetby się nie godziło...

— Gdzież pani Wawerska? zapytałem.

Juta popatrzyła długo na mnie, nim mi odpowiedziała.

— Pocziwa matka dużo ma trosk, rzekła — aż mi jej żal; ja jestem do niczego, mężczyzny w domu

nie ma, rzemiosło przepada... rady sobie nie możemy dać.

To mówiąc popatrzyła na mnie i łza cicha popłynęła jej z oczów.

— Otóż na tę biedę, ten nieład — dodała — nie było innego ratunku jak nikomu na nic nie potrzebna Jutę poświęcić.

Słuchałem nie rozumiejąc, ona mówiła dalej prawie spokojnie.

— Matce trzeba ulżyć i ratować ja... wiecie, co się święci... oto panna Juta wychodzi za mąż za prostego rymarskiego czeladnika, aby było komu prowadzić dalej rzemiosło, bo inaczejby warsztat upadł i matka się biedna zamęczyła.

Słuszna rzecz, by za tyle ofiar rodzicielskich dziecko też wywdziękowało się posłuszeństwem.

Zapewne, że dla mnie w tem zamążpójściu szczęścia nie będzie. Michałek, mój przyszły, dobry może chłopak, ale nieokrzesany, krzesać go już nie pora, nie zrozumie on nigdy Juty, ani Juta j. ego... ale rzemiosłu pójdzie dalej, bo rymarz z niego dobry i czeladź utrzyma i nie zapije się...

Spuściła oczy wzdychając. Jam słuchając tych wyznań osłupiał, robiło mi się zimno, gorąco, zgojona ledwie rana piekła mnie jak żelazem, szumiało w głowie, ćmiło się w oczach, opanowywał gniew, złość i smutek.

Ale jakież ja miałem prawo powiedzieć choć słowo...

Spojrzała mi w oczy i musiała wyczytać z nich pewnie wszystko, com doznał, — musiała zrozumieć, co mi zamykało usta.

— No — cóż wy na to? szepnęła cicho.

— Mnie nic powiedzieć nie wolno — rzekłem cicho — jakie ja mogę być sędzią w tej sprawie albo doradczą? Panno Juto — co ja myślę, wy odgadnicie...

— Cóż chcesz pan? Są takie losy! odpowiedziała

— nie każdy być może szczęśliwym, ale poczciwym może być każdy

Matce trzeba się wywdziękzyć — to potrzebne dla jej spokojności. Powiem już panu szczerze wszystko, choć się tego domyślam tylko... zdaje mi się, że matka trochę się złąkla o mnie... (śmiej się pan) — z powodu pana — i przyspiesza moje ożenienie, sądząc, że mi niem z głowy wybije...

Nie dokończyła...

Byłem cały w ogniu. — Matka nas posądza, rzekła, że my się kochamy.

— Matka odgadła — przerwałem, przynajmniej mnie — bo ja...

— Cicho!! zawołała Juta... o tem ani słowa, my się kochamy jak brat i siostra, i tak kochać się poczciwie, święcie, bratersko... możemy do końca życia, choć ja zostanę panią majstrową... wy może...

Zerwałem się jak piorunem rażony.

— Mogę pani przysiąc na wszystko najświętsze, że nikogo nie wezmę, pókim żyw. — Nie mogę was mieć... nie chcę innej.

— Przysięg nie słucham i nie przyjmuję, odezwała się Juta — życie jest długie, wymagania jego okrutne... nikt przewidzieć nie może swej przyszłości... mój poruczniku... ani słowa o tem...

Usiadłem milcząco. O czem innem już ani mówić nie mogłem...

Juta mi pogroziła.

— Poczciwa miłość braterska — rzekła, nie powinna być kwaśną i smutną... waćpan wiesz, że Michałek przecie z serca mi nie wyruguje mojego towarzysza broni... to dosyć... i — cicho...

Nadchodząca matka przerwała tę smutną rozmowę, zdziwiła się i zachmurzyła zobaczywszy mnie, ale wprędce jakoś odzyskała zwykły humor i z prostotą właściwą obyczajowi ludowemu spieszyła rzucić z serca wiadomość o zmowinach Juty z p. Michałem

— Będziemy jegomości prosili na wesele! zawołała — i to wkrótce; jak tylko Warszawa będzie

wolna od nieprzyjaciela, wydaję za mąż Jutę... jużci czas... chłopaka jej wybrałam poczciwego, dobrego rzemieślnika i nie bez grosza, a co najwięcej, że charakter ma dobry i pracowity... a nawet z twarzy niczego.

Rozśmiała się stara złośliwie, patrząc na mnie i na córkę i wzięła się w boki.

— A co? a co? spytała — co asińdziej na to? ha ? myślisz, żem ja ślepa i żem nie widziała, że ci się chce do niej smalić cholewki! Otóż masz!! Nie chce, żebyś mi asińdziej się próżno bałamucił i ona...

— Matko — przerwała Juta —

— A no tak! tak! mówiła stara, nie trza w bawełnę nic zawijać!

Bardzo mnie ubodły wyrazy pani majstrowej.

— Darujesz mi, pani — odezwałem się — nigdy ani słowem ani wzrokiem nie zdradziłem się z tem, żem miał przywiązanie do córki pani, dla tego, że sobą nie władam, nie mam nic a mam rodziców i familią, od której zależę... Gdybym zaś wolnym był... otwarciebym starał się o rękę panny Juty...

Majstrowa zaśmiała się głową kiwając na wsze strony i ciągle dla powagi trzymając się w boki.

— Wszystko to piękne, ładne! rzekła... ale mój poruczniku, czy ty myślisz, żem ja nie żyła i świata nie widziała ? Ty się dziś kochasz, gotówbyś na wszystko... ale czy jabym córkę dała na te losy, coby ją tam czekały!! wytykaliby ją palcami jako mieszczańkę i córkę rzemieślnika, krzywiłyby na nią nosami szlachcianki, zdawałoby się wam, że jej łaskę robicie... a tego ja nie chcę! Chleba kawałek z laski Bożej jest... tu ona w domu pani i pierwsza, tamby chyba była ostatnia... Tobieby się łatwo żywot zatrul i przypisywałbyś to żonie, przeszłaby może gorąca miłość... a biedna Juta płakałaby gorzko. Wolę, niech popłacze teraz, że jej trochę was żal będzie, aby przyszłość pewniejszą miała...

Wiec tak, mój poruczniku — dodała — nie gniewajta się na mnie — matką jestem, myślę o dziecku... i co w sercu to i na języku...

Wstałem z siedzenia zmięszany, chcąc odejść co najprędzej. Juta wpatrywała się we mnie uważnie, chcąc poznać, czym się gniewał... Łatwo jej było wyczytać z mojej twarzy, iż smutny byłem, zgryziony, pomieszany, ale nie gniewny. Prostota i szczerść nieco szorstka Wawerskiej rozbrajały mnie... bolałem wszakże i pilno mi było już z tym bólem i smutkiem co rychlej się gdzieś ukryć przed niemi...

Wawerska popatrzyszy na mnie, spojrzawszy na córkę — z wielkiego tego impetu nagle ostygła — żal się jej zrobiło nas obojga... Gdyby się jej kto był sprzeciwiał, burzył, byłaby z pewnością pogniewała się i rozdrażniona nie przebaczyła córce ani obcemu — to poddanie się pokorne jej woli zmieszało ją. — Wedle pojęć i charakteru własnego było to dla niej niezrozumiałem... Stała tak milcząca jakby za daleko się puściwszy i nie wiedząc, co dalej pocnie. Zacząłem się kłaniać i żegnać, chcąc już odejść, i byłaby jejmość rada temu pewnie, gdyby nie przewidywała niemiłej sceny z córką, której wejrzenie zapowiadało choć łagodną wymówkę...

Zatrzymała mnie za rękę.

— Jam się wypaplała z pod serca, zwyczajnie stare babsko, co języka nie umie utrzymać — ale — zgoda! Pewnie do nas już i nosa nie pokażesz, napijże się jeszcze kawy z nami i posiedź, póki nie ochłoniesz, żebyś mi zły nie odchodził...

Rozśmiała się patrząc na mnie. Podziękowałem za kawę, stara zamilkło... Pożegnałem ją nie okazując urazy, poszedłem Jutę w rękę pocałować, na co matka bardzo jakoś niespokojnie popatrzała, i zwolna krocząc przez izbę czeladzi, nie patrząc i nie widząc nic dostałem się do drzwi, które się za mną zamknęły — jakbym ten próg przestąpił raz ostatni...

Moi panowie, rzekł Syruc poważnie — było to Pierwsze głębokie uczucie w życiu mojem a

szczeńliwym trafem budziło je nie płochę dziewczę ale kobieta godna przywiązania i szacunku. Mogę powie- dzieć, że ono wpłynęło na całe życie moje. Z tą gorącą miłością młodzieńczą gdybym był trafił na inną, mógłbym sam płochym się stać — ona mnie uczyniła człowiekiem i z młodzieńca mężczyzną...

Tego dnia nie poszedłem do domu, nie chciałem się spotykać z nikim, ani mówić ani szukać rozrywki, pobiegłem nad brzeg Wisły, unikając ludzi i w najbrudniejszych kątach, na stosach drzewa nad wybrzeżem siadłszy spędziłem wieczór cały. Moje własne nieszczęście, którego mi się i wyznać i okazać wstydził, więcej mnie obchodziło nad wszystko... Miasto huczało tam za mną, dzwony były na Anioł pański, słońce zachodziło... nie widziałem i nie słyszałem nic... byłem osłupiały... Nadeszła noc i chłód dopiero a dreszcz mnie rozbudził. Potrzeba było iść do domu...

Dostawszy się na Krakowskie przedmieście usłyszałem huczenie i wrzenie tłumów dobrze mi już znane... Był to właśnie pamiętny ten wieczór siedemnastego czerwca...

Na Krakowskim poznałem, co się święci; wzburzenie było daleko sroższe i straszniejsze niż w maju, owego wieczora po przejażdżce króla...

Przewidując, na co się zanosz, nie chciałem drugi raz być świadkiem scen podobnych — uciekłem co prędzej do domu... Nie dochodząc nawet do Mańkiewiczów, zamknąłem się w moim mieszkaniu...

Ale tu nie mogłem też znaleźć spoczynku.

Z miasta niemal przez noc całą dochodziły mnie okrutne wrzaski i huk spieszenie latających po mieście powozów i konnych. Nad rankiem znużony, zaledwie mogłem się zdrzemać. Nie wiem, jak długo spałem, gdy mnie stukanie do drzwi obudziło — był biały dzień, służący dziada wołał mnie, abym zszedł na dół.

Znalazłem tu parę osób przerażonych... nie wiedziałem o niczem. Od szambelana dopiero, który głos niemal postradał, dowiedziałem się o wypadkach dnia i nocy. Jedenaście szubienic stało po mieście, a na nich sam lud bez sądu pochwytyanych wieszał winnych i niewinnych. Pijana garść podżeganych zbrodniczo ludzi, prawdziwy motłoch, który się znajdzie w złą godzinę w każdej stolicy, puścił sobie cugle, buntując się formalnie przeciwko rządowi i Radzie, odtrąciwszy Kilińskiego i ledwie mocy charakteru Zakrzewskiego dając się wreszcie upamiętać.

Skończone było nareszcie wszystko, władza przywrócona, ale straszliwe wspomnienie tej ludowej ślepej a namiętnej sprawiedliwości pozostało — odstręczając od rewolucyi umysły i serca.

Upadek ducha i trwoga w mieście były powszechne. Mańkiewicz ręce łamał i chciał wyjeżdżać, ale dokąd? Tegoż dnia nadeszły wieści, iż Kościuszko się przybliżył i że winnych tego rozruchu nie minie kara.

Podżegacze mniejsi, zdaniem powszechnem, mieli być tylko narzędziami ludzi, którzy w naśladowaniu rewolucyi francuzkiej widzieli zbawienie. Inni utrzymywali, iż pruscy emisaryusze do tych scen popchnęli lud, aby zożydzić rewolucyą i dać powód znęcania się nad nią.

Stan miasta czynił w niem życie ciężkiem, dusznem, nieznośnem... Nazajutrz po okropnym dniu, ponieważ jeszcze ręka mi nie dozwalała zaciągnąć się do wojska, pochwycił mnie Kiliński, abym mu pomógł gwardya miejską organizować, i wziął mnie z sobą na cały ten dzień, zamawiając nawet na następne, dopóki bym czynnej służby nie znalazł sobie.

Musiałem z nim ciągnąć na zamek i po raz pierwszy oddawna znalazłem się wśród rezydencji królewskiej, którą teraz trudno mi poznać było, bom ją całe jeszcze inną nawet za Targowicy pamiętałem.

Smutniejszego obrazu wystawić sobie trudno. Zamek pusty był cały dzień, wielkie sale pozamykane, służba zmniejszona, król skryty w gabinecie, otoczony kilką kobietami i rodziną. Z

szambelanów, paziów, adjutantów ledwie kilku pozostało.

Na twarzach wszystkich milcząca trwoga się malowała, słowa się trudno było dopytać. Wszystko zdawało się czekać jakiegoś wybawienia.

Byłem przytomnym, gdy Kiliński, poprosiwszy króla o posłuchanie, przyszedł mu oznajmić, iż miasto jest już spokojne, że nie ma się czego obawiać i może zaufać wiernemu mieszczaństwu swojemu, które go nigdy nie odstąpi...

Król Stanisław, którego twarz wydała mi się dziwnie zestarzałą i jakby zdrętwiała od bólu, wyszedł w szlafroku... milczący, oglądając się, napróżno usiłując okazać panem siebie.

Przemówienie Kilińskiego proste bardzo ale gorące, bo to był człowiek serdeczny, poruszyło króla, wymówił kilka wyrazów podzięki, pomieszany, oglądając się, słuchając jakby... Pod powiekami czuć było wstrzymywane łzy.

W tej chwili zapomniałem win i błędów tego panowania, człowieka szczerze mi żal było. Gdy się to przyjęcie skończyło, odetchnąwszy jakby po ciężkiej pracy, król szybko odszedł do gabinetu.

Wyszliśmy z pokojów z Kilińskim i miałem z nim razem zajmować się już tą gwardią bezpieczeństwa, gdy niespodzianie po raz pierwszy spostrzegłem wojewodę Niesiołowskiego. Nie wiedziałem nawet o pobycie jego w Warszawie a tem mniej o tem, że go do sądów naznaczono.

Niesiołowski poznał mnie.

— Syruc — zawołał — ja ciebie szukam od dawna i dobadać się nie mogę... na miłość Boga, potrzebuję cię... gdzieś był?

Opowiedziałem mu, że do Kościuszki był wysłany. Musiałem tedy pożegnać Kilińskiego a sięść z wojewodą, który z zamku do domu jechał. Przez całą drogę chmurny był i milczący. Spytał mnie o Kościuszkę i nie wiem, czy moją odpowiedź posłyszał, bo się znowu cały w myślach zatopił.

Nareszcie powóz zatrzymał się przed pałacem, weszliśmy z nim do pokojów.

O moich losach w pierwszych dniach kwietnia wojewoda był uwiadomiony, nie potrzebowałem mu się spowiadać... Znałem ja go jako gorącego patriotę, znalazłem w tej chwili dziwnie znękanym i zafrasowanym obrotem sprawy.

— Siadaj, Syruc — rzekł — mam tyle na sercu, że mi się wygadać potrzeba...

Człowiek głowę traci i nie wie, co czynić.

Załamiał ręce.

— Źle jest — rzekł — szaleńcy wzięli w ręce wszystko i najświętszą sprawę poplamia i popsują.

— Po tym biedaku Wulfercie nikt życia niepewny... Krzyknie służący, co wczoraj zbiegł, na swego pana, że zdrajca, to go na biczysku obwieszają.

— Przecież się to uśmierzyło — rzekłem, i nowych rozruchów nie ma się co obawiać.

Niesiołowski się uśmiechnął boleśnie.

— Raz spróbowano — rzekł — raz się zaprawiono... nie poszanowano kapłanów,..

— Ależ to byli jawni zdrajcy! przerwałem.

— Tak, to prawda, odparł, tem bardziej trzeba było sprawiedliwości ich oddać, nie zamęczyć ich bez sądu. Wzdrygam się na to, dodał, jestem pewny, że się oburzy Kościuszko, że to sprawa pruskich emisaryuszów, co nas jakobinami mieć chcą, aby potępić.

To mówiąc pochwycił mnie za rękę i spojrzał mi w oczy.

— Syruc — zawołał — znasz mnie. Polskę kocham nad życie! Trzeba jej oszczędzić wstydu i ohydy, trzeba ztąd wyrwać króla i prymasa... bo... bo ja za ich życie nie ręczę.

Zbladłem usłyszawszy te słowa.

— W takim razie — rzekłem — Prusacy i Moskale napadną miasto i w perzynę je obrócą.

— Dziecko moje! gdy będą mogli, pewnie ich ani król ani prymas nie wstrzyma... Zresztą obu ich

nie gdzieindziej trzeba wywieźć jak do obozu do Kościuszki...

Milczałem...

— Do tego nam potrzeba kilku energicznych ludzi, na którychby nie padło poderzenie żadne...

Pomyślałem o tobie.

Serce mi się ścisnęło... nie miałem ani ochoty ani zdolności do takiego przedsięwzięcia; odpowiedziałem, że się na siłach nie czuję.

Wojewoda pochodził po sali zamyślony i powrócił do mnie.

— Nie sił ci braknie ale przekonania — rzekł — ja ci powtarzam, że narodowi trzeba oszczędzić aro- mu... Padnie nań plama, jakiej w całych jego dziejach nie ma... Nie należałem nigdy do dworaków króla — ale dałbym życie, aby go ocalić. — Usłużysz ojczyźnie, Kościuszko ci sam podziękuje, tłumy są roznamiętione, wiem, co się gotuje, z czym się odgrażają...

Musisz dopomódz...

Dosyć długiego czasu potrzebował wojewoda, by mnie nakłonić; uległem wreszcie jego prośbom i rozumowaniom. Wymagał odemnie słowa i przysięgi, dałem jedno i drugie, uściśnął mnie, zdjął sygnet z palca i rzekł:

— Idź z nim do zamku, melduj się do króla a bądź ostrożnym... Rzeczy są po trosze przygotowane... braknie ludzi...

Jak pijany wyszedłem od wojewody, nie chętnie kierując się ku zamkowi.

Rozpowiedziano mi, którymi drzwiami, jakim kurytarzem i do kogo mam się udać... Fora była poobiednia. Na zamku pusto, na wschodach żywej duszy, w przedpokoju od sali audyencyonalnej siedziała gwardya i deputacya miasta, która króla strzegła. Król znajdował się w małym gabinecie. Ryx mnie do niego wpuścił, powiedziawszy wprzód, z czym i od kogo przychodzę.

W chwili, gdy wchodził, czarno ubrana kobieta podżyła, poważnej postaci, nieco do króla podobna wstała z kanapki i, popatrzywszy na mnie, do bocznego udała się pokoju..

Ze zwykłą sobie uprzejmością i uśmiechem, na który trudno mu się zdobyć było, przystąpił do mnie król.

Głos mu drżał. — Rozpytał się mnie, kto byłem, gdzie służyłem, zagadał o rodzinie Syruciów i o jej dawności na Litwie, z pamięcią szczególną kilka naszych koligacyi przytoczył, oświadczył mi, że z zupełną ufnością przyjmuje pomoc moją, i kazał mi się udać za Ryxem.. zwracając sygnet Niesiołowskiego...

W całej postawie króla i mowie jego czuć było hamowaną trwozę i smutek, najmniejszy szelest wstrzy- mywał go, wykrzyk z ulicy okrywał bladością twarz, niespokojny wyglądał oknem...

Gdym ucałowawszy podaną mi rękę wyszedł, Ryx prosił mnie, bym szedł za nim. Milcząc wprowadził mnie w kurytarze ciemne, potem przez kilka pustych pokojów, galeryą, wschody i prawie na poddaszu, dowiódłszy mnie do drzwiczek, do których zapukał, poprzedził mnie sam a potem wpuścił...

W małym pokoiku znalazłem trzy osoby zupełnie mi nie znane. Jedna z nich była w stroju duchownym, dwie drugie, ubrane po cywilnemu, miały postaw ywojskowe...

Ciemno już było, tak że twarży ich dobrze rozeznać nie mogłem. Przywitano mnie milcząco, opowiedziałem się kilku słowy.

Ksiądz wstał z kanapki.

— Wiesz pan więc, rzekł — o co idzie — króla ocalić należy! masz pan już co obmyślanego?

— Ja ani czasu ani znajomości położenia nie mam dostatecznej, odezwałem się, ażebym mógł plan jakiś stworzyć, mogę zaledwie być pomocnym w wykonaniu.

Spojrzeli po sobie, jeden się odezwał.

— Trzeba się spieszyć, każda godzina droga — mieszczanie niby króla pilnują dla jego bezpieczeństwa — ale jako żywo raczej, aby nie uszedł... Pierwsza tedy trudność, jak ich uspić...

Ksiądz się odezwał:

— To najmniejsza rzecz — wieczera się im daje, trzeba, by kto podpoił, to się pośpią, a i tak pomęczeni...

— Niech i tak będzie... dodał trzeci — główna przecz, jak króla uprowadzić.

— Dniem nie ma co o tem myśleć, odezwałem się, nocą... tylko nocą. Wyjście z zamku jest niczem... ale co dalej ?....

— Tak, zawołał starszy wiekiem. Całą noc patrole chodzą... uniknąć ich prawie niepodobna, poznają...

— A rzeką? wrzuciłem pytanie. Zamilkli na chwilę.

Trzebaby się przekonać, czy brzegi są osadzone i czy pilna straż przy nich. W istocie, łódką możnaby się spuścić po za miasto a u brzegu nagotować powóz i z nim rzucić się, w lasy jużby może nie było trudno.

— Nie wiem, czy kto badał brzegi! rzekł ksiądz, trzebaby to uczynić natychmiast. Jutrzejszy dzień ledwie starczy, by się starać dobrej łodzi i pewnych wioślarzy, a dalej jak do jutra zwlekać — nie podobna. Kto z panów zna cokolwiek miejscowość?

Jeden z przytomnych wstał. — Pójdę, rzekł, ale sambym nie rad.

— Ja panu towarzyszę — odezwałem się.

— Powrócimy, jak tylko będzie z czem wrócić, dodał mój towarzysz.

Po ciemku z pomocą jego zesliśmy już innemi wschodami w podwórce zamkowe a z nich do ogrodu. Idący ze mną miał klucz od furtki. Wsłuchawszy się w milczenie i przekonawszy, że nam tu nic nie zagraża, poczęliśmy się spuszczać ku Wiśle. Zakrywały nas gęste krzaki, wśród których mój przewodnik umiał się z wielką znajomością miejsca kierować. Szliśmy tak zwolna, gdy doszły nas głosy od dołu — musieliśmy się zatrzymać. Towarzysz mój silnie pochwyił mnie za rękę, staliśmy jak wryci. Nie dalej jak o kroków kilkanaście od nas przechadzały się dwa cienie po nad samą, prawie rzeką. W lewo mogliśmy dostrzedz drugich dwóch, którzy nieruchomie stali.

Usłyszeliśmy naprzód stłumiony śmiech a potem wyraźną rozmowę.

— A co? panie Kasprze? dobry spacer nocny nad Wisłą? ha! nie wolałbyś w pierzynie leżeć.. chrapać.

— Pewnie, że wolałbym, ale służba służbą, a mamy na sercu, aby się nam nie wyrwał.

— A gdzieby uciekł?

— Do przyjaciół Moskali! Wierz pan — gdyby go byli nie strzegli, nie grozili, nie prosili i nie dali do zrozumienia, aby spacerów przestał — jużby go nie było...

— Baba z wozu kołom lżej...

— Nie można pozwolić na to...

— Tedy tylko do Wisły... jużby go lada rybak przewiózł...

Rozmowa się urwała... Nawoływały się strażę zdala po cichu, lecz oczywista było rzeczą, iż o wykradzeniu się czołnem myśleć już nie mogliśmy. Wyprawa nasza była skończona. Powróciliśmy z niej po cichu prędzej, niżeli się nas spodziewano.

— Nad Wisłą gęste strażę wskroś — rzekł mój towarzysz, nie ma co i myśleć.

Ponure milczenie trwało chwilę.

— A zatem, rzekł duchowny, rady już innej nie widzę, wieczorem się trzeba przekraść do kamienicy około kolegiaty. Tam przygotowujemy suknie duchowne... najlepiejby ubiór bernardyński lub kapucyna, chłopiec przodem będzie dzwonił, jakby szedł ksiądz z Panem Bogiem.. To

najbezpieczniej, nikt z ludu nie zaczepi a zakapturzonej twarzy nie dopatrzą.

Drudzy milczeli — nie było przeciwności, spytano mnie — odezwałem się, że może to być dobrem, ale nie daleko, a zawczasu konie obmyślić należy, aby dopadłszy ich dalej uciekać.

Jeszcześmy tak rozmawiali, gdy po wschodach usłyszeliśmy bieg szybki i jeden z pozostałych paziów królewskich wpadł pomięszany niezmiernie... Ksiądz wstał z siedzenia i natychmiast się z nim udał... Stało się coś widocznie niespodzianego i nieszczęśliwego... Ilu nas tam było, czekaliśmy w milczeniu, co nam rozkażą... i co czynić mamy dalej...

Nie upłynęło pół godziny, ksiądz wszedł blady, staniając się i padł na sofę... zakrywając oczy...

— Wszyscyśmy tu przyjaciele króla i słudzy jego, zawołał — tajemnic mieć nie możemy... Wracam od N. Pana... nieszczęście wielkie... Wojewoda w tej chwili daje znać, iż przejęto list księcia prymasa... list, który go najokropniej w oczach rewolucyi obwinia... Dla tego zgraja ta przed pałacem prymasowskim wznieść się ośmieliła szubienicę... Dano królowi znać... prymasowi grożą sądem i śmiercią haniebną; Kossakowskiego i Massalskiego... prymasa ratować potrzeba... prymasa... jutro być może za późno... List jest powstrzymany, ale zniszczonym być nie może. Odwleczono rozpieczętowanie... Prymasa ratować trzeba... a tu z nas żaden nie może. nawet wyniść z zamku i zbliżyć się do pałacu prymasowskiego, ażeby poznanym nie był... Spojrzał na mnie — wstałem...

— Jeżeli potrzeba, pójdę, rzekłem...

— Chodź — zawołał ksiądz — chodź ze mną do króla...

Spuściliśmy się znowu wschódkami, kurytarzami, na palcach stąpając aż do drzwi gabinetu, w którym płacz słychać było...

Wszyscy byli tak przerażeni, poruszeni, wylękli, że nikt się nie zdziwił, gdy mnie nieznanego wpuszczono do gabinetu... Król ze złożonemi jak do modlitwy rękami klęczał przed krucyfiksem stojącym na stole, ale modlić się nie mógł, oczy miał suche.. wargi blade... Na kanapie obok hetmanowa Branicka płakała zachodząc się od szlochania, obok niej pani Zamoyska osłupiała, martwa z rękami załamane wydawała się obumarła. Na ziemi córka jej pani Mniszchowa jak padła znać, tak głowę położywszy na kolanach matki, pozostała nie mogąc się już poruszyć... We drzwiach stał blady a przy ciemnych swych włosach białym się wydający jak śnieg książe Józef ze skrzyżowanemi na piersiach rękami...

Gdym wszedł, król się nie odwrócił... nikt nie spojrzał; ksiądz, który mi towarzyszył, trącił nieco klęczącego, który drgnął cały i spojrzał na nas.

— Ten pójdzie — rzekł ksiądz...

Król wstał opamiętywając się powoli. W rękę ścisnął już gotowy znać papier i małe pudełeczko.. Ręka ta drżała mu febrycznymi ruchy miotana.

— Na honor i na Boga zaklinam Waćpana, idź, staraj się niedostrzeżony przecisnąć. Kamerdynerowi lub kapelanowi powiedz — odemnie ! Do rąk, do własnych, rąk oddaj prymasowi i — wróć, jeżeli możesz...

To mówiąc, wciskał mi opieczętowany papier i pudełeczko.

— Na Boga, wziąć się nie daj — trzęść się nie daj — ostrożności — roztropności... będę ci wdzięcznym. Może kiedy przyjdą czasy, jeśli dożyjemy - gdy ci potrafię wypłacić dług za tę przysługę. Wyświadczysz mi wielką.., Idź — powracaj! Król pocałował mnie w głowę i odepchnął. — W tejże chwili hetmanowa płakać zaczęła głośniejsz jeszcze... łkanie pani Mniszchowej wtórowało jej, książe Józef zniknął ze drzwi. Mnie otwarto gabinet i znalazłem się z Ryxem w przedpokoju. Nigdybym sam był nie trafił do bramy... Tu w głębi dostrzegłem już gwardya miejską, ale mieszczanie tegoż rana widzieli mnie z Kilińskim, nie miałem obawy, aby zatrzymać mnie chcieli...

Szedłem śmiało. Jeden z mieszczan zawołał — Stój! Podprowadzono mnie pod palącą się o kilka kroków latarnią. Zacząłem się śmiać. Straż poznała mnie, bo stolarza Dąbskiego osobiście dobrze znałem i z rana będąc rozmawiałem z nim. — A cóż tu porucznik robi po nocy? — zapytał. Poklepałem go po ramieniu. — Nie powinniście mnie badać, posłany byłem zobaczyć, co się u was dzieje, ale widzę, że wszystko w porządku i że nie śpicie. — A już o to bądźcie spokojni, odezwał się Dąbski, myś się tu nie wyśliźnie. Pozdrowiwszy ich znalazłem się na placu i odetchnąłem. Z okna ktoś znać pilnował mojego wyjścia, bom słyszał, jak się z cicha potem zamknęło. Spiesznym krokiem zmierzałem ku prymasowskiemu pałacowi. Ulice były zupełnie spokojne i przedstawiały widok codzienny — bramy domów pozamykane, szynki także. Rzadko gdzie się w wyższych piętrach świeciło. Zbliżałem się już ku ciemnemu także pałacowi prymasowskiemu, gdy spotkałem jakąś kupkę ludzi. Szeptali cicho, nie zdawali się zważać na mnie.

W dziedzińcu nie było żywego ducha, drzwi patacu szczelnie pozamykane, z za krat w jednym tylko oknie słabe błyszcząco świeciło. Oglądając się do koła bacznie, zapukałem zwolna i ostrożnie. Nie za-raz mnie posłyszano. Szyba okna otworzyła się i głowa pokazała.

— Od króla! — pilno! rzuciłem w nią, cicho.

Drzwi najbliższe otwarły się natychmiast. W kurytarzu stał ksiądz, był to kapelan prymasa. Zdawał się chcieć przejąć poselstwo, — odezwałem się, że to, co mam, tylko do rąk własnych oddać mogę.

Szliśmy więc razem.

W pokojach było ciemno. Szereg długi sal, przyozdobiony w obrazy, krzyże, godła, pusty, owiany jakimś chłodem murów zamkniętych przechodzić musieliśmy po rozesłanych dywanach, aż do gabinetu przy sypialni prymasa.

Kapelan zapukał i sam wszedł naprzód. Po krótkiej chwili wpuścił mnie i drzwi zamknął.

Księżę prymas, majestatyczna, piękna, arystokratyczna postać z bladą twarzą, rysów czystych i uspokojonych, siedział w ogromnym krześle z książką na kolanach.

Miał na sobie tylko szeroką jedwabną suknię kapłańską, czarną z guziczkami purpurowymi. Zrzuciona znać co tylko komża koronkowa i piuska purpurowa leżały obok na stoliku... Wzrok łagodny, pański, protekcyjny, arcykapłański zwrócił ku mnie i jał się we mnie wpatrywać. Zdziwiło go to znać, że nieznajomy człowiek przychodził w tej godzinie w poufnym od króla poselstwie. Długo i ja na słowo zebrać się nie mogłem, ałem w rękę trzymał papier i pudełko.

Prymas z twarzy mojej zwolna oczy zwrócił na papier i rękę ku mnie nic nie mówiąc wyciągnął.. Schyliłem się i całując ją, odezwałem się cicho, iż mi zlecono złożyć do rąk Jego Ekscelencyi i przynieść odpowiedź.

Lecz prymas nie zdawał się słuchać mojej mowy, przysunął świecę stojącą na stole, rozerwał kopertę i zaczął czytać... Książka, którą miał na kolanach, zsunęła się na posadzkę. Pospieszyłem ją podnieść a mimowolnie rzuciwszy wzrokiem poznałem Tomasza a Kempis...

Gdym składając ją na stole zwrócił oczy znowu na czytającego, postrzegłem w jego twarzy zmianę tak przerażającą, że stanąłem osłupiony nią. Oblicze to spokojne, pełne wyrazu, siły i rezygnacji — przeistoczyło się pod wrażeniem kilkunastu przeczytanych wyrazów. Nie marmurowa ale trupia bladość przyoblekła twarz, oczy zbladły, wargi zbieleły... ręka, którą papier trzymał, trzęsła się. Zdawał się zapominać, że stał przed nim...

Z rąk wypadł list na stół, prymas począł szukać oddanego mu pudełeczka i położył je machinalnie na stole... potem zamyślił się...

Stałem, będąc w jak najprzykrzejszym położeniu człowieka, co podsłuchuje mimowolnie — a uciec nie może.

Prymas nie domyślał się znać bytności mojej, zapomniał o mnie... tak silne było wrażenie... Głowa

opadła mu na piersi, westchnął i załamał ręce...

Dopiero w tej chwili błędny wzrok jego postrzegł mnie... zatrzymał się na mnie... stęzał na moment... i prymas odezwał się głosem słabym...

— Idź! ;

— Co mam powiedzieć królowi?

Nie było odpowiedzi długo... potarł dłonią po czole, jak gdyby chciał myśli wywołać wstrzymane w biegu.

— Powiedz mu... Niech Bóg go błogosławi... Skinął ręką... Skłoniłem się i miałem wyjść — gdy mnie słabym przywołał głosem...

— Trzeba ci znaku... że spełniłeś, co ci polecono... Tak...

Obejrzał się do koła.

Dalej trochę na stoliku leżała mała ze srebrnymi klamrami książeczka... Zakładka w niej ze szkaplerzem tkwiła... był to nowy testament... Prymas wyjął z książki znak, poszukał miejsca, które zamierzał naznaczyć, wsunął zakładkę, spiął klamrę i podał mi ją milcząco.

— Tak ją oddasz królowi...

Obejrzał się niespokojny...

Piękny różaniec z agatów leżał na stole... wziął go spieszenie...

— Zachowaj to na pamiątkę... z błogosławieństwem...

Ręką mi krzyż zrobił nad czołem, przykląknął całując ja... zimna była jak lód...

Kapelan stał w progu i widzenie to znikło, szliśmy znowu szeregiem pustych sal... aż do sieni...

Powróciłem do zamku pustymi ulicami wśród ciszy nad porankiem, ze smutkiem jakimś w duszy — nikt mnie nie wstrzymał, nikt nie zapytał, straż chodziła drzemiąc, w przedpokoju króla na krzesłach siedząc służba spała... cisza panowała w gabinecie. Ryx przy drzwiach czuwał jeden i nie pytając o pozwolenie otworzył mi gabinet. Króla zastałem samego... z książką w ręku. — Pobieźnie rzuciwszy okiem na nią, zobaczyłem żywoty Plutarcha...

Spokojniejszą już miał twarz...

Wręczyłem książkę oddaną mi przez ks. prymasa, ośmielając się zwrócić uwagę N. Pana, iż zakładka była świeżo włożoną... jakby oznaczała odpowiedź; król skłonił tylko głową i pożegnał mnie, znać nie życząc sobie, abym był świadkiem uczuć, jakie nim owładły. Przyznaję się chętnie do tego grzechu ciekawości, że niosąc biblię zatrzymał się pod latarnią i spojrzał na to miejsce, które zakładka wskazywała. — Nie znalazłem w niej nic nad okrzyk tłumu, który wołał, by Chrystusa ukrzyżowano, ale na zakładce samej znać dawniej napisał prymas z prorocstw Jeremiaszowych, z rozdziału piątego, ten ustęp, który dziwnie przypadał do dnia tego:

"Słuchaj, ludu głupi, który nie masz serca... wy, co macie oczy a nie widzicie, i uszy a nie słuchacie..." i t. d....

Niestety, lud ten nie zasługiwał na nazwisko owo, ale na imię najniezwyklejszego z narodów! Chciał on dobra i pragnął mądrości, — nie dano mu jej a nękanie; cóż dziwnego, że szalem płonął i targał się w tych boleściach...

Spełniwszy moje posłannictwo, nie wiedziałem, co mam czynić z sobą, nie chciałem odejść, dopóki bym nie miał na to pozwolenia. W sąsiednim pokoju siedział ksiądz, który był z nami na górze; postrzegłszy go, poszedłem spytać, co mam czynić... Smutny wzrok podniósł ku mnie.

— Na teraz nie mamy do czynienia nic — rzekł cicho — rozchwiało się wszystko... niepodobieństwem jest ucieczka... Zdaje mi się, że na dziś nie pozostało nic — prócz, żebyś pan sobie tu czy, gdzie mu dogodniej, spoczął.

. — Mam o tem donieść panu wojewodzie? zapytałem...

— Zapewne — rzekł wahając się nieco... trzeba, ażeby wiedział, że usiłowania są daremne. Musimy się starać inaczej niebezpieczeństwo odwrócić.

— Gdybym był potrzebnym? — zapytałem jeszcze odchodzących.

— Damy panu znać przez wojewodę... Najpotrzebniejsza rzecz wszakże — szepnął mi, abyś miał oko na usposobienie ludu i na tych, co go podburzają... a w razie, gdyby się na zamek i króla odgrażano... mógł dać znać wcześniej...

Z tem odszedłem już nad rankiem i nie sądząc, żebym do wojewody mógł się dostać o tej porze, powróciłem do domu. — Znużenie, zniechęcenie, niesmak jakiś mnie dręczył... chciałem się wyrwać z tego chaosu miejskiego na plac boju... Bijąc się z myślami, usnąłem gorączkowo...

Znużenie moje było tak wielkie, że się nie obudziłem aż z południa. Stukano do drzwi moich... zerwałem się, jak stałem, bom ubrany spał, i otworzywszy zobaczyłem przed sobą samego pana wojewodę, który pot ocierał z czoła, wdrapawszy się po ciemnych i niewygodnych Wschódkach na górę.

Spojrzałem na zegarek i przeląknęłem się, że tak było późno, począłem się tłumaczyć...

— Daj pokój, rzekł mi, nic nie winieneś, zrobiłeś wczoraj, coś mógł, — byłem u króla... wiem wszystko...

Spuścił głowę i sparł ją na lasce — puściły mu się łzy z oczów.

— Nie ma już nic więcej do zrobienia... króla ocalimy, tam ten już sam się pono od wszelkiego niebezpieczeństwa wybawił...

— Kto ? zawołałem zdziwiony.

— Księżę prymas...

— Jak to? uszedł? — krzyknąłem.

— Nie — umarł... — rzekł Niesiołowski spokojnie.

Nie mogło mi się w głowie młodej pomieścić, by człowiek, którego widziałem wczoraj w pełni sił i zdrowia... dziś miał już nie żyć. Stałem niemy.

— To być nie może, panie wojewodo, zawołałem — ja wczoraj w nocy byłem u niego, mówiłem z nim, oto jest różaniec, który od niego otrzymałem z błogosławieństwem, był zupełnie zdrów... przytomny...

— Pójdź do pałacu prymasowskiego, na dole zobaczysz go już na katafalku... odparł wojewoda. — Nie masz już na zamku nic do czynienia — co myślisz...

— Wracam do wojska! — zawołałem żywo — w mieście wyżyćbym nie mógł dłużej, tu mi duszno, ciasno i ani wiem, z kim trzymać, ani co mi sumienie czynić każe... w pole! w pole! z szablą, na koniu... będę szczęśliwy.

Pocałowałem rękę wojewody.

— Masz słuszość — rzekł — tam lepiej i zdrowiej, tu — tylko skazani na to, by rządili tem, co sobą rozrzedzać nigdy nie daje — męczyć się musza...

Westchnął stary.

— Ciężkich dożyliśmy czasów — dodał — chwili swobody — jednej chwili... jednego błysku, po którym lękam się ciemniejszej nocy niż kiedykolwiek... Stary jestem, źle widzę może, ale trwoga mnie ogarnia... Powstania idą bezsilnie i powoli... Kurlandya wprawdzie podniosła się, ale straciliśmy Kraków, Austria występuje przeciwko nam... Prusacy lada dzień obiegą Warszawę.

Nie dokończył prorok, popatrzył na mnie, uderzył po ramieniu. — Jesteś wolny, rzekł, przyszedłem ci to oznajmić, bo nie uszło to mojej uwagi wczoraj, żeś do pokątnych robót nie bardzo się brał z ochotą... Wracajże do wojska, ale nim się zaciągniesz i wyciągniesz... przyjdź do mnie.

Odprawiając wojewodę, przebrawszy się trochę, zszedłem na dół i trafiłem na opowiadanie

szambelana, które mnie w osłupienie wprawilo...

Szambuś opisywał właśnie, jak list prymasa do Prusaków przejęto, jak odgrażano się szubienicą i że ks. Kołłątaj posłał królowi oznajmić i przestrzedz go, że ludu nie powstrzyma, aby więc prymasowi radził... Wedle powieści ulicznej Kołłątaj nawet posłać miał truciznę dla uniknięcia hańby... Mówili drudzy, iż król w nocy przesłał bratu ostrzeżenie i proszek, że prymas słysząc lud warczący w ulicy... zażył z tabakierki owego usypiającego na wieki specyfiku i wkrótce potem usnąwszy życie zakończył...

Słuchając nie śmiałem się naturalnie z niczem odzywać, ale mi na myśli był list i pudełko, które nosilem...

Sądy o zmarłym bardzo były różne — mogę to dziś ostygłszy powiedzieć, nie bardzo sprawiedliwe. — Prymas był wprawdzie zwolennikiem przymierza z Rosją i zawsze do niego nakłaniał, lecz czynił to z przekonania głębokiego i ze sposobu zapatrywania się na sprawy krajowe. — Nie był nigdy płatnym i nie poniżył się niczem upadającym. Był pewnie najrozumniejszym, najenergiczniejszym z całej rodziny... ale chłodny, poważny, zimny, nie lękający się mówić prawdy, popularnym nie był. Rzucono nań plamę chciwości po uwięzieniu Sołtyka, choć się administracyi i funduszów biskupstwa krakowskiego wyrzekł... nie policzono mu zasług jego w Komisyi edukacyjnej, które były wielkie... Oprócz, rodziny własnej przyjaciół miał mało a nieszczęśliwym był w ich wyborze... jak z Tyzenhausem... na którego upadek patrzeć musiał, ratować go nie mogąc.

Wysłuchałem uwag złośliwych szambusia i pod wieczór już wyszedłem na miasto. Chciałem własnymi oczyma widzieć zwłoki tego, któremu wczoraj jeszcze oglądał żywym... i otrzymał od niego błogosławieństwo...

Cała ulica Senatorska ludu tłoczącego się była pełna, dziedziniec nabity, do pałacu przecież się docisnąć nie było podobna...

Mieszczanie, czeladź, tłum kupami stał i śmiał się — wykrzyki ich serce mi ścisnęły — wszyscy niemal nieboszczyka mianowali zdrajcy i śmierć jego przypisywali obawie kary... Ponieważ chodziły też pogłoski, że prymas uszedł, że się krył w podziemnych lochach pod pałacem, chcieli wszyscy koniecznie widzieć zmarłego, aby się przekonać, że w istocie on a nie kto inny na katafalku spoczywał... Wielu nie dowierzało śmierci, zowiąc ją komedią.

Słuchając tych niedorzecznych przypuszczeń i żartów, zawsze w obec majestatu śmierci rażących, milcząc poczałem się i ja dobijać do pokoju na dole, w którym prymas od kilku godzin spoczywał... Przyszło mi to z nadzwyczajną trudnością i dzięki tylko mundurowi, który wziętem, potrafiłem wniknąć do pałacu...

W lewo od drzwi izba obszerna cała była sukmem czarnem obita... Na niej wysoko podniesione spoczywały zwłoki ubranego pontyfikalnie arcykapłana... z zasłonią zieloną kitajką twarzą.

Właśnie ta okoliczność pono była powodem, że jedni nie dowierzali, aby to istotnie miał być prymas, a drudzy przypuszczali, że twarz od trucizny musiała być zmienioną i dla tego ją przysłonić musiano... Ogromne świeczniki srebrne otaczały katafalk a kilku duchownych nieustannie śpiewało wigilie... Tłum przepływał do koła katafalku rozciekawiony więcej niż pobożny, rozgorączkowany raczej niż współczuciem ujęty... Szeptano i uśmiechano się...

U drzwi już, gdym napowrót chciałem wyniknąć — spotkałem niespodzianie Jutę.. której matka towarzyszyła... Spozregły mnie obie. Juta się uśmiechnęła, Wawerska pozdrowiła mnie, stanąłem jak wryty. Za niemi szedł, rękami dla nich torując drogę młody chłopak dosyć przystojny, rysów pospolitych, rad widocznie z siebie, w którym domyśliłem się narzeczonego... Ubrany był, jak się naówczas nosili dostatniejsi rzemieślnicy i mieszczenie, w czamarce polskiej... i nie źle wcale wyglądał... Wzrok mój, który się na nim zatrzymał ciekawie, na twarz Juty wywołał rumieniec a

potem bladeść i pomięszanie.

Gdyby były same, możebym im ośmielił się w tej ciżbie do progu domu towarzyszyć — ale mnie teraz nie potrzebowały.... Popatrzysz więc zdala na biedne dziewczę... wysunąłem się w podwórze pałacowe.

Cale niespodzianie zastąpił mi tu" drogę niesmaczny ów, u Mańkiewiczów poznany, podejrzany dla mnie wielce pan Drogomirski, który bez ceremonii pod rękę mnie ujął.

— Kochanego porucznika — zawołał — tak dawno niewidzianego! ale co za dziw... Pan bo czasu nie traci.

Pytająco spojrziałem na niego...

— Myślisz pan, że my... to jest ja — ja, że ja o niczem nie wiem! cha! cha! rzekł spiesznie — ale o każdym krocisku jego... Bardzo mi was żal, że się z tą ładną mieszczańeczką nie udało... dodał...

— Z jaka? — przerwałem mu oburzony...

— Ale po cóż bo przedemną, przyjacielem ich. rodziny, te sekreta?... Jutta ładna i dobrze wychowana i kamieniczka i bodaj kapitalik... Dla was szlachty to może razem wszystko nie wiele znaczy... a no... nie zły zawsze kąsek... Tymczasem ci go, panie poruczniku... prosty rymarz z przed nosa bierze...

Zacząłem mu się wypierać, śmiał się.

— I to wiedziałem, rzekł — i inne rzeczy wiem... Pan jesteś krewnym wojewody Niesiołowskiego?

Zdumiałem się bardzo. — Więc cóż? spytałem chłodno,.

— Ano, nic — wojewoda patryota dobry, — ale zawsze to patrycyusz...

A wiesz pan co, panie poruczniku, rzekł cicho ciągle mnie prowadząc z sobą, chociaż nie wiedziałem sam, dokąd szedłem — czasy patrycyuszów i ich panowanie minęły! Darmoby chcieć przywrócić, co się przeżyło... Światło przeniknęło między lud... mieszczań, nawet chłopów, poznali się ludzie, że są równi i że tylko tyle jeden od drugiego lepszy, o ile więcej wie i umie... nie wrócą więc już wasze szlacheckie wieki.

Mogły one się utrzymać póty tylko, pókiście szkoły zamykali dla nas i dla ludu a skazywali nas na ciemnotę i głupotę. Nie rychło my się douczym, ile trzeba, dużo bąków nastrzelamy jako samouczki i studenty, lecz koniec końców... gdy raz promyk padł na głowy, gdy tajemnica siły odkryta... jest to tylko kwestya czasu.

Nie dobrze rozumiałem Drogomirskiego, alem go ciekawie słuchał.

— Byłeś kiedy w naszym klubie? zapytał. Zastyszałem był wprawdzie coś o tym na wzór paryzkich założonym w Warszawie klubie, który pospolicie lud klopem nazywał — alem go nigdy ciekawym nie był. Mówiono nam, że tam jawnie i z cicha ks. Majer przewodził... Przypisywano nawet klubistom czerwcowe owo zaburzenie, które wywołało gniew w Kościuszcze i przeraziło ludzi spokojnych...

— Nie byłeś w kłopie? podchwycił usłyszawszy przeczącą odpowiedź moja Drogomirski — a toś może ciekawy?

Zawahałem się.

— Gotówem zaprowadzić, jeżeli chcecie? uśmiechając się mówił mój przewodnik — jest to zapewne kolebka tylko, w której więcej słyhać dziecinnego krzyku niż rozsądnej mowy... ależ to signatemporis... Chodź!

Jeszcze się ociągał, śmiejąc się wziął mnie pod rękę Drogomirski.

— Nie zjedzą cię — rzekł, a teraz po wzięciu Konopki, Piotrowskiego, Debowskiego... nie takie już z nich zuchy jak bywało... Warto posłuchać... Wstąpić! Klub, do którego mnie prowadził ciekawy

ów człowiek... znajdował się przy ulicy Wierzbowej.

Weszliśmy przez bramę ciemną w dziedziniec domu, na którego tyłach duża sala na dole z przedsionkiem była zwykłym miejscem zgromadzeń najzagorzalszych rewolucjonistów.

Kilka oliwnych lampek kopających przy ścianach słabo ją oświecało... Przy zastawionych po bokach stołach... pili siedząc niektórzy piwo i wino...

W głębi na ścianie między dwoma lampami dostrzegłem namalowanego orła, nad którym zamiast ko-rony była frygijjska czapka wolności a do koła napis — "Wolność, równość, niepodległość. "

Mały portrecik Kościuszki, jakich naówczas tysiące się rozchodziło, wyobrażający go z szablą w dłoni, z napisem — "Pozwólcie mi jeszcze raz umrzeć za ojczyznę!" wisiał w ramach pod orłem.

Gdyśmy weszli, nikt nas nie spytał, nie wiem, czy kto spojrział nawet, tak żywa była rozmowa.. Dosłyszeliśmy naigrawania się z Bucholtza, pośła pruskiego, który był świeżo dostał paszport i zmuszono go pod konwojem wyruszyć z Warszawy, opieczętowawszy papiery jego i kancelaryą, którą, starannie wprzód zrewidowano..

Drudzy rozpowiadali o prymasie i jego nagłym zgonie, ręcąc, że zwłoki leżące na marach nie były jego a on sam umknął do Anglii. Inni zajmowali się królem, poprzysięgając, iż mu z miasta ruszyć się nie dadzą.

Z niezmiernem zdziwieniem usłyszałem tu mimo portretu Kościuszki, który na ścianie zawieszono, kwaśne jakieś o nim przekąsy.

Ktoś go nazwał szydersko Amerykaninem... inni się ujęli i zamknięto zaraz usta śmiałkowi, który próbował zniechęcać ku niemu...

Od dymu fajek i kopcenia lampek olejnych duszno było w tej izbie, która nie wyglądała wcale ponętnie. Postacie, które się tu błąkały, znane mi były z ulicy, nigdy ich jednak nie widział tak licznie zgromadzonych... kilka obcych twarzy i języków można było rozeznąć w tem zbiorowisku... Na uboczu, szeptało po dwóch i po trzech, oglądając się do koła. Słyszałem rozpytujących ciekawie o losy uwięzionych z powodu rozruchów czerwcowych. Nie tajono się z sympatyą dla nich...

— Już to bądźcie, obywatele, spokojni, rzekł jeden z przysłoniętą twarzą, że Kaziowi Konopce z głowy włos nie spadnie — a Dębowskiemu też nie wiele się stanie... ino Dolgierd, Dziekoński, Klonowski i Stawicki a może i więcej gardło dadzą.

— Albo dadzą lub nie — przerwał inny... lud nie powinien dopuścić, ażeby tych, co się dla niego poświęcili... spotkała taka hańba i...

— Cicho — zawołał inny... cicho...

— Naczelnik kazał karać surowo... wtrącił ktoś z boku...

Rozśmiał się z ławy podparty łokciami na stole mężczyzna barczysty.

— A choćby też i przypłacić przyszło — a kilku pociągnęli na szubienicę — zawołał ponuro — czyż to taka miła zabaweczka tego nie warta? Widzieliście, ichmość panowie obywatele, co się rzadko zdarza... dygnitarzy w koszulach, bez orderów, bez peruk i bez kapeluszków schnących sobie na wolnym powietrzu. Za każde widowisko trzeba płacić, tak i to...

A inaczej myślicie, że kraj będzie wolny? nigdy...

— I no dosyć tego gadania — wyrwał się drugi głos. — My nie mamy takiej drapieżnej natury, żebyśmy sobie lubowali w takich widowiskach. Jeszcze u nas Pan Bóg jest.

Podparty na stole łokciami rozśmiał się na głos szydersko. Drugi stuknął pięścią o stół.

— Imienia Boskiego mi tu nie wzywać nadaremno ani żadnych bluźnierstw... bo... za drzwiami.

— Prawcie bo o czym innym... wtrącił ktoś z boku, a to już się właśnie wezmą.... Co myślicie, jak Prusak przyjdzie.... Kiedy się dokazywało ze zdrajcami po ulicach, trzeba nam też popisać się i na okopach....

— A kto tego Prusaka tu sprowadził — przerwał barczysty, abo to nie królewska szajka i nie zdrajcy, co się o swoją skórę boją??

— Byłby on przyszedł i sam, przerwano z koku ;

— Choć to my niby trochę oczyścili i nastraszyli żółtobrzuchów — mówił nie zważając podparty — nie tak to łatwo z niemi i nie koniec jeszcze.

Z najlepszych naszych ludzi powoli łajdaków porobią.... Co myślicie! a no już pan pułkownik Kiliński inaczej śpiewa... albo Zakrzewski? toż to on piersiami własnymi Moszyńskiego obronił?? popsują nam i odbiorą tych, co z nami byli, zobaczycie... Myśmy ślepi i zbyt dobroduszni....

— Nie plótlbyś — odezwał się inny.

— Prawdę mówie — począł pierwszy, ale się przekonacie o tem zapóźno....

Za mało się zrobiło... hm! hm.

—. Chce ci się więcej ! rozśmiał się drugi, ruszaj z innymi do obozu... od 18u do 40u mulimy pono wszyscy.

— Ja mam 42 — zawołał barczysty, mnie się to nie tyczy.... Porządek w mieście robić to co innego, a na okopy... młodzież.

Na chwilę zapanowało milczenie jakieś przykre. Niejeden westchnął.

— Czy my uwolnimy tę nieszczęśliwą ojczyznę czy nie, a niejeden z nas głową nałoży, to pewna.

Starszyzna i panicze... będą nas pędzili w ogień, a sami komenderować z tyłu.

Tego rodzaju wykrzyknikami jakiś czas się zabawiano, gdy wszedł maleńki człeczek, którego zobaczywszy wszyscy wstawać i gromadzić się doń zaczęli.

Podawszy dłoń kilku bliższym — wstąpił na krzesło, cisza wielka i sykanie na mruczających w dali poprzedziły wykrzykniki:

— Co słyhać we Francyi? obywatelu! Co robi konwencya?

Sucherlawy ów jegomość odchrząknął.

— Sławnego patriotę i obywatela Robespiera o mało nie zabito — zawołał.... Barreze doniósł o tem konwencya na sesyi 26 maja. Kobieta, która się na to ważyć miała, zowie się Cecylia Renaud.... Wkrótce spotka ją zasłużona kara.

Z tego powodu Robespierre miał piękną mowę.

— Przeczytajcie ją! odezwało się kilka głosów — przeczytajcie.

Zbliżono świecę... mały człeczek czytać począł:

— Konwencya narodowa zgromadzona jest, że tak powiem, na wierzchołku góry ogień wyrzucającej. Na tem niebezpiecznem miejscu zatrudnia się ona z jednej strony oddawaniem Bogu czci, winnej mu od wielkiego narodu, z drugiej strony badając ugruntowaną na wolności, sprawiedliwości i cnocie Rzeczpospolitą, broni jej od napaści wielkiej części świata.

Czytał tak cała, dosyć długa mowę Robespiera, której słuchano w milczeniu, przerywając tylko niekiedy nieśmiało wykrzyknikami.

Gdy przyszedł ku końcowi do miejsca, w którym Robespierre się odzywa:

— Wielka masa ludu francuzkiego jest dobra, kocha sprawiedliwość i wolność, poświęca za nie wszystko. co być może najmilszego na ziemi. Mała tylko część ludu tego jest tak jak za czasów monarchii lekkomyślna, gadatliwa, próżnująca, panowania chciwa i intrygi knująca. Tę klasę oszustów i hypokrytów wytępić nam koniecznie należy.

mówca podniósł głos a przytomni poczęli klaskać i powtarzać: — Wytępić zdrajców i oszustów.

Czytał później jeszcze mowę Barrota a na ostatku historyjkę wdowy Delcamps, patriotki, której konwencya wyznaczyła 1200 liwrów pensyi za to, że w oczy lojalistom, kluta bagnietami, wołała: —

Niech żyje Rzeczpolita!

Umiejętny wybór nowin z Francji wielce zajął słuchaczy i odwrócił szczęśliwie uwagę ich od spraw domowych.

Dosyć długi czas trwające posiedzenie obiecywało jeszcze pociągnąć się dłużej, gdym pożegnał mego towarzysza, sądząc, że tu zechce pozostać, i zabierałem się odchodzić — nie puścił mnie wszakże.

Ciężył mi bardzo i radbym się go był pozbył, nie miałem sposobu. Wygadałem się, że idę do domu, Drogomirski przypomniał sobie, iż dawno Mańkiewiczów nie widział, i zabrał się razem. Zaczynała mnie niepokoić ta wielka serdeczność człowieka, ku któremu wstręt czułem jakiś. Mógł się nawet poznać na tem z milczenia mojego, że mi wcale nie był miłym, nie odbierało mu to jednakże humoru ani uprzejmości dla mnie.

Im jawniej przekonywałem się, że chciał mnie wybadać, tem mocniej zamykałem się w sobie. Sama ta myśl, iż mnie miał za żaka i dla tego na siadł się odemnie dostać języka, już mnie niecierpliwiła.

W milczeniu przyszliśmy do Mańkiewiczów, gdzie jeszcze historia prymasa była na stole. Drogomirski w najlepszym humorze powiedział zaraz, że mnie do klopu wodził. Dziadunio z ukosa na mnie spojrzał i namarszczył się.

— Nie poszedłem tam z dobrej woli, — rzekłem, winienem ciekawe widowisko mojemu przewodnikowi.

— I lepiej było wcale nie iść — mruknął Mańkiewicz, tam się, słyszę, ateusze sami zbierają, a my jeszcze do tej fiksacyi nie doszliśmy.

Zmilczałem... Oddawszy Drogomirskiego na pastwę Mańkiewiczowi, sam wysliznąłem się na górę.

Nie czekając dłużej, gdy mi ręka moja zupełnie już zablizniona do służby czynnej powrócić dozwalała, pierwszych dni lipca znalazłem się znowu między wojskowymi towarzyszami w obozie.

Po tem długiem a nieznośnem próżnowaniu i włóczędze ulicznej — zdało mi się, że do nieba dostał. Czułem się w swoim żywocie... Miasto mi było obrzydło a życie w niem codziennie stawało się przykrzejszem. Być może, iż i zawiedziona tak boleśnie miłość moja dla Juty przyczyniła się do tego obrzydzenia...

Mokronoski, Zajączek, Dąbrowski, którego podówczas Niemcem zwano, bo świeżo ze służby saskiej wyszedłszy w istocie lepiej mówił po niemiecku niż po polsku ale serce miał polskie i gorące, Adam Poniński, syn osławionego podskarbiego, (który już był rannym pod Szczekocinami i zmasał krwią plamę ojcowską) dowodzili wojskami mającemi bronić Warszawy.... Siły nasze były nie zbyt wielkie, znaczna część wojsk rozproszona, lecz dział nie brakło i rachowano też na gwardya mieszczańską Warszawy, duchem patryotycznym ożywioną.

Ukazanie się nieprzyjaciela w bliskości miasta poprawiło w niej ducha, odwróciło umysły od tego ustawicznego marzenia o zdradach — rozżarzyło patryotyzm we wszystkich...

Sypały się ofiary... klejnoty, złoto, bielizna, szarpie, ślubne obrączki, nie jedna ostatnia łyżka srebrna, konie, wozy, co kto miał, co kto mógł. Król nawet, ogołocony z dochodów, zrujnowany długami, słał resztki sreber do mennicy... Bogatsi ludzie, których o ostyłość posądzano, dawali najwięcej, aby się od zarzutu obronić, biedni nieśli grosz ze łzami...

W chwili, gdy do obozu odjeżdżał, urządzano milicyą miejską, cisnącą się ochotnie do szeregów, które nędznych dosyć okopów bronić miały. Dostało mi się szczęściem miejsce choć mało znaczące, lecz dla mnie zaszczytne, pod ręką samego naczelnego wodza. Uznano bowiem, że zgojona wprawdzie rana ale osłabiona dłoń do innej jak posiłkowej służby i kancelaryi czyniła mnie

niezdolnym.

Znalazłem Kościuszkę pod Mokotowem zajętego niezmordowanie obroną stolicy; a choć niedawno go w nielepszym może położeniu pod Kielcami spotkał raz pierwszy, wydał mi się teraz i smutniejszym daleko i jakby zestarzałym ze znużenia. Zbyt wielkie brzemie spadło na jego ramiona, a oprócz jawnych trosk były tam i takie, które w sobie kryć musiał... W obozie przebąkiwano, że zachodziły żywe spory z ks. Kołłątajem, które o mało Naczelnika nie zniechęciły do tego stopnia, iż gotów był władzę złożyć.

Przerażono się znać odpowiedzialności, jakąby na sprawców takiego nieszczęścia spaść mogła... i zgoda pozorna zatarła na czas ślady nieporozumienia... W wojsku też były różnice zdań wielkie i niechęci wzajemne...

Kościuszko, któremu miał szczęście towarzyszyć, bom był przez niego wysyłany często przez ogień kul i przez najniebezpieczniejsze stanowiska — pracował jak prosty żołnierz, ale zarazem jako doskonały wódz i inżynier, dla tego obrona Warszawy znakomicie została obmyślona i chlubę nam przyniosła...

Między Warszawą a obozem nieustanny był i serdeczny związek... Ochotnicy biegli, wyrrywając się od zatrudnień, czeladź, nedorostki... kobiety... Każdy chciał widzieć, słyszeć, skosztować tego ognia...

Nadeszła znowu chwila piękna i heroiczna, której bez bicia serca przypomnieć sobie niepodobna.

Lud warszawski, zapominając o zdrajcach, wrócił do ducha, jaki go ożywiał w kwietniu. Niepodobna sobie wystawić wesołości, ochoty, porywu tego, zapалу, jaki wszystkich unosił.

Byłem w mieście wypadkiem, gdy dnia 13 lipca z działu stojącego pod Zygmuntem na Krakowskim przedmieściu i na okopach strzelaniem dano znak do alarmu. Posypała się ludność z taką, ochota, do boju, z takim pośpiechem, weselem, jak na gody. Starszyzna ledwie ja mogła utrzymać, tak się to rwało wszystko, tak sypało na okopy. Ten różnobarwny tłum... między którym o czternastoletnich chłopców nie było trudno i o siwych weteranów... szedł jak na uroczystość.

Dnia tego Kościuszko objeżdżał właśnie okopy... i zdaje się, że ta zbierana drużyna więcej może go rozradowała niż nowy przyływ wojska regularnego. Na zapale całego narodu a szczególnie ludu najwięcej on polegał. Łzy mu się w oczach kręciły.

Mieszczanie patrząc nań, wykrzykiwali rzucając czapkami, bo choć go który nie znał, po otoczeniu i po sławnej sukmance poznawali.

Moje serce radowało się tem, że mój pułk Działyńskiego mężstwo, pod Gołkowem okazane, powszechnie wielbionem słyszał. Lipnicki tam cudów dokazywał. Jakżebym był chętnie poszedł pod komendę Zajączka, choć go tam mało lubiło a nikt pono nie kochał — byle do swoich powrócić. — Nie kazano, słuchać więc musiałem... Prawda, że choć ręki na temblaku nie nosiłem, alem nią dobrze jeszcze władać nie mogł.

Wiodło się pod Warszawą dość szczęśliwie, bo też baczość była wielka. Nie dano Prusakom w Zegrzu mostu postawić i przedrzeć się na Pragę.

Artylerya też nasza doskonale była ustawiona a o pruskiej tego powiedzieć nie można, bo nas od niej uszy mogły boleć i nic więcej. Kule padały bezsilne albo nas nie dochodziły.

Okolo naszego obozu pod Mokotowem utarczki były ciągle, lecz bardzo mało znaczące... Mieliśmy czas nawet zabawić się nieco i dać przybyłym z Warszawy ciekawe a podnoszące serca widowisko.

Kościuszko miał przy sobie batalion kosynierów krakowskich, który mu bardzo był miłym. Wiedząc o tem pani Zybergowa, wojewodzina brzesko-litewska, do której województwa należał Kościuszko, ofiarowała mu tu sztandary, które uroczyście poświęcono. Jedyne to były tego rodzaju a

bodaj pierwsze i ostatnie karmazynowe chorągwie, na których snop, pika i kosa i czapeczka krakowska, u nas frygijską zastępująca, ukazały się w ciągu tej wojny.

Popłakało się dużo, gdy je oddawano włościąom, już zaprawionym do boju. Tego samego dnia Denisów się pokazał, wyszedłszy z lasu naprzeciw obozu, ale go kulami przywitano i długo nie bawił.

Kościuszko jak był niezmiernie czynnym w obronie miasta, tak równie gorliwym o ukaranie winnych buntu i samowoli, bo mu szło o karność i utrzymanie porządku. Jak przewidywano więc, stało się, że padło kilku ofiarą, chociaż najwinniejsi ocaleli za staraniem swych protektorów. Mniej to jednak wszystko zwracało uwagę, bośmy wszyscy duszą i sercem byli w obronie stolicy. Dziwna rzecz ! Przy mniejszych siłach z wielu względów w mniej Szczęśliwym położeniu mając przeciwko sobie nie jednego ale dwóch nieprzyjaciół, szliśmy wesoło z jakąś dziwną ufnością w szczęście nasze, że się nam ich uda odpędzić.

Czujność była nadzwyczajna. Prusacy w niedzielę (28 lipca) rzucili się na Wolę i zbliżyli do obozu Kościuszki samego; zarazem piechota i jazda moskiewska się ukazała i posunęła aż do Czerwonej karczmy i wioski. Kościuszko i my byliśmy na koniach. — Posłał mnie Naczelnik, abym Dembowskiego strzelcom wyprzeć ich kazał. Ledwie dobiegłem do nich, Dembowski, Krzycki i armaty były w pogotowiu. Pędem rzuciliśmy się przeciw nieprzyjacielowi jakby na zabawkę... i spędziliśmy ich dosyć łatwo. We wtorek potem znowu podsunęli się, chcąc Czerwoną karczmę, która już do połowy była przez naszych spaloną, opanować, i znowuśmy w czas ich odegnali.

Z równem szczęściem udało się nam Prusaków wyforować ze Szczęśliwie, które opanowali w niedzielę i mieli już tam piechotę, strzelców i armaty. Wieczorem o dobrym mroku, pół do dziesiątej, podpułkownik Gawroński puścił z, rozkazu Kościuszki rozpalone kule dla zapalenia wioski i tak mu się powiodło, iż od pierwszej wieś była w ogniu.

Suche dosyć lato i drewniane kletki pożar uczyniły nagłym i niepowstrzymanym, lekki wiaterek go rozdmuchiwał. "Widzieliśmy ogromne zamieszanie, słyszeli krzyki i przekleństwa nagle ze spoczynku wieczornego pożarem zbudzonych żołnierzy. Chcieli gasić, aleśmy z dwóch bateryi prażyli ich tak, że ledwie swoje działa zaprzągłszy uciekać musieli.

Na ten popłoch strzelcy Dembowskiego przypadli i ostatek wynoszących się z gorejących chat wygnali.

Ogromna łuna tego pożaru, który nie rychło ustał, rozlała się po niebie i pięknie przyświecała tryumfowi naszemu. Naczelnik był jak rzadko wesół i szczęśliwy... a tem więcej uradowany, że tam już we wsi z włościąom dawno. nikogo nie było, bo się byli wynieśli wcześniej.

Zaalarmowane wojska króla JMci pruskiego, który osobą swą sam im dowodził, stały do późna pod bronią i w obozie ognie pogasiły — aby ich na cel nie wzięto..

Późno w nocy, gdy się to wszystko zakończyło szczęśliwie a oficerowie poczęli przybywać z raportami — Kościuszko, który miał sobie poprzysyłanych mnóstwo darów dla rozdania odznaczającym się wojskowym, kazał przynieść szkatułkę ze swojego namiotu i tu się rozpoczęło obdarowywanie na pamiątkę dnia tego.

Nie mieliśmy aniśmy chcieli mieć na ów czas orderów, po republikańsku dzielił Kościuszko mężnych tem, co mu patrioci przysłali... I tak Boczankiewicz kapitan dostał pierścionek z brylantami, który ofiarowała p. Zybergowa, major Golejewski - zegarek złoty, Osowski major tabakierkę złotą, major Krasicki, mężny żołnierz, pierścień też brylantowy, — Dembiński z perłami, Dembowski, Kołłątaj, ja i inni obrączki i zegarki.

Prusaków rannych sto wozów zawieziono tej nocy do Sochaczewa... myśmy oka nie zmrużyli do rana i Kościuszko się też nie myślał kłaść... Ledwie łuna pożaru pobladła, różowiec zaczęło niebo na

wschodzie i wesoło gotowaliśmy kawę przy połamanym płocie starym. W obozie panował taki zapal i dobra myśl, jak gdybyśmy już wroga za granice wyparli...

W parę dni potem król pruski myśląc, że piórem więcej dokaże niż armatami, przysłał trębacza z listem namawiającym do poddania się.

Rzeczą jest nie wątpliwą, że dzielnej obronie i dobremu rozporządzeniu winniśmy byli dotychczasowe szczęście nasze; trzeba tu jednak dodać to, co nam później jawnem się stało, że Moskale mieli rozkaz nie zbyt rażnego dopomagania Niemcom do zdobycia miasta, którego by już im z rąk wydrzeć później nie było można.

Warszawa dniem i nocą czuwała przysłuchując się, patrząc, odgadując, co się z nami dzieje. Latały posłance, przybiegali ochotnicy, szły wozy z zapasami, a z pruskiemi kulami tak się ludzie oswoili, że trzaskowi ich przyklaskiwano tylko.

Zaprawdę, dni to były wesołe, jak nie pamiętam, a może mi one tylko takimi się wydały po ciężkich poprzedzających je warszawskich dniach ulicznych burz i wrzawy.

Zajątek następnych dni zapalił im Wolę, począwszy od stodoły, którą kula porucznika Wrońskiego zażęgła, Dąbrowski opanował Augustów (pod Wilanowem) i wysepkę Zawadzką, zdobywszy żywność i trochę amunicji... słowem, Prusakom się jakoś wcale nie szczęściło...

Trudno mi jest dać wam pojęcie naszego a szczególniej mego życia w tych dniach, którebym mógł najszczęśliwszemi nazwać, gdybym na sercu nie miał bólu i tęsknoty po Jucie... Byłem ciągle czynnym, w szarmyclach na forpocztach ucierałem się nieraz, gdy nic pilniejszego nie było do roboty; zresztą na koniu ciągle, wożąc rozkazy między Zajączkiem, Mokronoskim, Naczelnikiem, Dąbrowskim i Warszawą życie pędziłem, patrząc się, jak wszystko zdrowym naówczas, pięknym patryotyzmem gorzało. Nie było ofiary, od którejby się ktokolwiek wymawiał... I Kościuszki też nie widziałem nigdy bardziej ożywionym a lepszej myśli niż teraz. Strzały pruskie nie dokuczały nam wcale, głużyły tylko; jednego domu nie zapalili nam a ludzi strata była prawie nieznaczna...

Odpieraliśmy niemal każde ich pokuszenie się i dział nigdy nie dali ustawić, gdzie chcieli.

Ale były i chmurki - na tem pięknem niebie nadziei pełnem.. Nie zbyt był Naczelnik rad zaprowadzeniu asygnat, które naówczas puszczono w obieg mimo jego woli; nie koniecznie trafnem znajdował zapowiedziane zabieranie dzwonów i sreber kościelnych, przeciwu któremu wielu sarkało, — bo dobrowolnych ofiar dość było a lud nasz pobożny źle to rozumiał...

Jeszcze gorzej z rozkazu tych, którzy dworowi i królowi byli przeciwni — postąpiono sobie zacząwszy drukować w Gazecie wolnej papiery, które znaleziono u Igelstroma, i kwity osób, które od niego płatne - były. Kołłątaj nie lubiący Poniatowskiego i srogi mając żal do niego jeszcze od Targowicy, poddmuchnął wydanie tych rachunków, w których i królewskich sześć tysięcy dukatów umieszczone było...

Zerwała się tedy sroga burza na zamku, że w ten sposób jątrzone lud przeciw Poniatowskiemu, wskazując go jako zdrajcę. '.. Lament podniesiono okrutny, przeleciał książe Józef do Naczelnika z wymówkami i żalem.. A że Kościuszko w chłodnych był naówczas już stosunkach z ks. Kołłątajem, wyprawiono mnie z biletem do Zakrzewskiego, aby ogłaszanie tych brudów nie w porę powstrzymał... Król listem do Gazety wystosowanym się tłumaczył

Pamiętny mi jest ten dzień i tem, że już powracając od prezydenta napotkał w mieście Jutę...

Prowadziłem konia w rękę i szedłem zwolna Krakowskiem przedmieściem, wcale się nie spodziewając jej widzieć a myśląc mimowolnie o niej, gdym usłyszał nazwisko moje, które mnie jakby ze snu przebudziło. Podniosłem oczy i spostrzegłem ją stojącą naprzeciw samą jedną a tak bladą i zmienioną, że się przeląkł... Pospieszyłem ku niej co prędzej;

— Anim się o was, panie poruczniku, dowiedzieć mogła, rzekła mi, ani was nigdzie spotkać. Cóż

to za szczęśliwy dzień! Chodziłam do kościoła, Bóg mi dał was zobaczyć...

Uśmiechnęła się smutnie" spojrzałem jej w oczy.

— Cóż mi pani tak blado wyglądasz? Zarumieniła się natychmiast.

— Ale nie, rzekła — może ze wzruszenia, gdym mojego towarzysza broni postrzegła... pobladłem trochę... Zresztą... trudno w taki niespokojny czas bardzo być szczęśliwa...

— Nam się dotąd dobrze wiedzie i w Bogu nadzieja, że Niemców odegnamy!

A! gdybym wam mógł opowiedzieć, jak się ucieramy z nimi, jak nam dni błyskawicami płyną szybko.. jaka w obozie ochota i wesele.... Znowu spojrzała na mnie.

— Czuję to, że możecie być szczęśliwi — ale wystawcież sobie życie nasze, moję... dodała żywo... Siedzę w oknie i słucham.. i słyszę, bija działa z daleka jak gromy... grzmi dzień cały, nocą luny się pala... my nie wiemy nic... albo dostajemy baśnie...

Czasem się porwę i chcę lecieć i pomyśle, smutnie — jam kobieta, mnie nie wolno, a po cóżbym się tam zdała... Serce się rwie, oczy płaczą...

— Cóż w domu? zapytałem, chcąc odwrócić rozmowę.

— No — i w domu — matka mi chora... jakoś jej nie jest dobrze.... Biedna nie wstaje z łóżka, • biegałam po doktora. Trudno się którego doprosić, lazarety pełne, a żołnierz pierwszy, bo on służy ojczyźnie, my tylko za nią wzdychamy. Gorzej codzien biednej matce. — Zniżyła głos i spuściła oczy. A że źle się ma i trwoży, więc nagli... nagli jak może.

Nie potrzebowała mi mówić więcej, odgadłem łatwo, o co ją przynaglała — musiałem zamilczeć.

— Dla czego ja, niewdzięczne dziecko, odkładam? mówiła ciągle cicho — prawda? należałoby matkę uspokoić... ale gdy pomyślę o przysiędze u ołtarza, o związaniu się na wieki, o człowieku tym, dobrym pewnie ale dla mnie tak obcym.. choć dzieńbym utargować chciała... i jeszcze dzień i jeszcze godzinę.

Milczałem smutny. Stanęliśmy tak wśród ulicy, na oczach ludzkich, ja w moim oficerskim mundurze, ona ze swą dziewicza krasą, a przechodzący patrzali na nas, uśmiechając się... ona wcale nie zważała na to.... Chciałem ją, pożegnać, zatrzymała mnie.

— Czy wam tak bardzo pilno? zapytała.

— O! nie! rzekłem — dano mi do nocy czas, ale w mieście nie mam co robić.

— Gdyby się wam koń nie wyrwał, moglibyście przecie zamiast przez Krakowskie pójść na Stare miasto i trochę nałożyć dla mojej przyjaźni.

— A z duszy serca — jeśli mi pani pozwolisz.

— Ja proszę, rzekła Juta. Dobrze jest ukraść sobie choć minut kilka... kto wie, czy się na tym zobaczymy świecie.

— Masz pani słuszność, ja codzien pod kule jechać muszę.

— O! nie tylko one zabijają — przerwała, ludzie mrą z tego, co wewnątrz przeszywa.... Mnie czasem zdaje się, że umrę prędko.

— Co za myśli... dla tych, co was kochają, dla matki żyć powinniście.

— Tak, dla matki — rzekła machinalnie, powtarzając ostatnie słowo — dla biednej matki — ja jestem niewdzięczne dziecko.

Chustkę przyłożywszy do oczów zaczęła płakać i łzy prędko ocierać.

— Pieszczone dziecko jestem — odezwała się, za to pieszczon pan Bóg karze. Dawno powinnam pójść do ołtarza, siły mi braknie, zwlekam.. we dnie, gdy go nie widzę a myślę o obowiązku, powiadam sobie, muszę, powinnam raz skończyć: wieczorem przyjdzie to poczciwe stworzenie, siądzie, zacznie mówić, popatrzę nań i truchleję... a — wierz mi, poruczniku, dobre chłopczysko... tylko — tylko — ot tak — jakoś nie mogę się zgodzić z tą myślą, abym ja mu żoną być miała....

Widzisz, spowiadam się wam jak bratu. —

— A! panno Juto! panno Juto... krwawisz mi serce... zawołałem — trzymałem długo w sobie ból, wreszcie wybuchnąć musi.... Niech się tylko wojna skończy... przewleciecie, ten ślub... ja o waszą rękę poproszę... ja z wami tylko mogę być szczęśliwy.

Chwyła mnie za rękę gwałtownie.

— Nie mów tego, to się nie godzi, przerwała —

— matkaby nigdy nie pozwoliła, jabym się sama obawiała nie was ale rodziny. To nie może być! a! nie może!

— Owszem to i może i powinno być, bo my się kochamy... szczerze, świecie... wytrwale... zawołałem...

— Cicho! cicho! dosyć — odezwała się wzruszona... w miłość wierzę, w przyszłość nie.... Matcebym ostatek dni zatrąła... a jej winnam wszystko.

Wśród tej rozmowy przestraszyło nas dziwnym głosem nad uchem wyrzeczone — Dobry wieczór!

Juta zwróciła się blada ale spokojna — był to jej narzeczony, który od roboty się uwolniwszy spieszył do Wawerskich"

Spojrzałem na niego. Zmięszany był i przypatrywał mi się ciekawie, ze źle ukrywanym gniewem. Juta patrzyła nań lekko, ruszając ramionami, wcale, nie zakłopotana spotkaniem.

— Bądźże zdrów, poruczniku — odezwała się, żegnając mnie skinieniem głowy, bądź zdrów... a jeśli kiedy znów zdarzy się być w mieście, zajedź przecie starych znajomych odwiedzić. Przynajmniej od was się prawdy dowiemy o tych Prusakach, bo tu u nas Bóg wie, co plotka.

Michałek stał nadęty i kwaśny... Juta odstąpiła nieco a ja, ściągawszy cugle, skoczyłem na konia i popędziłem ku obozowi...

Dwudziestego szóstego sierpnia nocą ledwie na siodle głowę złożył, by się cokolwiek przedrzemać, gdy mnie Kaźmierz, kucharz Naczelnika, przebudził. Sen miałem lekki, otrząsałem się tylko i poszedłem do namiotu Kościuszki. Siedział na swem twardym łóżeczku.

— Słuchaj, Syruć, rzekł — bierz konia... jedź zaraz ku Maryniontowi i Powązkom... słyhać tam już strzały, dotrwaj do końca, opowiesz mi, co się stanie. Jeśliby — uchowaj Boże — złego się co przytrafiło... pospiesz przędzej.

Była godzina między trzecią a czwartą, gdy mi konia podano. Za ledwie się nieco odsadził dalej, spostrzegłem, że Prusacy silny atak przypuścili od Wawrzyszewa... Ruch ze strony naszej był już wielki. Strzelcy z Hadziewiczem i jazda z ks. Józefem tył usiłowali i bok Niemcom osaczyć... ale garść naszych strzelców była nie wielka, musieli się cofać.

Zbladłem widząc, że dwie baterie Prusacy opanowali, które ledwie trzy dały wystrzały; ks. Józef przybył za późno. Prusacy góry, na których były ustawione, znali dobrze, bo na nich one zostały zdobyte. Prawe nasze skrzydło cofało się... nie miałem nic już więcej do czynienia, tylko z powrotem spieszyć do Kościuszki...

Ale mnie tu z niefortunną uprzedzono wiadomością, dodając, że ks. Józef noc spędził w Warszawie u jednej z pięknych pań, których tyle się w nim' na zabój kochało, i że opóźnienie jego było przyczyną straty... i, co gorzej, wpływu, jaki ona na ducha wojsk wyrzeć miała.

Trudno dojść, ile w tem prawdy było... to pewna, że ks. Józef bił się jak lew, gdy się znalazł na placu, i że został rannym, nie mniej jednak... jemu powierzone baterie polskie i pozycje zostały pierwsze zdobyte.

Jeśli kto tryumfował, to Zajączek, który "książatku" pomódz nie myślał, który go nie cierpiał i cieszył się bodaj z utraty "gór szwedzkich" a upokorzeniu ks. Józefa.

Zajączek naówczas był najczerwieńszym republikaninem i w najściślejszych stosunkach z

Kołątając przedstawiał w obozie jakubińską partią rewolucyjną; ks. Józef i Mokronoski byli zwani regalistami i dworskimi, Dąbrowski stał w środku pełniąc tylko obowiązki żołnierza — a Kościuszko wszystko moderować musiał.

Właśnie mu to za złe miano, że się umiarkowanie trzymał, łagodził i jednał. Między nim a ks. Józefem nie było nigdy ani bardzo ścisłych stosunków, ani wielkiej harmonii i sympatii. Ks. Józef należał do szkoły tych mężnych, tęgich, wykształconych ale nie- co aryetokratycznie na świat patrzących wojaków, jakim był ks. de Ligne, najlepszy jego przyjaciel.

Obok brawury największej najszałeńska tężyzna i hulanka... wszystko to przyprawne dowcipem jak najlepszemu tonu. Kościuszko wyglądał, myślał i żył całe inaczej. U księcia Józefa dowcip i szyderstwo — uczucie honoru....odwaga.....były sprężynami życia, — u Kościuszki ojczyzna, cnota., prawość, męstwo, powaga... Ks.. Józef kochał się jak w XVIII wieku wszyscy panicze, codziennie w innej... Kościuszko raz może w życiu i do śmierci. Obyczaj mieli inny, przekonania, humory.

Już w kampanji 1792, w której Kościuszko był pod dowództwem ks. Józefa i nie zawsze się z nim godził, dały się czuć te różnice; w 1794 zacna i piękna dusza ks. Józefa poddała się dobrowolnie rozkazom Naczelnika, przyjęła obowiązki posłuszeństwa i ks. Józef bił się walecznie aż do tych nieszczęsnych gór... dwudziestego szóstego sierpnia.

Można sobie wystawić, jak wypotrzebować umiano to nieszczęście, aby zasiać nowe ziarna nieporozumień. Zajacek był uszczęśliwiony.

W parę dni potem pomścił się Dąbrowski upokorzenia naszego... Od Powązek do Bielan nad Wisłą przypuścili znowu ze dniem atak Prusacy... na całą linię... Cała czynność wysiłek skoncentrowała się około tego domu Parysa, gdzie Prusacy dwa dni temu wzięli baterią polską około lasku powązkowskiego.

Dąbrowski, który objął komendę po chorym ks. Józefie, bronił tego klucza pozycyi z zaciętością i chłodną krwią nadzwyczajną.

Na lasek powązkowski napadali Prusacy nie jeden raz, ale odparci od niego wracali, a myśmy też wysadzeni na chwilę, ściągali nasze siły, aby się koniecznie przy nim utrzymać... Gdy podpułkownik Mycielski, na którego z pięćkroć większą siłą napadli Prusacy, zmuszony był zwolna się cofać, Kościuszko stał w pogotowiu z piechotą... Poprzedził nas Bronicki... my za nim.

Kościuszko sam dowodził, pierwszy raz go widziałem idącego w ogień... z taką chłodną krwią i powagą ale z taką energią, że lud wszystek za sobą ciągnął i byłby go na dziesięć razy silniejsze wojsko mógł pchnąć... Nicby go nie wstrzymało. Sukmanka Naczelnika była talizmanem... żaden się już nie liczył z niebezpieczeństwem... wbiliśmy się w las z takim impetem, takim murem posuwając się niezłomnym, że Niemcy tejże prawie chwili, gdy się Kościuszko ukazał, złamani zostali... Przyczynił się do tego zwycięstwa i brygadyer Kołysko, który na ogień nieprzyjacielskiej artylerji nie zważając z boku wziął lewego Prusaków i pomógł nam ich odeprzeć...

Raz usadowiwszy się w powązkowskim lasku, jużemy go nie dali, ale nie skończyło się na opanowaniu, bo wnet piechota, kawalerya i kanonada rżęsiła nas tu spotkała... Walka wszczęła się zacięta i z obu stron z nadzwyczajnym uporem prowadzona... Kościuszko sam był na placu i z Dąbrowskim razem obroną dowodził... W istocie w gaiku tym rozstrzygały się losy Warszawy i pruskiego oblężenia... Utrata lasu spychała nas na okopy... Wojsko było niezmiernym ożywione duchem, wiejącym od tej szarej sukmanki wodza... na którą oczy się wszystkich zwracały... Nie jestem - w stanie ani opisać walki, ani dać o niej wyobrażenia... przebyliśmy ten dzień w trwodze, czując, że on rozstrzyga o przyszłości...

Gęsta kanonada dnia tego i niezmierny ruch na linii całej sprowadził, co żyło, na okopy... roily się - one ludem zbrojnym, kobietami... tłumem nie ciekawych ale spragnionych bitwy... Traugutt i

Majewski kapitanowie municypalnej gwardyi odznaczyli się ze swymi ludźmi... Ochotnika z Warszawy było mnóstwo... bieżącego tak w ogień jak na zabawę....

Obdarte, bose chłopaki rzucali się na Prusaków z takim szaleństwem i zapamiętałością, że w kilku miejscach pobrali ich, działa pogwoździli i wozy pouprawiali. Przy armatach naszych większą Część służby pełniło mieszczaństwo, któremu Górski pułkownik dał później świadectwo męztwa i poświęcenia.

Mnie tego dnia parę razy kula świsnęła mimo uszów... z rana, we dnie zaś, mimo że rozkazy nosił przez najniebezpieczniejsze miejsca, które Prusacy ostrzeliwali, nie stało mi się nic; dopiero o pół do siódmej obłam jakiś nieszczęsny... trafił mnie znowu w to samo ramię__ które jaż raz miałem strzaskane... Padłem z konia... i byłbym może dostał się do niewoli, gdyby nie ranny także Wiertelewicz dziesiętnik, który mi rękę podał i uprowadził ku okopom...

Nie omdlałem wprawdzie jak pierwszą razą" ale nierównie cięższego doznał bólu...

Kość była i mocno stłuczona a dawna rana jakby odnowiona ogniem paliła. Mimo to, dawszy tylko opatrzyć rękę felczerowi i znalazłszy konia z pod huzara pruskiego, siadłem, aby powrócić do Kościuszki.... Gdy mu się meldowałem — odwrócił się, pokręcił głową i wskazał mi ręką na miasto.

— Jedź się wprzód wylizać... a jak będziesz siłę miał, powracaj. Obędziemy się bez Waszmości.

Mówił to tak żartobliwie jak miał zwyczaj, gdy mu humor dobry służył. Dobył z kieszeni zegarka a miał ich zawsze pod ręką kilka.

— Żebyś godziny nie chybił! rzekł... i ruszaj, boś mi potrzebny nie tylko na dziś.

Tak tedy odprawiony, pojechałem nazad do miasta... i dopiero w pół drogi przekonałem się, iż Naczelnik miał słuszność, odsyłając mnie, bom z bólu ledwie na koniu mógł usiedzieć. Ręką straszliwie brzękła i mundur zdawał się pękać na niej. Dopadłszy z koniem do miasta, znalazłem szczęściem komu go zdać a sam rzuciłem się na wóz, który mnie na Miodową odwieść obiecał.

W mieście radość panowała wielka. Wiedzieli już wszyscy, że dzień to był zwycięzki, a zarazem przysłała wiadomość o powstaniu województw wielkopolskich, które nigdy bardziej w porę dla nas przyjść nie mogło.

Poznań, Kalisz, Gniezno, Łęczyca, Sieradz, Ziemia gostyńska i wieluńska, Kujawy — ruszyły się z okrzykiem "Żyć wolnymi albo umrzeć.... " Ludzie po ulicach, nieznajomi, spotykając się ściskali i płakali — ojczyzna w istocie zdawała się nareszcie wybawienia bliska. Z tą dobrą wieścią pochwyconą na ulicy... wszedłem do domu, już dalej nie mogąc nad mieszkanie Mańkiewiczów... gdzie na kanapę ległszy... omdlałem.

Oboje starszycy przelękli się niezmiernie a nieodstępny szambuś wysłany został po felczera.... Jejmość tymczasem starała się mnie ocucić, co łatwo przyszło, bom tylko ze znużenia i bólu na chwilę przytomność stracił.... Gdy mundur rozcięto i rękę wydobyto, okazała się czarną i nabrzęklą, trzeba więc było co rychlej radzić... a że naówczas krwi puszczenie było niemal uniwersalnym lekarstwem, naprzód mi je żydek felczer zaadministrował.

Mańkiewicz stał nademną rękę założywszy w tył, zupełnie spokojny.

— Nic nie będzie — mówił — ją znam polską naturę... najgorzej w nogę... ręce u nas wszystko wytrzymują... wylizasz się, dziękuj Bogu, że ten czerep ci o kilka cali dalej do głowy się nie dostał.... Prawdziwy cud!

Musiałem choć chory rozpowiadać. Mańkiewicz płakał, sama Jejmość kiwała tylko głową. Starszek był teraz szczególnie do łez łatwym, byle co go rozrzewniało. Jednakże szczęściu naszemu tego dnia nie bardzo mu się wierzyć chciało po straconych górach szwedzkich, które go napełniły najczarniejszemi aprehensjami.

Jeszcze leżałem z obwiniętą ręką, gdy jednego ranka wszedł do mnie po wschodach rzadki gość,

dziadunio, któremu drapać się wysoko przychodziło z największą trudnością. Otworzył drzwi śmiejąc się, tak rozpromieniony, szczęśliwy, jasny, że nie wiedział nawet, co się stać takiego mogło, co by go do tego stopnia rozradowało.

Czytałem z jego twarzy... Łzy mu biegły z oczów, które ocierał najprostszym w świecie sposobem, od natury danym kułakiem, trzął się, usta miał otwarte, ręce podniesione, a gdy nareszcie głos się dobył z piersi, usłyszałem tylko:

— Gloria in excelsis Deo! Podniosłem się, na łokciu zdumiony.

— Cóż tam tak szczęśliwego? zawołałem.

— Zgadnij!

— Niepodobieństwo... wygrana bitwa...

— Gdzie tam, lepiej...

— Nowe powstanie...

— Lepiej...

— Ale niechże dziadek mnie nie męczy...

— To ci powiem. — Cud się stał! — Prusacy w nocy zabrawszy manatki poszli precz...

— To nie może być! krzyknąłem.

— Ale i ja nie wierzyłem, dodał dziadek... ano patrz, czytaj — drukowano!! poprzybijano karty na wszystkich rogach ulic.

To mówiąc dziadek mi podał kawałek szarej bibuły, na którym stało:

"To, czego się wszyscy roztropni patryoci spodziewali a czego źle tylko myślący i skrycie niechętni Ojczyźnie pojąć nie chcieli i nie życzyli — stało się. — Wojsko pruskie, które z kilku tysiącami Moskalów podstąpiło pod Warszawę i przez dwa miesiące stojąc pod miastem koniecznie je opanować chciało w nocy z dnia 5 na 6 bieżącego miesiąca, — z hańbą, cofnęło się, wyrzuciwszy nadaremno krocie bomb i granatów, nie spaliwszy jak kilka drewnianych domów na przedmieściach i t. d. i t. d. "

Czytałem a dziadek płakał...

Wiadomość ta poskutkowała tak — że się tego dnia cyrulikowi gwałtem prawie wydarł, aby wyjść na miasto...

Boć warto było zobaczyć tę powszechną radość — niestety ! tak krótko trwać mająca... Biegli wszyscy opuszczone obozowisko oglądać.

Gdym wyszedł o kiju na ulicę, bo i noga z tej strony, na którą padłem, ugniecioną była znacznie przez konia, w głowie mi się z razu zawracało... wprędce jednak ośwoiłem się z powietrzem i nauczyłem chodzić jako tako.

Same mnie, mogę powiedzieć, nogi poniosły tam, gdzie były myśli moje. Nie miałem zamiaru iść do

Wawerskich, ale około ich domu przejść tylko chciałem i ku niemu spojrzeć...

Mimowolnie, doszedłszy tu, oczy zwróciłem ku oknu, w którym Juta bardzo rzadko siadywała; anim miał nadzieję ja zobaczyć... Nim głowę podniosłem, usłyszałem już brzęk otwierającego się okna... czarno cała ubrana Juta stała w niem, ręce ku mnie wyciągając.

Stanąłem wryty.

Chwilę trwała niepewność... Juta znikła z okna... Już miałem iść dalej — gdym ją w bramie zobaczył...

Chodziłem jeszcze dosyć powoli, powlokłem się jednak o kiju, jak umiałem najspieszniej. Ręce trzymała złożone jak do modlitwy i patrzała na mój chód kaleki i na wybladłą twarz moją. Ja także wpatrywałem w ten czarny ubiór jej, u którego teraz, dopiero zobaczyłem biały pas żałoby... Nie

potrzebowałem jej pytać, domyśleć się było łatwo, że stara Wawerska umarła.

Tak było w istocie, w czasie, gdy ja chory leżałem, ona matkę pogrzebała...

Zbliżyłem się do niej usiłując zmusić do jakiegoś uśmiechu.

— Co wam było?... ranni jesteście!... — zawołała...

— A! a wy w żałobie! matka...

— Tak! straciłam dobrą, ukochaną matkę moją — odezwała się po cichu... tak mój poruczniku... ale cóż wam?

— O! już nic!... już dobrze, gdy was widzieć mogę...

— Nie wnijdziecie na wschody? — spytała trwożliwie — drugie piętro... i ja — nie śmiem was prosić — sama jestem...

Spuściła oczy — milczeliśmy...

Oparłem się o drzwi, patrzyłem na nią, biedniejszą, bledszą wydawała mi się niż kiedykolwiek, niż ostatnią nawet razą.

Nie śmiałem jej o nic pytać...

Zawahała się nieco, obejrzała trwożliwie — i szepnęła mi:

— Idźcie, jeśli możecie... siadźcie gdzie na ławce w Saskim ogrodzie... ja przyjdę — potrzebuję mówić z wami...

W tej chwili znikła mi z oczów — poszedłem. — W głowie mi się plątało... Matka umarła, Juta nie była zamężną — mogła więc uwolnić się od natrętnego tego konkurenta, mogła być moja.

Nie śmiałem wierzyć szczęściu mojemu. Serce mi biło... szedłem... Uniknąłem szczęśliwie znajomych i natrętów i obrawszy sobie ławkę w bocznej alei siadłem. Ogród Saski jak zawsze tak i teraz był pełnym. Główne ulice, cukiernia, altany roiły się tłumem, wśród którego słychać było wesołe śmiechy i wykrzykniki... Chłopcy sprzedawali gazety z opisem ustąpienia Prusaków... wojskowi, cywilni, mieszczanie opowiadali sobie przygody swoje i bohaterskie czyny maleńkich ludzi, którzy jutro zapomnianymi być mieli...

Zamyślony wsłuchiwałem się w ten szmer... gdy szelest sukni i widok czarnej postaci z bladą twarzą rozbudził mnie. Juta usiadła przy mnie. Długo odpoczywała, nim mogła się odezwać...

— Znowu byliście ranni!... w tę samą rękę!... a noga?

— To nic, wszystko przeszło — jestem lepiej... mówcie mi o sobie...

— Cóż ja wam powiem — jęknęła — wiecie wszystko — albo raczej powinniście się domyśleć... Matka moja umierała przytomnie... Na łożu śmierci żądała odemnie słowa, że pójdę za tego, kogo ona dla mnie wybrała... pobłogosławiła nas klęczących u jej łóżka na godzinę przed zgonem... Wiesz wszystko... Zawołała świadków, kazała zamienić pierścionki — wolna jestem i związana. Jak tylko zrzucę żałobę... włożę kajdany...

Zaczęła' płakać cicho... — To przeznaczenie moje...

Ze szczęścia, o którym marzyłem, padłem w przepaść — nie mogłem odezwać się ani słowem... cóżem miał powiedzieć? boleć nad nieuniknionem, czy namawiać do krzywoprzysięstwa?... Spojrzała Juta ten stan mój i podała mi rękę z jakąś nagle wydobytą z siebie odwagą...

— Potrzeba mieć mężstwo, gdzie nad nie innego nie ma ratunku... Życie krótkie — niech poczciwe przywiązanie braterskie nam starczy. Tego nam ani ludzie ani Bóg zabronić nie mogą.

— Bóg, rzekłem, to prawda, ale ludzie, co go nie znają, co w nie nie wierzą, wzbronią nam lub je oczernią... Rozstać się więc potrzeba...

— Mogłażem inaczej postąpić! zawołała, struć ostatnią godzinę biednej matce, żeby sobie szczęście zgotować? Byłoby to szczęście, gdybym musiała przypominać sobie tę godzinę... Pierwej byłam dziecięciem jej niż... serce moje przemówiło... niż — dziś to powiedzieć mogę, niżem was

pokochoła... Miłość jest rzeczą świętą, — okrutną i samolubną być nie może, stałaby się — dziką...

Myśleć o sobie któż broni — los może kiedy mi dozwoli zobaczyć was jeszcze... Pómilczawszy trochę, poczęła żywo i gorączkowo...

— O! wiecie, musiałam sobie wcześniej całą moją przyszłość obmyśleć... Ten człowiek kocha mnie, ale on nigdy nie zmieni się, nie będzie kim innym jak jest... ja mogę wiele zapomnieć, muszę nawet — i po latach... latach może wielu... stanę się taką jak on... aby mu być równą... Zajmę się tem, przy czem myśl nie potrzebna, książki w piec wrzucę oprócz pobożnych, będę żoną rzemieślnika... zapomnę... wszystko zapomnę...

— i o mnie... szepnąłem...

— Nie — rzekła — nie zapomnę o was — tylko jak najmniej myśleć będę, bom przekonana... to śmieszność — że myśl obudza pokrewną drugą, że tęsknota o sto mil wywołuje tęsknotę... że o was rozmyślając zmuszałabym was myśleć o mnie... a wam to niepotrzebne...

Chciała wstać... wstrzymałem ją...

Nie mogę, nie umiem ani się godzi, abym wam opisywał rozmowę naszą... Są słowa, które na zimno wydają się śmieszne, jak są potrawy, które chłodne - stają się niesmaczne — sądzę, że ta nasza przerywana rozmowa wieczorna na ławce w Saskim ogrodzie, gdybym ja spamiętał, gdybym powtórzył, stałaby się dla was potworną, dziecinna, dziwaczną, niezrozumiałą...

Wstawaliśmy i zegnaliśmy się kilka razy, ona wstrzymywała lub ja i siadaliśmy znowu i ciemno się zrobiło, gdy nareszcie podała mi rękę, nie chcąc, ażebym ja ją odprowadzał, ale sama żądając przejść ze mną do bramy domku Karasia...

W tej godzinie życia ostatniej powiedzieliśmy sobie więcej niż w całym tym roku... Spieszno nam było wypowiedzieć się przed sobą, jakbyśmy przeczuwali, że już się nie zobaczymy więcej. — Juta żądała odemnie, bym jej nie szukał...

— Zostawmy losowi przyszłość, nie czyńmy nic sami, rzekła — poddajmy się przeznaczeniu — niech ono rozstrzyga... W tych słowach był jeszcze cień nadziei... schwyciłem jej rękę i ucałowałem ją nie mogąc ust oderwać, z lekka przyłożyła chłodne wargi do mego czoła i uciekła...

Zapewne z osłabienia i przechadzki dostałem mdłości, bo mnie stróż znalazł osuniętym na bruk w furcie... i bezprzytomnym... Z pomocą felczera zaniecono mnie na górę.

Po tych dniach tryumfu i wesela mieliśmy już być świadkami najstraszniejszego upadku i upokorzenia, które stokroć się nam sroższymi wydały po odpoczynku i swobodzie. — Warszawa radowała się jeszcze i rozlegała śpiewami patryotycznymi, gdy już nad nią zbierała się burza. Nie wszystkich oczom była ona widomą, dla większej części skrytą; bystrzejsze umysły przewidywały wszakże klęski, jakie nam groziły...

Skazany na pobyt w Warszawie, słaby po odniesionej ranie, byłem zarazem zmuszony mimowolnie śledzić każdą pulsacją jej życia i odboleć z nią wszystko, co ją dotykało.

Kilkanaście dni po odejściu Prusaków, którzy swych rannych po drodze rzucali a mścili się doznanej klęski rabunkiem nieszczęśliwego kraju, siły moskiewskie, jak gdyby tylko oczekiwały na odstąpienie króla Wilhelma, zbliżać się i osaczać nas poczęły.

W stolicy jeszcześmy byli pełni nadziei, Kościuszko część sił uwolnionych teraz porozsyłał w różnych kierunkach, rachując na to, iż one wywołają i podeprą nowe ruchy na prowincyi. Rozumna ta czy mylna rachuba dała znać powód malkontentom, podżeganym niewidomemi siły, do sarkania przeciw naczelnemu wodzowi. Zarzucano mu też uwolnienie od wyroku na śmierć skazującego biskupa Skarszewskiego, za którym król, Zakrzewski i nuncyusz papieżki wstawiali się mocno. Kościuszki serce i charakter brzydził się niepotrzebnymi okrucieństwami, choć z drugiej strony usilnie nań nalegano, aby dał przykład surowości. Z łatwością skłonił się do złagodzenia kary.

Wkrótce potem, nie wiele wiedząc o wszystkim, co pod powierzchnią wrzało i gotowało się, spotkałem w ulicy generała Zajączka. Uchodził on wówczas za jednego z najgorliwszych patryotów, służyłem pod jego komendą, byłem mu osobiście znanym... mógł nie wiedzieć o moich usposobieniach a zbierał wówczas prozelitów; przywitawszy się więc ze mną i popatrzawszy na mnie, spytał, co tu robię.

— Leczę moją kontuzję, rzekłem, która mi srożej dokucza od rany; muszę jeszcze czas jakiś próżnować, czas mi się dłuży, radbym co najrychlej mój znowu być w polu.

— E! rzekł, w Warszawie też, kto chce, ma się czem zająć. Czemuż to Waćpana nie widać nigdzie tam, gdzie się patryoci zbierają? Toby cię i rozerwało i nauczyło... że i tu i z chorą ręką użytecznym być można.

Nie dobrze zrozumiałem go. Generał znał mnie tylko z pola bitwy jako zapalonego żołnierza.

— Trzeba trochę wejść między ludzi, rozszluchać się, zapoznać... dodał.

Milczałem.

— Wiem, że z was patryota gorący, Kiliński mi o nim wspominał. Jest tu nas przecie garść, każdy ma co robić... hm! mam ochotę i Waćpana zwerbować....

— Gdybym na co się zdał, bardzo chętnie, panie jenerale.

— A no, podał mi rękę — to dobrze, przyjdź się naprzód rozszluchaj. Schodzimy się dla narad z wojskowymi i mieszczanami niemal codzień w refektarzu u Kapucynów. Nie ma tam kart wnijścia, zameldujcie się odemnie na ósmą wieczorną, to was wpuszczą. Rozumie się — rzekł po chwili, kręcąc węża, że o tem się ani przed babami nie papple, ani na ulicy nie rozpowiada....

— Z babami stósunków nie mam a w ogóle wielomówny nie jestem, odpowiedziałem.

— Tak się, spodziewam, — dokończył generał.... Przyjdź się rozszluchać.

Nie miałem najmniejszego wyobrażenia, coby to tam za narady mogły być u Kapucynów, ale ciekawość mnie wiodła, tegoż samego więc wieczora wybrałem się na Miodową. Furię znalazłem otwartą, braciszek mnie tylko wstrzymał pytaniem, dokąd chcę.... Powiedziałem, że mnie tu posłał generał Zajączek... wskazał mi więc milcząco drzwi do refektarza.

Wszystkie kapucyńskie, są do siebie podobne: ogromny piec, który górne cele ogrzewa, ławy i stoły, drewniany krucyfix, kilka lichtarzy rozsianych po sali — i w pół mroku kilkanaście osób w kupki pozbieranych... oto był obraz, jaki ciekawym oczom się moim przedstawił. Wśród zgromadzonych znalazłem już generała rozprawiającego po cichu z parą nieznanymi osobami.

Wszyscy zresztą byli mi nieznani, oprócz jednego towarzysza broni, z którym zabrałem znajomość w obozie. Był to niejaki Strzelbicki. Z tymeśmy jako oba nowicyusze poszli do kąta, czekając, ażby się narady rozpoczęły głośniejsze. Od Strzeibickiego dowiedziałem się, że dopiero po raz trzeci tu przychodził, a gdym go spytał o szczegóły i zajęcie zebrania, rzekł mi kwaśno: — Posłuchacie — osądzicie.

W pół godziny wtoczył się żywo, na kiju opierając, otyły dosyć człeczek z żywymi czarnymi oczyma, któremu wszyscy zaraz miejsce zrobili. Obejrzał się niespokojnie do koła, kilka razy rękę do czoła przyłożył, aby twarzom się lepiej przypatrzeć, i zajął miejsce w krześle, które mu braciszek kapucyński nagotował. Był to ks. ex-podkanclerzy Kołłątaj.

Wiele o nim słyszałem wprzód i, gdy mi imię to Strzelbicki powiedział, jałem mu się" pilno przypatrywać. Twarz była niezmiernie życia pełna, acz zmęczona i jakby nalana. Oczy wypukłe patrzyły bystrem pojęciem, wyraz ust ruchliwych nie był sympatyczny, czoło za to bystra zdradzało inteligencją...

Całość twarzy mogła się nie podobać, nie obudzić pociągu ku sobie — ale nie można jej było obojętnym wzrokiem pominąć.

Gdy się obejrzał po przytomnych, począł zaraz głośno mówić.

— Twoje tedy zdanie, jenerale — zawołał — położenie kraju nie dozwala nam sobie słodkich pochlebstw prawić — przedewszystkiem prawdy trzeba i rozumu... Kto myśl dziś zbawienną tai, ten zdradza...

— Jam też z moją nigdy się nie krył — odparł Zajączek. — Niech drudzy łudzą się sobie gładkiem! nadziejami — ja rzeczy widzę czarno i nie taję... Naczelnik jest człowiek zacny i czysty, ale zdolności jego nie odpowiadają stanowisku... Kokietuje króla, zdrajców, chce być ze wszystkimi dobrze... a tu surowości potrzeba, surowości nieubłaganej, jakiej nam przykłady stawi Francya.

Kościuszko nas pobłażaniem swem, wahaniem się, umiarkowaniem zgubi...

Jako żołnierz mam mu za złe, że siły swe rozdrabnia i rozprasza... gdy je skupiać należy i gromadzić.

— Święte słowa! — przerwał Kołłątaj — daremnie wpłynąć chciałem na niego... Człek słaby — powiem otwarcie, ograniczony... tam tacy Linowscy, Zakrzewscy, Niemcewicze... znajdą powolne ucho — my nie... ja nie... i ojczyzna zginie dla braku energii!

Słuchałem wyrazów tych z mojego kata osłupiału Odezwać się naówczas przeciwko Kościuszce — tem. ulubieńcowi narodu, i to w chwili, gdy okrył się sławą, heroiczną obroną Warszawy, było czemś tak zu- chwałem, tak niesłychanem, żem zdrętwiał... Strzelbicki trącił mnie łokciem, spojrzął na mnie.

Tymczasem wystąpił ks. Majer.

Sławny on był i znany rai dobrze jeszcze z przygotowań do kwietniowego powstania. Słusznego wzrostu, żółty, z nieogoloną brodą, w sutannie obcisłej, z wydętym nieco brzuchem i długimi rękami, śmiałego wyrazu twarzy, zażywał tabakę słuchając Kołłątaja, pociągnął mocno, strzepnął rękę i podniósłszy ją prosił o głos.

Dano mu go zaraz.

— Prawdziwi patryoci nie potrzebują żadnego mandatu — rzekł — aby ratować ojczyznę. Gdy zdrowsze umysły złe widzą, powinny radzić na nie.

Na mdłe środeczki i łagodzące balsamy tu nie pora... suche gałęzie walić toporem, aby żywym słońca nie zasłaniały... Wody nie warzmy, słów nie marnujmy, do czynu dążmy...

Dowódzca nieudolny — precz z nim... król nam zawadza, pozbyć się go... arystokraci nam brózdzą, przecie drzewa na szubienice jest dosyć.

Zdrajców wywieszać, łajdakom gębę zamalować, oddać ster rzeczypospolitej w silne dłonie... Ot co jest do zrobienia. Mamy się wahać...

Kołłątaj zaczął pod koniec mowy tej ręką trząść i śmiał się.

— Stój, księżuniu... na miłość Boga, te rzeczy się wśród ulicy nie głoszą...

— Nie jesteśmy w rynku — odparł Majer.

— Jak prawie — szepnął Kołłątaj oglądając się.

— Nego majorem, ja Majer! — rozśmiał się ksiądz — na ulicy, w ryku, w kościele, trzeba te rzeczy prawić, aby ludowi oczy otworzyć, aby zdrowe zasady propagować. We trzech ani we czterech nie dokażemy tego... a tu należy rewolucyą zrobić w rewolucyi.

Raz z tymi, z pozwoleniem, parszywymi owcami skończyć a stado ocalimy.

Zajączek się obejrzał ruszając ramionami.

— Za gorąco mówi zacny nasz ks. Majer — ale prawdę. Rewolucya z komplementami...

— Contradictio in adjecto! zawołał ksiądz Majer — sensu nie ma... To mi rewolucya, jaka widzimy w Paryżu, Robespiera rozumiem... Kościuszko jest mdły... mdły... z niego nie będzie nic.

We mnie się burzyło wszystko słuchając, alem milczał. Odezwał się jeszcze jeden, którego mi mój

towarzysz nazwał Taszyckim, i dowodził, ile Kościuszko popełnił błędów... Tu stuknąwszy o poręcz krzesła Kołłątaj, okiem obiegłszy zgromadzenie — począł:

— Ani słowa, nikt pocziwego, romansowego, czulego i sentymentalnego Kościuszki lepiej nie zna odemnie... Wszystko prawda, co mówicie... a pomimo to... tak, jakby sobie radził ks. Majer i Taszycki, pogorszyłyoby tylko sprawę...

Est modus in rebus, — modus, panowie, modus często więcej znaczy niż sama res..., Łatwo obalić Kościuszkę, który jest bożyszczem narodu, zasłużenie czy nie, a co na jego miejscu postawicie? za kim tak pójdą? w kogo tak uwierzą? Ks. Majera zna ulica, bo się z kowalami pod szubienicą całował...

— Nie przeczę — zawołał ks. Majer, gloryfikuję się tem..

— Zajączka znamy w kółku naszym, ba i w szerszych kołach... ale takiego imienia jak Kościuszko wyrobić sobie nie umiał... mnie więcej ludzi nienawidzi niż wierzy... Słowem... obalić go łatwo, zastąpić niepodobna...

— Oh! oh! począł Majer... hyperbole!

— Prawda chłodna, zawołał Kołłątaj... Modus in rebus byłby dał mu inne otoczenie, innych ludzi do boku, radę inną... Staralem się o to... i sędzę, iż przynajmniej do czasu starać się o to należy, póki dla narodu nie ulepiemy drugiego bożyszczka takiego, w któreby mógł uwierzyć...

Zajączek głowę obracał widocznie nieukontentowany...

— Wszystko dla ludu, ale przez lud nie wiele czynić można, chyba nim umiejętna dłoń kieruje... Ks. Kołłątaj zbyt chce ulegać i schlebiać ludu fantazyom, a tu go należy prowadzić... natchnąć, wpoić mu, wmówić, co trzeba, bo my zań rozum mieć musimy, to darmo! Nim się drugie bożyszczko ulepi, kraj zginie, chwili nie ma do stracenia... Rewolucya ma swe prawa.

— Dobrze mówi! potwierdził ks. Majer — smutna to rzecz ale pierwszy obowiązek pozbyć się tego, co szkodzi... Zdrajców nie żywić i tych, co ich oszczędzają, nie cierpieć... Salus reipublicae suprema lex.

Kołłątaj niby przekonany zmilczał.

— Nie zaprzeczam wysokich cnót i pewnych zdolności Naczelnikowi, dorzucił Zajączek, inżynier z niego dobry, na naczelnego wodza energii za mało. Nie jest to człowiek rewolucyi, choć dobry generał. Tu trzeba na czele wojskowego razem i męża stanu... inaczej, oszczędzając, łagodząc, pieszcząc się — zginie...

Zmilczano, we mnie kipiało...

— Na to się wszyscy godzimy — odezwał się po przestanku ex-podkanclerzy, iż jest źle — nie ma tylko zgody, jak radzić na to...

— Dwóch dróg, odparł Taszycki, nie widzę... jest jedna: trzeba obalić, co złe, a dobre w jego miejscu postawić. Dyktatury potrzeba w silnych dłoniach... To nie zabawka... tu idzie o życie...

Prusacy ustąpili, lecz wielkopolskie powstanie padnie, z drugiej strony ciągną Moskale siłą znaczną... Warszawie zagraża głód, dowozy są wstrzymane... pieniędzy brak... a partya króla i dworska coraz śmieiej podnosi głowę. Co jest jeszcze niedowieszanych zdrajców, spiskuje... co bogatsze i mogłoby służyć ojczyźnie, puciekowało za granicę... duch upada... nie robimy nic...

Nieznamy człek wyszedł z kupki na boku i począł cichym głosem:

— Z Kościuszką przecież rozmówić się można... i powiedzieć mu... co ma czy nic...

— Nie posłucha — przerwał Kołłątaj... słaby dla złych a w słabości swej uparty... co chwila mi grozi, że wszystko rzuci i ustąpi... Co pocniemy...

— Hm — odparł Zajączek — gdyby to uczynił, mogliśmy się może obyć bez niego...

Słuchaliśmy ze Strzelbickim, niemi oba; uważałem, że Zajączek wiele razy oglądał się ku mnie,

jakby śledził wrażeń z mej twarzy... Nie wiedziałem zaprawdę, co czynić, lecz cześć moja dla Kościuszki i pojęcia, jakie miałem o sprawie narodowej — wstrętliwemi czyniły mi te mowy, byłem zgorszony i oburzony. Czułem, że wpadłem wśród ludzi, którzy zamach knuli, może w najlepszym zamiarze, ale zbrodniczy i nieochybnie najszkodliwszy, bo ohydny a ocalić nas nie mogący.

W naturze naszej naówczas mniej było namiętnych i dzikich rewolucyjnych żywiołów, niżeli później wyrosło — można było lud zburzyć i na chwilę i chęć zemsty w nim obudzić, lecz pragnienia krwi i okrucieństwa nikt mu wszczepić nie był zdolny. Zdolniejsi byliśmy zostać ofiarami niż mistrzami. Wszyscy ci, co chcieli Polskę zbawiać naśladownictwem Francyi, ślepi byli na różnicę charakteru i położenia.

Teroryzm u nas mógł na chwilę przerazić, nazajutrz byłby oburzył i zniechęcił. Nie mieliśmy materyałów czynnych ani biernych do niego.

Na pół już tylko słuchając narad i rozpraw długich i krytyki rozporządzeń wojennych Naczelnika, dumałem, co począć dalej.

Wypadek dał mi wpaść na wątek spisku przeciwko Kościuszce, jeżeli jeszcze nie zupełnie zorganizowanego, to już się zawiązującego... ważyłem się z sumieniem mojem, co mam czynić. Ani zdradzić tych, co mi zaufali, nie godziło mi się, ani milczeniem zbyć zarzutów, czynionych Kościuszce.

Po Zajączku mówił znowu Taszycki, na ostatek Kołłątaj.

— Com powiadał Wam — odezwał się, to powtarzam, nikt lepiej nie zna poczciwego ale nieudolnego pana Tadeusza odemnie.... Niezliczone popełnił błędy, panuje nad nim, kto chce.... prowadzi, go na pasku.... Wielhorscy, ks. Józef, Mokronoski, ci u niego najwięcej miru mają... ja, Zajączek... i całe nasze gorętsze stronnictwo podaniśmy w ohydę. — Cóż robić? musimy do czasu cierpieć.....

Znowu ks. Majer począł gwałtownie nalegać, że czasu tracić się nie godziło... że on był najdroższym

— aż wyrwał się oficerzyna nieznany z za stołu... począł bluźnić przeciwko Kościuszce.

— Ani wódz, ani mąż stanu — rzekł, a do tego słaby i uparty... precz z nim! i z całą tą klika.. innych nam ludzi potrzeba....

Nie mogąc dotrwać dłużej... chwyciłem się z za stołu....

— Jeśli mi wolno przemówić?... spytałem Zajączka....

— I owszem, dla czegoż nie — rzekł generał. Wszystkich oczy zwróciły się ku mnie, widziałem, jak jedni drugich pytali, kto byłem.

Biło mi serce... przemożem obawę i wstyd, jakich każdy doświadcza, mówiący po raz pierwszy w liczniejszym zgromadzeniu.

— Nie mam może prawa ani z wieku ani z położenia odzywać się ze zdaniem mojem, rzekłem — trudno mi jednak powściągnąć uczucie moje. Z całym narodem podzielałem cześć i uwielbienie dla Naczelnika. W jego osobie dziś naród cały, bo nikt nad niego nie ma większego zaufania, większej siły i potęgi. Któż go zastąpić potrafi ?...

Gdyby geniuszu nie miał nawet, nagrodzi go w nim cnota i prawość....

Łatwo jest przyganiać mu, lecz któżby na jego miejscu zwyciężył pod Raławicami, Szczekocinami i tu pod Warszawą, za kimby poszły tłumy....

Jego imię więcej znaczy niż armia.... Kościuszko jest tem właśnie mężem stanu, iż namiętnością, zemstą, surowością owładnąć się nie daje. Umiarkowanym być musi. Przecież nie zaprzeczył sądowi na zdrajców... a że samowola go oburzała, toż nigdy jak czasu rewolucyi karność potrzebna. Nie bronię ja złych... ale oni, choćby przebaczenie otrzymali, szkodliwymi być nie mogą... krwią się

zmazując nie podźwigniemy.

Mówiłem z zapalem, lecz znać nie dosyć silnych użyłem argumentów, bym przytomnych mógł nie tylko przekonać — lecz zachwiać... Ruszano ramionami, Zajączek się krzywił, Kołłątaj niecierpliwie rzucał... inni sykali, nakoniec ks. Majer zażywszy tabaki zwrócił się do mnie i pedagogicznym ruchem ręki mi przerwał...

— Dosyć, panie oficerze... et caetera, et caetera... znane rzeczy, argumenta i dokumenta... nie trudźcie się. — Po cóżeście tu przyszli, jeśli wam się zda, że rzeczy idą dobrze. Zdrowy do apteki nie powinien zaglądać. — Zajączek się odezwał:

— W całym sobie inaczej wnosił po pańskim patryotyzmie — rzekł.

— Ja mój patryotyzm dziś, odezwałem się, zasadzam na posłuszeństwie i gotowości poświęcenia życia.

Myślałem, że będziemy radzili, z kąd wziąć pieniędzy, butów i mundurów dla wojska, broni dla ochotników... ale bunt podnosić....

— Co za bunt? ofuknął Zajączek — w wolnym narodzie każdy obywatel ma prawo sądzić czynności mandataryuszów swoich; Kościuszko jest przecie niczem innym jak mandataryuszem naszym...

Wyszedłem z za stołu powoli:

— Zdaje mi się, że ja tu niepotrzebny — odezwałem się.

Oficerzyna nieznamy, który mówił niedawno zapalczywie a nie do rzeczy — znać na skinienie Zajączka czy kogo innego — porwał mnie za rękę...

— Za pozwoleniem, rzekł groźnie — iść sobie asinziej możesz, kiedy mu republikańska wolność śmierdzi, ale pamiętać powinienes, że to tu jak w szkole... choćby cię pieczono i smażono w smole...

Uśmiechnąłem się wzgardliwie.

— Nikt mnie do sekretu nie zobowiązywał — odparłem.

— Ale ja szanownemu koledze mam honor oznajmić — dodał oficerzyna, że, jak mi słówko piśniesz o dzisiejszym wieczorku... kulą w łeb.

— Mości kolego — zawołałem — ja też pono strzelać umiem...

Spojrzelismy po sobie z gniewem, który ledwie pohamowałem...

— Cicho! dosyć! sza! — rzekł Zajączek — pana Syrucia znam... honorowi jego wierzę, daj waćpan pokój pogrożkom...

Skłoniłem się i ruszyłem do drzwi.

Strzelbicki nie mówiąc nic poszedł za mną.. Ledwie się za nami drzwi od refektarza zamknęły, usłyszeliśmy w nim straszny hałas i żywa kłótnią... a nim doszliśmy do furty, oficerzyna wybiegł w chęci znać dogonienia mnie... Rozpędził się tak, iż ledwie się mógł powstrzymać.

— Panie Syruc — zawołał — albo mi dasz tu najświętsze słowo, że milczeć będziesz, lub... będę zmuszony...

— Do czego pan będziesz zmuszony? — zapytałem.

— Kulka nie minie! kulka! — zawołał spieszenie... strzelam jaskółki, to i lisa trafię.

— Nie byłem nigdy porywczym, dodałem z powagą, — ani sądzę, żeby lis był bardzo w świecie zwierząt niegodziwą figurą — ale są takie chwile w życia, że człowiek się rozpali, rozmacha i nie wie, co robi...

Dałem oficerzynie w twarz...

Strzelbicki, gdy się na mnie chciał rzucić, odepchnął go, do muru przyparł i przytrzymał a był silny bardzo.

— Ty... łotrze jakiś... krzyczał oficer — jutro na plac... jutro do dnia...

— Dziś, kiedy chcesz, rzekłem — służę... Odstąpiłem parę kroków — Strzelbicki umówił się o miejsce... wyszliśmy.

Ochłonałem na świeżem powietrzu, a było nieco wieczorem zimno.

— Spodziewam się, rzekłem do Strzelbiekiego, żeś się o nazwisko spytał?

— Nazywa się Miller — odparł mój towarzysz, a no Millerów, Szulców, Sznajdrów, Majerów i Szmitów tylu u nas jest, że tak samo, jakby nazwiska nie dał żadnego...

Gdzie służył? jaki miał mundur? nie rozpatrzyliśmy się tak bardzo. Potrzebowałem przecież wiedzieć, z kim się bić będę, a że ów Miller miał ca skroni znamię czerwone, które włosami nieco przykrywał —

spodziewałem się po niem przynajmniej coś się dopytać.

Poszliśmy ze Strzelbickim na ratusz, spodziewając się tam kogoś znaleźć i dostać języka... Niemal w progu jak na szczęście trafił się serdeczny pułkownik Kiliński.

Zatrzymałem go, bo pamięć miał wielką i ludzi znał bez liku.

— Mam awanturę, kochany pułkowniku, odezwałem się, najgorszą rzecz, że człeka tego nie znam. — Kosi jakiś mundur a zowie się Miller... nie powiecie wy mi co o nim?

Kiliński wąsa kręcił milczący.

— Otóż to tak — mruknął po chwili — pewnie awantura o dziewczynę, bo to wy wszyscy tacy! Ojczyzna ginie a wy smalicie cholewki.

— Jako żywo!

— A o cóż poszło?

Strzelbicki wtrącił, że musiał być napiły i nic do rzeczy plótł.

— Miller! — rzeki Kiliński — znam szewca Millera, znam krawca Millera, jest kowal Miller na Solcu... djabeł go wie...

— Ale wojskowego, wojskowego — wtrąciłem... ze znamieniem czerwonym na skroni...

— Eh! eh! mały człeczyna! nie poczesny! kosmykiem plamę zasłania... No! no! to ten Miller...

— Nie inny, rzekłem.

— Tego to dawno należało powiesić — odezwał się Kiliński — mam go za moskiewskiego szpiega... podejrzana figura...

— To nie może być! przerwałem... znaleźliśmy go w towarzystwie bardzo patryotycznym.

— No to co ? rzekł Kiliński, wąchał... ja ich znam... wąchał. Jeżeli to ten Miller, co myślę, możecie iść spać spokojnie, jutro dmuchnie a nie wyjdzie... Miał już nie jedną awanturę, po każdej nurka dawał... Strzelać się nie sędzę, żeby chciał... a no... po nocach chodząc trzeba być ostrożnym. Z za węgła może poczęstować...

Zdało się nam obu, że pan pułkownik przesadzał...

Strzelbicki mnie odprowadził do domu i zanocował u mnie. O świcie byliśmy na Bielanach w umówionem miejscu, czekaliśmy do godziny jedenastej, ostrzelali plac i powrócili. Millera ani znaku...

W mieście też dowiedzieć się o niego nigdzie nie było podobna... Naśmialiśmy się nazajutrz tylko i na tem się skończyło.

Tak mi czas schodził w Warszawie.... Z każdym dniem jednak mimo patryotycznego ducha czuć było mocniej, że wysiłek całego narodu ledwie podola obronie rozpaczliwej. — Położenie stolicy z każdym dniem było trudniejszym; w istocie, jeśli nie głód, bo tego nie doznaliśmy, to wielki niedostatek żywności czuć się dawał. Dowóz był niedostateczny.... Lazarety pełne chorych, ochotnik z lichą bronią, brak amunicji, brak grosza... czuli wszyscy. Papierki kursujące nie wzbudzały wielkiego zaufania, choć się na nich pisał Kościuszko. Płynęły wprawdzie ofiary, które dzienniki

ogłaszały, lecz te na ogromne potrzeby wojsk starczyć nie mogły; Kościuszko zmuszony był zezwolić na zasekwestrowanie depozytowych sum i kosztowności....

Musiano powołać ludzi po jednym z dymów dziesięciu....

Dla obudzenia ostygającego ducha Bogusławskiemu oddano teatr, zalecając, by patryotycznymi sztukami starał się go utrzymywać. — Po kościołach mieszczanie i duchowieństwo paradnymi nabożeństwami za poległych przypominali obowiązki względem kraju. — Wszystko to nadaremne było przy jego wycieńczeniu, znużeniu i wyczerpujących ofiarach, jakie zeń wojska obce wycisnęły....

Niepokój zaczynał owładać Warszawą. Nie mieszałem się już do żadnych narad, lecz mogłem bodaj ulicą przechodząc widzieć — jak lud się trwożył i upadał... i jak w miarę tego zamek i partya królewska nieznacznie wprawdzie głowę podnosiła i wpływ odzyskiwała.

Kościuszko się wcale nie pokazywał w Warszawie; raz podobno ulicami przejechał i trzymał się obozu swego pod Mokotowem, z kądem czynił po cichu wycieczki.

Wiedzieliśmy wszyscy, iż Fersen i Suworow krocza ku Warszawie, aleśmy mieli nadzieję, że ich nasze wojska, wysłane przez Naczelnika powstrzymać potrafią....

W pierwszych dniach października, chociaż jeszcze z trudnością chodzić mogłem i rękę miałem bezwładną" pojechałem do Kościuszki do Mokotowa, aby się wprosić do czynniejszej jakiej służby.

Uderzyła mnie nowa zmiana twarzy jego i humoru... Po zwycięztwach nad Prusakami odniesionych był swobodnej myśli i rzeźkim, uśmiechał się często i rubacznie z nas podżartowywał. Gdy teraz zjawił się przed domkiem, który zajmował, znalazłem go zamyślonym, chmurnym, zniecierpliwionym, jakimś do niepoznania. Wziąłem to za chwilowe jakieś wrażenie, ale mi znajomi powiedzieli po cichu, że od dni kilkunastu innym go nie widywali.

Zobaczywszy mnie, poznawszy, poklepał po zdrowem ramieniu, chciał mi się niby uśmiechnąć, skrzywił usta i westchnął....

— Ale cóż z twoją ręką? możesz ty ją podnieść? zapytał.

— Mogę, chociaż tylko ją ale nie nią podnieść — rzekłem.

— To siedźże w Warszawie i bądź mieszczan instruktorem. Mężni to są ludzie, ale chodzą jak niedźwiedzie.

Ledwie tych kilka słów miałem szczęście posłyszeć od niego, bo mu chwili pokoju nie dawano. Z Warszawy toczyły się powozy, przyjeżdżali konni przez cały dzień, często nie bardzo potrzebnie trując czas Naczelnikowi. Ani zjeść, ani spocząć, ani popracować nie mógł swobodnie. Gdy mu to dokuczyło, siadał na koń i ruszał oglądać wojsko, aby gdzieś kątek spokojny znaleźć.

Namiot i dworek nieustannie były otoczone. Damy, panowie, duchowni, z podarkami, z prośbami, z instancjami, od świtu do nocy się mieniali — Kościuszko radził, pozbywał się, wymykał... a męczył okrutnie.

Nie zbywało na raportach sekretnych najrozmaitszych i znać jeden z nich musiał czynić o mnie wzmiankę bo w pół godziny po pierwszej rozmowie przysłał po mnie Niemcewicz, abym do szafasu przyszedł.

Znalazłem jego i Kościuszkę, który z rękami w tył założonemi przechadzał się niespokojnie.

— Ale, ale — odezwał się Naczelnik — plotki tu różne chodzą, panie Syruc, byłeś asińdziej kiedy na jakim zgromadzeniu u Kapucynów?

Zdziwiłem się niezmiernie, ałem zrazu milczał.

Niemcewicz się rozśmiał. — Nie trwóż się, rzekł, nikogo nie zdradzisz, Strzelbicki wygadał wszystko, ująłeś się za Naczelnika.

— Bóg zapłać — dodał Kościuszko — ale powiedz mi — seryo tam tak się bardzo na mnie odgrażają, i spiskują?

Nie mógłm zaprzeczyć, że doniesienia były prawdziwe. Kościuszko i Niemcewicz spojrzeli po sobie znacząco.

— Nie ma, rzekł pan Ursyn, tak głupich ludzi, ani tak błahej rzeczy, z którejby się czegoś nauczyć nie można. Ci Ichmość mogliby panu jenerałowi poddać myśl użycia ich własnego przeciwko nim systemu.

Kościuszko nic nie mówiąc, chodził chmurny.... Znać było po nim zniechęcenie i zniecierpliwienie.

Wciągnięty w rozmowę przez Niemcewicza, opowiedziałem, com słyszał, nie mógłm taić zamachów.

— Cały rozum w jednym, zawołał — poczciwy Korsak kiedyś na sejmie powtarzał — Wojsko i pieniądze, wojsko i pieniądze... my musimy dziś wołać tylko — Bić się, bić się i bić się.... Reszta na nic się nie zdała... Zwycięstwo nas wszystkich wyleczy... a jeśli nam go nie da Opatrzność, padniemy z chwałą.

Ostatnie to były wyrazy, które z ust jego słyszałem, kazał mi wracać jako instruktorowi do stolicy, która wprędce bronić się — jak już wówczas przewidywano, potrzebowała... pożegnałem go z rozrzewnieniem, jakie we mnie stan jego obudzał.

Wróciwszy zająłem się poleconym mi obowiązkiem... Kiliński pomagał mi radą i czynem... Nie można zaprzeczyć, że mieszczaństwo i rzemieślnicy szli bardzo ochotnie... Pierwszych dni zaraz... wśród ludzi poznałem narzeczonego Juty... pana Michała. Musiał i on przypomnieć sobie twarz moją, gdyż się przybliżył do mnie dla przywitania... Nie wiedział tak dalece co mówić... ja nie śmiałem pytać go o nic.. Kiliński, który był temu przytomnym, zaśmiał się zbliżając do niego.

— A kiedyż weselisko? zapytał — bo jużci nie teraz, kiedy koło okopów stać trzeba... byłoby, ożeniwszy się, jeszcze markotniej.

— Gdzie jeszcze do wesela — odparł Michał... a żałoba... Ruszył ramionami.

Jakoś mi się lżej zrobiło.

— Pan porucznik nie wiesz może, dodał chętnie podżartowujący pułkownik, że to jest narieczony panny Juty Wawerskiej, dobrej pańskiej znajomej... przez którą naówczas chodziły papiery do mnie, gdy ich żadna żywa dusza nosić się nie ważyła... piękna, śmiała i do rzeczy panienka.

Michał się zarumienił i oczy spuścił.

— Będiesz miał, da Bóg, taką żonę, której ci wielu pozazdrości — mówił stary... trzeba się tylko na okopach popisać, byś jej był wart...

— To się rozumie — odezwał się Michał ponuro...

Na tem rozmowa się skończyła... i pan Michał nam znikł...

Dnia 12 października, na zawsze mi pamiętnego... wstałem był ledwie i zbierałem się zejść do

Mańkiewicz... gdy mnie chłopak jego zadyszany, bez pamięci przybiegł wołać co prędzej.

— Co się stało? — spytałem go — co ci jest?

— A! panie I jakieś wielkie nieszczęście — ja nic nie wiem... oboje państwo płaczą i ręce łamią.

Zbiegłem piorunem na dół. Tu w istocie zastałem starych we łzach i trwodze... Nie mogli mówić z razu...

— Wszystko stracone! odezwał się w końcu Mańkiewicz szlochając — wszystko stracone... jesteśmy pobici na głowę... Poniński zdradził, Kościuszko wzięty w niewolę, nie mamy wojska! nie mamy generałów, zgubiliśmy...

Oburzyłem się na te słowa. — Ale to fałsz, to być nie może! to bałamuctwo...

Biegnę, dowiem się, nie wierzę...

Porwałem czapkę i wyszedłem na ulicę. Tu poznać już było można po trwodze całej ludności, po niespokojnych poruszeniach i wykrzykach, gromadzeniu się tłumów... iż coś stać się musiało nadzwyczajnego...

Na ratusz zjeżdżała się Rada...

W twarzach odmalowana była rozpacz i niepokój... Wstrzymałem jednego z idących, prosząc na miłość Boga, aby mi powiedział, co się stało... Wziął mnie na bok do kąta.

— Nie trzeba trwogi siać między naród — odezwał się — nie trzeba powtarzać, zmniejszać kieskę nie powiększać... Pozawczoraj Kościuszko wydał bitwę Fersenowi pod Maciejowicami... Przegraliśmy na głowę. Wasz pułk... Działyńskich, jak stał, tak legł na placu cały... Kościuszko, Sierakowski, Kniaziewicz, Kopeć, Fiszer, Niemcewicz ranni i pobrani w niewolę. Naczelnik ledwie z życiem wyszedł, cięty w głowę i pokłuty lancami...

Załamaliśmy ręce oba... Stałem' jak piorunem rażony.

Wszystko było skończonem dla nas, czuliśmy to, z wzięciem Kościuszki...

To wrażenie na całym ludzie uczyniła nieszczęsna wiadomość... płakali, stojąc w ulicach, łamiąc ręce, bijąc głowami o ściany. Nigdy tak strasznej i ogólnej boleści nie widziałem jak dnia tego. Kobiety biegly do kościołów, mężczyźni szli nie wiedząc, gdzie idą, pytali i nie rozumieli odpowiedzi.... jeden wyraz słyhać było powtarzający się wszędzie...

— Kościuszko wzięty... Kościuszko w niewoli!... Straciliśmy Naczelnika!

W tej godzinie dopiero mógł poznać każdy, jak dalece naród cały wcielił w niego swe nadzieje, jak ten człowiek był mężem przeznaczenia... Nieprzyjaciele jego mogli się przekonać naówczas, jaka posiadał potęgę ten człowiek, po którym teraz płakała i rozpaczała cała Polska...

Było coś nadzwyczaj rozrzewniającego w tym obrazie Warszawy owdowiałej. Nikt nie czuł przytomności króla na zamku... Kościuszkę na czele wojsk czuli wszyscy i on był prawdziwym królem tej godziny ostatniej... nie ziszczonych nadziei.

Poruszenie w mieście było tak wielkie, jak gdyby nieprzyjaciel miał natychmiast podstąpić pod Warszawę. Potrzeba było wysiłków nadzwyczajnych ze strony osłabłego rządu, aby odrobinę ducha wlać w to ciało pozbawione głowy. Miotał się ten kadłub... jak konający na rusztowaniu...

W stanowczym tym momencie sędzę, że partya rewolucyjna usilnie pragnęła chwycić wodze rządu w swe ręce, gdy rozgłoszono wolę Kościuszki, przekaz jego oddający dowództwo Wawrzeckiemu.

Na zacnym ale' bezbarwnym Wawrzeckim, który płacząc wymawiał się od czci i brzemienia tak ciężkiej odpowiedzialności — budowali pono nadzieje i umiarkowani i gorący... Spełżyły wszystkie na niczem...

Od tego dnia myśli, prace, ofiary zwrócone zostały wszystkie ku obronie Warszawy... Dowiedzieliśmy się natychmiast, że siły nasze rozproszone co najprędzej powołano ku stolicy... Tegoż dnia lud niecierpliw sypał się do okopów na Pragę.

Ale nie były to już te wesołe gromady pełnych nadziei ludzi... były to strwożone tłumy, które nie wiedziały prawie, dokąd szły i co czynić miały.

Cały ten dzień spędziłem z innymi w gorączce, w niepokoju... w nieopisanym chaosie jakichś przygotowań bezładnych.

Potraciliśmy głowy, czuliśmy serca tylko po bólu, ! jaki je ścisnął, nikt pewnie o sobie nie myślał — zapomniano choć na krótko niechęci i nieufności wzajemnych, kupili się wszyscy... Co począć? jak się ratować?...

Opisy i opowiadania o tej bitwie nieszczęśliwej krążyły najdziwniejsze, przesadne... nie ulegało jednak wątpliwości, że Kościuszko ranny został i wzięty.

Pod wieczór już spotkałem dawnego znajomego, którego Moskale na słowo puścili do Warszawy, aby potrzebne dla naszych generałów rzeczy przywiózł... Od niego dowiedziałem się szczegółów... klęska Sierakowskiego pod Brześciem, niepowodzenie Poniuskiego, który zapobiedz nie mógł przejściu Fersena przez Wisłę, były pobudkami, dla których Kościuszko postanowił ostatnim wysiłkiem zaprzecć drogę Moskałom ciągnącym na Warszawę... Nieszczęście chciało, że Poniński, któremu dano rozkaz jak najpospieszniejszego przybycia pod Maciejowice, na czas znowu nie nadcią-

O godzinie piątej z rana rozpoczął się bój zażarty od ognia działowego z obu stron, nierównego, bo artylerja rosyjska nieskończenie była silniejszą.

Denisow zajął tę pozycją, którą Poniński miał osadzić...

Kościuszko widząc, że wojsko naciskowi nieprzyjaciela podołać nie może, rzucił się na czele ostatniego oddziału, szukając śmierci... Rannego i bezprzytomnego, bo ciętego w głowę, kozacy byliby dobili, gdyby go wypadkiem nie poznano...

Cóż to za radość była i Fersena i całego jego sztabu, gdy pochwycili człowieka, który jeden ich trwogą nabawiał.

Padł niemal cały pułk Działyńskiego, tak iż, gdzie stał, po szeregu mundurów poznać było można trupy walecznych, co zginęli nie cofnąwszy kroku... Pułk Czapskich, prowadzony przez Krzyckiego, dokazywał cudów... Krzycki dowodził nim z odwagą i zimną krwią, która go odznaczała. Wśród bitwy kartacz strzaskał mu szczękę, tak iż upadł z konia zemdlony, zerwał się jednak i rwał się na siodło, aby do ostatniego tchu spełnić powinność. Ale już na nogach utrzymać się nie mógł... Miał tylko czas miniaturę, którą no sił na piersiach, oddać jednemu z towarzyszków... Wkrótce potem dobili go kozacy.

Żal po stracie Kościuszki i miłość dla niego powszechna wyraziły się w pierwszych chwilach zaraz.

uchwała umieszczenia jego wizerunku w sali posiedzeń Rady, ofiarami dla niego, gotowością oddania wszystkich jeńców rosyjskich za tego jednego człowieka, który nam stał za tysiące.

Ale właśnie dla tego wydać go Moskale nie chcieli.. Fersen tryumfował.

Przez cały ten dzień osłupienie nie dozwalało nic przedsiębrać, oczekiwano na nowego naczelnika, rozesłano rozkazy do Mokronoskiego, Jasińskiego, Dąbrowskiego, ażeby co najprędzej ciągnęli na obronę miasta.

Na umysłach jednych rozpacz wywarta wrażenie odrętwiające, w drugich wywołała niecierpliwość użycia wszelkich środków ku obronie — nie było komu kierować... ani podnieść umysłów, narzekali wszyscy... szukano win i błędów...

Spotkałem Kilińskiego z posępna twarzą, stojącego na Krakowskim i patrzącego na Pragę.

— Dawno ją trzeba było warować, zawołał, jak skorośmy wiedzieli, że się Moskale w kupę zbijają... czemu i teraz nic się nie robi ? Wszędzie nieład i nieporządek ! zginąć przyjdzie! zginąć

Ojczyźnie i nam I wszystkie ofiary marne... Żołnierz marzył nieodziany i bosy... choć Kościuszko kozuchów i butów dosyć narobić- kazał... nie płacili mu, choć srebra dosyć leżało w mennicy z kościołów pozabieranego... Pułkownicy rwali, jak się który uwinął...

Rzucił ręką. — Teraz, gdy i Kościuszki nie stało, co jeden serce miał i głowę — cóż tu ma być!

— Pułkowniku, zawołałem... musimy się bronić, pójdziemy do ostatniego na okopy...

— Ale idźże, zobacz naprzód te kretowiska, co je okopami nazywają! zawołał Kiliński — i odszedł...

Następny dzień Radzie dozwolił oprzytomniejszy przedsiębrać lepsze środki obrony, miasto zaś więcej na duchu upadło niż wczoraj a z każdą godziną zwiększał się popłoch powszechny.

Wprawdzie odbierano wiadomości o zbliżaniu się Dąbrowskiego, o Szczęśliwym spotkaniu ks. Józefa z Niemcami, ale zarazem zwiększone powieści o potędze moskiewskiej ciągnącej wprost na stolicę — przerażały...

Po kilku dniach nieczynności rzuciło się, co żyło, sypać okopy i gotować rozpaczliwa obronę od strony Pragi.

Ale jakże różne teraz były usposobienia, twarze, fizyognomie tego ludu, który bez nadziei zwycięstwa pełnił milcząc ostatni obowiązek. Milczący szli gromadami ludzie, ze zgasłym wzrokiem, znekani, często głodni i wyziębli... Kierunek robót był nie dość energiczny... Ręce odrywano to do późnego eksercerunku, to do różnych pilnych potrzeb lazaretów i składów... szło to marudnie, słabo — a że dni były krótkie... pora szkaradna, postępu nie widać było.

Jednego z tych dni, gdym pilnował robotników na Pradze, bo mi się już nieczynnym być nie godziło... z wielkiem zdumieniem postrzegłem obwiniętą w chustkę czarną Jutę, popychającą taczkę w milczeniu...

Twarz jej zmienioną była do nie poznania, oczy zgasłe, powieki zciemniałe, policzki zapadłe jakby po ciężkiej chorobie — przeraziły mnie. Drżała z zimna, zadumana popychała tę odrobinę zmarzłej grudy, którą słabe jej ręce dźwignąć mogły... Nie była to już owa wesoła zabawka pierwszych dni kwietniowych, ale grabarza robota przy mogile... Podbiegłem ku niej zdumiony i wzruszony...

— Co wy tu robicie? zawołałem, co wy tu pomódc możecie nam? a jak sobie zaszkodzić łatwo...

Mówiłem to prawie z gniewem.

Nie rychło podniosła głowę i. posłyszała.

— Tuśmy dziś wszyscy być powinni — rzekła ponuro, nie witając się ze mną — kto nie pracuje rękami, to przykładem służy... Ja nie odejdę ani dziś ani jutro... ani do końca... ani w dzień bitwy... Wszyscy tu być powinniśmy i tu zginąć... jeśli już tylko zginąć nam pozostało...

Nie miałem co odpowiedzieć na to z początku...

— Tak — rzekłem po chwili — służba jest obowiązkiem świętym — lecz należy ją wybrać tak, aby była skuteczna. Tu wasz przykład nikogo nie pociągnie... po lazaretach nie ma usługi rannym brak szarpi i bandażów... tam miejsce dla Sióstr miłosierdzia...

— Ja mam dość siły — zawołała — żeby tu zastąpić rannych naszych i poległych, rak jest mało... W tej chwili niebezpieczeństwa wysiedzieć w murach nie potrafiła zamknięta — chce być tam, gdzie się nasze rozstrzygną losy.... Dujcie mi co robić....

To mówiąc rzuciła taczkę..

— Weźcie na siebie karmienie głodnych, to lepiej, odpowiedziałem jej — ludzie po całych dniach nic nie mają, i siły tracą.

Chciałem ją w ten sposób przynajmniej oderwać od niepotrzebnego wysiłku...

Z twarzy czytałem... wyniszczenie, chorobę, gorączkę...

— Na Boga — rzekłem zbliżając się — posłuchajcie mnie... jesteście chorzy...

— Ja? nie! jestem nieszczęśliwą jak wszyscy — tych kilka dni mnie zniszczyły. W taką przepaść bezdenną i niewolę znowu iść na wieki!! — dodała płacząc...

— Lecz my się jeszcze obronić możemy! przerwałem.

— Nie — zaprzeczyła — my tylko umrzeć możemy godnie Polski i bohatersko...

Patrz pan... zwierzęta i ludzie mają przeczucia... — rzuć okiem na te twarze... posłuchaj mowy... ani jeden człowiek nie ma nadziei... ponure wejrzenia... westchnienia słyhać i jęk...

Tak było w istocie — żadna siła natchnąć już nie mogła wiarą w przyszłość...

Tego dnia potrafiłem skłonić Jutę, aby wróciła do domu; była tak osłabła, że gdym znalazłszy wózek pomagał jej wsiąść, padła nań złamana znużeniem. — Nazajutrz jednak znalazłem ją tu znowu przybywającą z żywnością dla ludzi, chlebem, wódką i mięsiwem, które poczęła rozdawać między zgłodniałych robotników. Nie pytałem jej, z kąd wzięła te zapasy, byłem bowiem pewny i tak się okazało później, że je z własnego kupiła grosza. Około południa nadbiegł jej na- rzeczony, chcąc ją jakimkolwiek sposobem odwieść ztąd i uprosić, aby chora spoczęła w domu.

Odprawiła go łagodnie ale stanowczo, zapowiadając mu, że obowiązek spełnia. Miało to ten skutek, że Michał też poszedł do sypania okopów.

Z każdym dniem robota dla chłodu i pory brzydkiej stawała się trudniejszą. Na prędcy, słabo i niedostatecznie oszańcowano Saską, kępę i kawał Pragi. Wiele można było zapewne rachować na rozpaczliwą obronę żołnierza i mieszkańców, lecz każdy inżynier łatwo mógł osądzić, iż to, cośmy do końca października przez tych parę niedziel zrobić mogli, było nic nie znaczącem i dla nieprzyjaciela, któregośmy mieli przeciwko sobie, igraszką.

Widzieli to wszyscy — rozumiał to pewnie Zajączek i Jasiński i inni; nikt nie mówił słowa, bo nie było w naszej mocy uczynić inaczej.

Spełniliśmy obowiązek... — Bóg miał dokonać reszty...

Warszawa wystawiała obraz smutku i trwogi zwiększającej się z dniem każdym.

Wysiłki tych, którzy w pomoc jeszcze chcieli wezwać teroryzm, już były zapóźne... paraliżowała je większość ludzi przeciwna daremnemu rzucaniu się do gwałtów, któreby powieść się nie mogły.

W miarę, jak partya patryotyczna traciła siły a rewolucyjna przekonywała, iż nie znajdzie poparcia, na zamku wracało wyraźniej coraz życie, nadzieja, czynność.... Król z ostrożnością ale się zaczynał odzywać i poruszać.... Rodzina jego nie tała się z tem już przed zaufanymi, że przebywszy dni trwogi spodziewała znaleźć opiekę u dawniej znajomych i przyjaznych Moskali. Karety zajeżdżały na zamek, ludniej zrobiło się tu znowu....

W dali za Pragą dymiły zgliszczka kilku wiosek spalonych, po ulicach ciągnęły wozy ciężkie, wojsko przesuwało się ku Pradze, budowano drugi most na Wiśle _____

Na wybrzeżach ruch był wielki, ale ruch z musu nakazany, nie chętny, niemy. Postacie jakieś nieznane snuły się wśród tłumów i czyniły wrażenie obcych, nieprzyjaznych... wypatrujących nasze nieszczęście ludzi....

O Suworowie, który ciągnął pod Warszawę, opowiadano już ostatnich dni października dziwne szczegóły życia i charakteru.... Znanym był z dzikości i szałów, któremi bawił żołnierzy... surowym bez miary... pół obłąkanym słyhał od Izmałowa.

Z trzeciego na czwarty listopada wojska nasze stały w okopach na Pradze... byłem z niemi.... Jeszcze na brzask się nie brało, gdy działa się odezwały i kłaść nas zaczęły źle osłoniętych... bezbronnych prawie....

Ogień był straszny.... Poprzedziło go kilka rakiet puszczonej z pod Radzimina.... Wśród trzasku strzałów bernardyński dzwonek wołał na modlitwę.

O szóstej rozpoczęty bój... skończył się niemal o ósmej.... Z prawej strony od koszar gwardyi nad

Wisłą wdarli się Suworowscy naprzód na Pragę, zaczęli palić domy... i mordować ludzi.... Tu najmniej może spodziewano się ich napadu.... Przy rogatek Grochowskich stojący Jasiński bronił się mężnie jak lew i padł zabity.

Obrona nasza była krótką... nawała Moskali złamała, zgmiotła... obaliła garść mężnych, dzieci nieszczęśliwej Polski.

Straciliśmy przytomność wszyscy; kapitan Bars, który stał przy rogatce u mostu, nie puszczał chcących się ratować ku Warszawie.... Walcząc i odcinając się z garścią żołnierza, obłąkanemi oczyma patrzałem na ten obraz piekła, jaki przedstawiało zdobyte przedmieście. Któż go odmalować potrafi?... Ogień obejmujący domy, walące się z łoskotem, rozjuszone żołdactwo, mordujące starców, kobiety, niemowlęta, pastwiące się i urągające.... zakonnicy i zakonnice wychodzące z krzyżem kłóci spisami.... jęki konających, śmiechy dziczy... ogień... śmierć.

To był ostatni widok, na który zamknęły się powieki... kula przeszła mi piersi... padłem... czułem jeszcze obalające się na mnie ciało żołnierza zabitego obok... słyszałem chwilę jęk i wrzawę... potem czarna noc i milczenie....

Z uczuciem palącego pragnienia i zeszlęmi usty obudziłem się... otrzeźwiony z długiego letargu chłodem nocy.... Byłem nagi prawie, osłaniał mnie tylko trup, który na nogach i biodrach ciążył.... Z ciężkością otworzyłem oczy.... Była noc — zdala rozlegała się jakaś niezrozumiała wrzawa, dzikie śpiewy i wybuchy radosne....

Dym napełniał powietrze. Nizko po nad ziemią wśród ciemności gorzały krwawo głównie obalonych domostw.... Gdzeniegdzie poruszały się jakby cienia jakieś na pobojuwisku. Potrzebowałem czasu długo, aby sobie przypomnieć, co si. ę ze mną, działo, gdzie byłem. Zwolna wracała pamięć wypadków.

Żyłem więc... lecz zdawało mi się, że w tuj kupie zabitych, która byłem otoczony, umrzeć muszę. — Nie miałem siły ani się podźwignąć, ni ruszyć.... Jęknąc i odezwać się było to sprowadzić tylko śmierć prędsza.... Na pobojuwisku pili zwycięzcy, leżąc na trupach....

Jedna z rąk moich wolną, była, próbowałem ją podnieść, skostniała, zdrętwiała... drgnęła... i nie rychło mogłem ją poruszyć.

Dotykając, co mnie otaczało, znalazłem tylko nagie ciała.... Instynkt zmusił mnie potem uwolnić się od ciężaru uciskającego, który może uratował mi życie. Byłem słaby, jednakże rozpaczliwy wysiłek... dowiódł, że jeszcze mi zostało tyle życia, żem mógł się choć zapragnąć wydobyć....

Wydobyć?... nie miałem ani myśli, ani pojęcia, co potem pocznę, zwierzęca jakaś chęć ocalenia kierowała mną.... Z wielką trudnością potrafiłem wysliznąć się z objęć zabitego, leżącego na mnie żołnierza. Sunąc się po ziemi poczułem sukno pod sobą, był to w błoto wbity płaszcz podarty.... Siły mi wracały, niepokój ogarniał... w piersi paliła rana... kości jak pogruchotane bolały, ale ból zwiastował resztkę życia.... Przejmujące zimno prawdziwym darem. Opatrzności uczyniło ten łachman, który znalazłem pod sobą. Leżał jednak przywalony tak ciężkim stósem ciał, iż wyrwać go z pod nich nie podołałem.

Wśród tego znoju... dolatywały mnie ciągle pie- śni zawodzących nie zbyt daleko żołnierzy.... Ognisko ich roztaczało łunę czerwona... na świetle jej... rozpoznałem pikę kozacką, z wbitem na nią dziecięciem, którego rączęta... wisały bezwładue ku ziemi. Było to godło rycerzy dnia tego.... Oślupiałem okiem patrzałem na nie długo... nim odgadnąć mogłem to okrucieństwo, chlubiące się nie ludzkim morderstwem.

Oczy powoli oswajając się poczynają z ciemnością nocy.... OJ ogniska padały blaski aż ku mnie... i oświecały plac usłany bez przerwy trupami.... Stosy ciał ludzkich, zabite konie, woły... psy... wszystko to razem wał trupi skradało.

Zwróciłem oczy na drugą stronę Wisły... na zamku były światła... miasto stało jak wymarłe... Na wodach Wisły łamały się słabo odblaski łuny pożarnej. — Oprócz śpiewu żołdaków nie słysząc było nic. — Wiatr niekiedy ślizgał się, świszcząc po ziemi i uchodził gdzieś daleko.

Powietrze pełne było zgorzelizny, w której zgadnąć tylko mogłem płonące ciała... dym włókł się po ziemi. Na niebie wśród chmur czarnych... błysła niekiedy gwiazdeczka.

Wiele rzeczy się w życiu zapomina... lecz są godziny, których obraz tak się wy piętnuje w pamięci, iż z niego ona nigdy najmniejszego szczegółu nie uroni....

Udało mi się zwlec samemu i otulić kawałem wyrwanego łachmana... siadłem na trupach... nie wiedząc, co począć z sobą.... Rozglądałem się do koła. Po za mną stał węgiel niedopalonej chaty, w której ścianie okno jeszcze sterczało.

Przez nie słaby promyk od ogniska niedalekiego aż ku mnie się wdzierał... Usłyszałem stłumione głosy ciche.... Wkrótce potem rozeznałem w nich rosyjską mowę. Byłem więc zgubionym.

Ci, co rozmawiali tak blisko, nie wesoło jakoś mieniali rzadkie słowa.... Nie byli to żołnierze... których wrzaski pijane dochodziły mnie zdala.

Na kolanach pełzając dowlokłem się pod okienko. W osłonionym od wiatru kącie spostrzegłem kilku w płaszcze poobwijanych wojskowych.... Jeden z nich leżał na ziemi... ranny znać był, drudzy krzatali się około niego. Błada twarz konającego już trupia przybrała barwę. Klęczał nad nim towarzysz i usiłował mu w usta wlać jakiś napój, którego one przyjąć nie mogły.... Dwóch jeszcze siedziało z boku. Szkliste oczy rannego... parę razy błysnęły przedśmiertnym wzrokiem i oblókły się jakby mgłą. Patrzałem osłupiały, dzieląc się z nim tem konaniem....

Ten, który klęczał przy rannym, wstał i usiadł opodal... ratunek był daremny.... Płaszczem zakryto twarz.... Uczułem w sobie w tej chwili omdlenie i osunąłem się na ścianę.

Uderzenie upadającego ciała musiało zwrócić uwagę wojskowych, poczułem bowiem wkrótce światło około powiek i, otworzywszy je z trudnością, postrzegłem zwieszzonego nademną tego samego, który przed chwilą ratował towarzysza. — Człowiek był stary z wąsem siwym, twarz miał pomarszczoną, smutną, zbolałą.

Dotknął się dłonią głowy mojej, otworzyłem oczy, spojrzałem na niego i, machinalnie odsłaniając piersi, słabym głosem rzekłem:

— Dobij...

Stary się wzdrygnął i cofnął — zawahał i wrócił szybko do swoich.

Słyszałem, jak się naradzali... los mój rozstrzygał się, był mi już obojętnym. — Wrócili we trzech wkrótce i dźwignęli pod ręce ciągnąc do chaty. Tu położyli mnie na słomie i jeden z nich zdjął płaszcz z umarłego, rzucając go na mnie. Drugi od ognia odstawił napój jakiś, — spróbował go sam i przyniósł mi do ust.

Pochwyciłem go z chciwością zwierzęcą...

Byli to owi litościwi Samarytanie, których i wśród najsroźszej dziczy czasem się spotyka...

Żaden z nich nie przemówił do mnie, zdawali się naradzać z sobą, co począć mieli. Jeden z nich wyszedł za węgiel, słyszałem go kroczącego ku brzegowi rzeki... Milczenie panowało w chacie... Wrócił jakby z daremnej wycieczki i siedli znowu u ognia i szeptali. — Niepodobnem to być może do wiary, lecz znać natura dopominała się spoczynku, bom usnął mimo niebezpieczeństwa... Słyszałem kilka razy nad sobą szept i nasłuchiwanie oddechu.

Trwało to, nie wiem, jak długo... gdym się obudził znowu, jeden tylko Samarytanin stał nademną, drugich już nie było... brzask dnia rozwidniał niebo szare...

— Wstań, jeśli możesz — odezwał się po cichu — wstań... chodź...

Byłem posłuszny... czułem się pokrzepionym..., podniosłem z wysileniem, zatoczyłem i byłbym

padł, gdyby mnie Samarytanin nie wstrzymał.

— Chodź — powtórzył.

Wlokłem się nieprzytomny. — Szliśmy, był dzień, wiatr smagał zimny... Widok straszny miałem znowu przed oczyma... coś nakształt snu gorączkowego... Iść trzeba było po trudach... stopy ziemi nie znalazłem wolnej, szukając jej, by nogą nie deptać zwłok męczeńskich... W nieładzie, obnażone, poranione, zsiniałe, krwawe leżały pospołu trupy niewiast, żołnierzy, dzieci, zwierząt... Gdziegdzie kupą się wznosiły, to rozkładały pomostem.

Z pod spalonych belek wyglądały resztki ludzi zczerniałe...

Z przestraczem zatoczyłem oczyma... jak zajrzeć, ziemia była usłana a u brzegu Wisły wznosił się niby wał ciał tych, którzy uciekali, potonęli lub w ucieczce zamordowani zostali...

Na tem pobojuwisku, jeśli je tak nazwać można, cicho było... straży nawet nie spostrzegłem... po cóż było umarłych pilnować? — Na jaśniejszem niebie szarzały mi wieże kościołów Warszawy. Szliśmy ciągle ku brzegowi. Wojskowy, który mnie wiódł, szukał czegoś oczyma... Nieopodal już stało czołno a w niem leżał człowiek.

O kilka kroków od niego Samarytanin się obejrzał za siebie i popchnął mnie ku brzegowi... Rybak leżący w czólnie podniósł się i dał mi rękę, miałem tyle siły, że padłem na dno wysłane słomą skrwawioną... Chciałem choć dłonią i słowem dziękować wybawcy mojemu, ale go już nie było...

Rybak patrzył na mnie chwilę... i poczuł robić wiosłem... Płynęliśmy ku Warszawie... W pół rzeki usłyszałem głosy i plusk wedy... niedaleko, podniosłem głowę... Od strony miasta płynęła na grzeciwno nam łódź pędzona przez kilku wioślarzy... tał na niej z rękami założonemi na piersi człowiek blady, smutny jak posąg zmartwiały. Patrzył oczyma zażawionemi na Pragę, ale nie widział nic. W twarzy jego było coś heroicznego, coś rzymskiego, powaga obudzająca cześć i zdumienie. Był to człowiek jadący dobrowolnie na stracenie...

Pognałem w nim Ignacego Potockiego... kończył, jako zakładnik oddając się w ręce Suworowa, swój zawód patryoty koronująca go ofiarą... Mimo bólu własnego zapomniałem o wszystkim, ścigając oczyma tego męża godnego dawnej Polski... żegnając go, jakby szedł na stracenie...

Łódka moja przybiła do brzegu... Gromada ludzi stała, siedziała, płakała patrząc na Pragę... Jacyś ludzie nie znani... razem prawie ze mną przywieźli czołno pełne dzieci wykupionych z rąk kozaków... Splakane, zziębłe, pół żywe, odarte sieroty tuliły się do siebie jęcząc... Wysadzano je na ląd a mieszczanie szukali wśród nich krewnych... znajomych i tulili zachodząc się od ryku...

Cały brzeg Wisły przedstawiał ten sam widok gromady jakby pokutującego ludu nad nurtami Babilońskiej rzeki... Ludzie chodzili łamiąc ręce... płacz dzieci rozlegał się straszliwie... Niektórzy stali martwi z osłupiałemi oczyma jak skamieniali... nie słysząc wołania... nie czując, że ich targano i odciągano... Mnóstwo czołen kręciło się między Pragę a Warszawą... W ulicach wszędzie było pełno ludu odrętwiałego z bólu... Ciszę nad miastem przerywał tylko dzwonek kościelny.

Gdy czołno moje do lądu przybiło, rybak wystąpił na brzeg, kilku ludzi przybiegło i schyliło się nademną... Lecz nawet bratby może nie rozpoznał w zczerniałych, wykrzywionych bólem rysach moich twarzy brata... Postrzegłem nad sobą... kilku mieszczan znajomych... Chciałem się odezwać do jednego z nich, głosu mi brakło... Naradzano się, co zrobić ze mną... Z dala mignęła mi czarna suknia kobiety, która biegła brzegiem. Była to Juta... Wyciągnąłem ręce ku niej i krzyknąłem... W tejże chwili spostrzegłem ją klęczącą przy mnie... kilku ludzi przyszło z noszami, na które mnie litościwe ręce włożyły... Słabym głosem prosiłem, aby mnie odniesiono do domu na Miodową ulicę... Juta szła przy mnie... milcząca... straszna bólem, który przeżyła... nie miała słów, aby się odezwać do mnie. Ocalone naówczas życie możnaż było nazwać szczęściem?

Aż do bramy dworku Karasia... towarzyszyła mi dodając wzrokiem męztwa... Po drodze

wybiegano z domów" zatrzymywano, litościwe ręce niosły okrycia, napój... ofiary... Płakali wszyscy... Zdało mi się, że mnie niesiono do grobu, tak ten mój orszak podobnym był do żałobnego... Niekiedy stawali znużeni ludzie, mieniali się i szli dalej... Gdyśmy stanęli u bramy... Juta podała mi rękę zimną... wyciągnąłem z trudnością z pod płaszcza skrwawioną dłoń... i widziałem, jak ten uścisk mój zostawił po sobie ślad krwi zgęstniałej na jej białym ręku. Ona popatrzała nań i okiem żegnając mnie odeszła....

Długo potrzeba było dobijać się do bramy, otwarto wreszcie, gdy z za okiennic przekonano się, że rannego tylko przyniesiono. Staruszka wybiegła, pierwsza do mnie... popatrzyła i krzyknęła.... Żyłem wprzód, lecz nie mogłem ani ja sam ani nikt z tych, co mnie widzieli, wróżyć wyzdrowienia.... Dziadkowi zdawało się, że mnie przyniesiono na to, ażeby tu skołał wygodniej. Posłano po kapucyna, aby mnie wyspowiadał.... Tymczasem krzątano się nieco, aby mi choć ulżyć cierpienia.... Zjawił się dawny mój znajomy felczer i ze strachem przystąpił do łóżka, na którym mnie złożono. Zażądano doktora, lecz tego naówczas dostać nie było podobna....

W gorączce i marzeniach spędziłem ten dzień... rzeź, trupy, Juta, bitwa, czołno i woda... noc i pożar, wszystko, com widział, com doznał, zrnęszało się w mej wyobraźni na straszny, potworny kalejdoskop. Zdawało mi się, że umarłem, że leżę w grobie i śnię o życiu.... Niekiedy porywałem się, jakby chcąc walczyć i bronić, płakałem i śmiałem się i dziecinne dni moje i dworek wiejski rodziców i gaj brzozowy, w którym biegałem chłopięciem, migwały mi w uroczym świetle majowym.

Rana moja nie była tak straszną, jak się zdawała w początkach, kula prześliznęła się po żebrach i wyszła nie nadwreżywszy nic niezbędnego do życia. Utrata krwi, zmęczenie, chłód, noc spędzona na pobojuwisku więcej może groźne sprowadzić mogły następstwa niż ona. — Ale siły młodości, dopominającej się życia są, olbrzymie — przebywszy goryczkę, osłabiony tylko czułem, że jeszcze ocaleję.

Drugiego dnia rano, gdym leżał jeszcze ledwie na pół przytomny, obudził mnie głos i rozmowa, dziwnie brzmiąca w uszach i sercu; poznałem głos Juty, której surowo i ostro odpowiadała zgorszona pani Mańkiewiczowa, nie mogąc pojąć zuchwalstwa dziewczyny jakiejś... która śmiała bezwstydnie dowiadywać się o mnie.

Spadała wina i na mnie.

— Cóż waćpannie do tego, słyshałem głos staruszki, czy on żyje czy nie żyje....

Jak się waćpanna nie wstydzisz....

— Czegóż się mam wstydzić? spokojnie odpowiedziała Juta.... Poznałam porucznika w kwietniu, razem z nim nosząc papiery, które przez nas posyłało. Mam dla niego szacunek a nie słusznie mnie pani posądza i jego, bo w tem nic nie ma, do czegobym jawnie się przyznać nie mogła.... Jestem narzeczona, wychodzę za mąż i nie możesz się pani obawiać.

Pani Mańkiewiczowa mrucała.

— Będzie zdrów, rzekła — felczer powiada, że mu tam się nic nie stanie....

. — Nie mogłabym go widzieć?

— A to po co ? po co ? zawołała Mańkiewiczowa. — Waćpanna nie doktor, a ten leży i majaczy z gorączki.

Słuchając tej rozmowy, nie mogłem się wstrzymać, dobyłem głosu i zawołałem:

— Jest mi lepiej....

Posłyszawszy te słowa, Juta prawie gwałtem wci-enęła się na próg drzwi, popatrzyła, skinęła głowa tylko, skłoniła się milczącej staruszce i odeszła.

Chociaż chorego mnie mogła się ulitować pani Mańkiewiczowa; nie przebaczyła mi tych odwiedzin... przyszła zaraz do mnie z wyrzutami.

— Co za jedna znowu, żeby się tu przeć do domu... aby acana zobaczyć.... Taż to, wstyd! nie to ta Warszawa i ta młodzież... i za to cię pan Bóg pokarał.... Pfe....

Anim się już tłumaczył, stary Mańkiewicz krzywił się nic nie mówiąc.

Tegoż dnia pod wieczór, czując się lepiej, zażądałem, aby mnie zanesiono na górę lub choćby do lazaretu....

Jejmość uczuła, dla czego to czynił, i siadła przy mojem łóżku, żeby mnie pocieszyć i rozstroić.

Nie odpowiadałem zrazu nic — ale w końcu w kilku prostych słowach wytłumaczyłem, że w stósunku tym nic nie było zdrożnego i że m słusznie się czuł dotknięty nie własną obrazą, ale pokrzywdzeniem zacnej i godnej szacunku kobiety.

— Dziękuję państwu za gościnność, odezwałem się, ale nic chcę być dla nich ani ciężarem ani zgorszeniem....

Drugiego dnia byłem prawie tak silnym, iż z pomocą dwóch ludzi mogłem się przenieść na górę. Rana goiła się szybko, siły powracały, lecz do życia nie miałem ochoty.

Co było począć z sobą?... jaka nas przyszłość czekać mogła ?...

Dowiedziawszy się o ocaleniu mojem od Juty, Kiliński... którego Wawrzecki wyprawił do Wielkopolski dla wywołania powstania i który zaraz po rzezi powrócił do miasta, przyszedł mnie odwiedzić.

Płakał biedny i połykał Izy. — Czuł on, że z innymi zapewne pójdzie podzielać więzienie.... Ostatnie chwile spędzał, narzekając na nieszczęśliwe losy Polski. Od niego się dowiedziałem, że w tych dniach miały wejść wojska rosyjskie do Warszawy.... Miasto się poddało.... Suworow traktował z królem, na zaniku żywiono nadzieję powrotu do dawnego stanu przed powstaniem.

Całe wojsko polskie oprócz dwóch set ludzi, zostawionych dla straży honorowej królowi — wyciągało z Warszawy pod dowództwem Wawrzeckiego — Kiliński stał już ze swymi pod Królikarnią i wybierał się ciągnąć do Końskich. W mieście już panowali Rosyanie. Wszyscy ci, których postawiła na czele rewolucya, uciekali za granicę lub starali się wymknąć ze stolicy.

W kilka dni potem wśród ciszy i trwogi, przy pozamykanych domach, w puste ulice miasta weszły z muzyką i rozwiniętymi chorągwiami wojska Suworowa. Zatarasowano bramy i okna dolnych mieszkań nie z dobrej woli ale z rozkazu. Sam pono dowodzący nie był pewien, aby roz hulany żołnierz nie powtórzył scen Pragi... Wojska rozciągnięte szeroko ciągnęły z wolna wszystkimi ulicami jakby dla przerażenia mieszkańców. Trwoga i smutek nie potrzebowały już rosnać, wyczerpały wszystkie siły...

Wkrótce potem dowiedziałem się o wzięciu Potockiego, Zakrzewskiego, Kapostasa i mego pocziwego przyjaciela Kilińskiego, który zdawał się, żegnając mnie, los swój przeczuwać.

Myślałem, co począć z sobą...

Warszawa, która mi była tak miłą, tak droga, tylu wspomnieniami uświęcona — stała się smutna jak cmentarz...

Zmieniło się wszystko... panami byli obcy, swei służyć im tylko musieli; co było najlepszego, rozpierzchno się lub pokutowało po więzieniach, — cośmy wśród siebie najobrzydliwszego mieli, teraz powychodziło na wierzch i natrzęsało się podle — szydersko z ogólnej niedoli. Mc smutniejszego wystawić sobie nie mżna nad te dni pokuty, które po krótkiem rozpromienieniu naszym nadeszły. Kirem i żalobą pokryło się miasto. Cisza w ulicach, smutek na twarzach, ból w sercach... Wielu wynosić się chciało... dokąd?? z pod tego żelaznego jarzma nie mieliśmy gdzie iść, chyba na wygnanie — był tylko wybór ze trojga niewoli...

Nie miałem tu co czynić, dom mnie ubogi ciągnął ku sobie — na wsi jeszcze nigdzie tak nieustannie, widomie, boleśnie, ucisk nie dosięgnął. Są chwilę, że na niebo nie przez kraty spojrzeć

można, — że się czuje swobodny wiatru powiew i śpiew wolnego ptaka i choć cudza — natury widzi swobodę. — Zdało mi się, że tam codziennego uniknę widoku obcych twarzy, gróźb, naigrwania...

Mańkiewicz także, przebywszy tu długi czas w ciągłej obawie i niepewności, — chcieli powracać na Litwę.

Warszawa była jak trumna...

Troche życia odezwało się na zamku, bo tam jeszcze Suworów z uszanowaniem jeździł a skrwawionego rzezią Pragi bohatera z brylantowym wieńcem na szyszaku król niezmiernie czule przyjmował. Jenerał zaś czcił w nim majestat pomazańca Bożego i bił przed nim pokłony.

Wiedzieliśmy, że na zamku teraz nie tajono się wcale z narzekaniami ca rewolucją, rewolucjonistów, na Kościuszkę nawet i patryotów. Rodzina króla zabiegała około Rosyan, ażeby dawne u nich łaski odzyskać, szerząc się z opowiadaniem ucisków, jakich doznawała, i wycierpianej doli.

Trudno było wyjść w ulicę, wszędzie panował żołnierz... oficerowie zalegali kawiarnie, rosyjskie warty przebiegały miasto... za lada co wieszano, ścinano, więziono i wysyłano, bo i smutek buntem się nazywał. Ludność spokoju i pociechy szukała po kościołach... te były pełne ciągle... a nieraz jęk i łkanie przerywały nabożeństwo...

Zaczawszy z domu wychodzić, o Jutę zapytać me śmiałem, tem mniej pójść do niej. — Niespokojny kręciłem się po mieście, przechodziłem pod jej oknami niby przypadkiem, sam się przed sobą tłumacząc... i kłamiąc konieczność tej drogi.

Jednego dnia, gdym tak błądził, pochwyił mię za rękę Michał, narzeczony Juty. Biedny chłopak zmieniony był bardzo, i w twarzy jego malował się dzie- cięcy, nieposkramiany smutek i ból. Przywitałem gozmieszany.

— Mój panie poruczniku, rzekł, jeśli go mogę prosić... niech pan ze mną pójdzie do panny Juty.

Zdziwiłem się niezmiernie temu żądaniu.

— Proszę pana, dodał Michał — od tej nieszczęśliwej Pragi już zupełnie straciła zdrowie i ochotę do życia. Nie ma na to rady, siedzi, płacze albo psalmy czyta. Sprowadziłem doktora, powiada, że chora, że bardzo źle jest. Niechby się choć rozerwała. Ja, choć Bóg widzi kocham pannę Jutę, ale ja jestem prosty człowiek, ani powiedzieć, ani pocieszyć jej nie potrafię. Bywało z panem całemi godzinami rozprawiła. Teraz sama jedna siedzi w oknie i męczy się. Chodź pan do niej.

Ciągnął mnie za rękę.

— Najchętniejbym poszedł, panie Michale, rzekłem, lecz ona sama może sobie tego nie życzy. Rozumiesz to, że są w życiu chwile, gdy człowiek chce i potrzebuje być sam.

— Jakżeż nie — odparł Michał, a no dosyć tej samotności. Już i doktor mówił, że potrzeba rozrywki. A jaka tu teraz rozrywka, kiedy nie można nosa wytknąć, żebyś Moskala nies potkał.

Spuścił biedak głowę.

— Chodź pan, powtórzył — ja to się tam pójść boję, ale ona pana lubiła. Ja nie jestem edukowany, ze mną nie ma co pogadać chyba z rzemiosła a tego ona nie lubi.

Zmieszany szedłem za Michałem, którego dobre serce szukało we mnie lekarstwa dla tej, którą kochało.. Michał miał klucz od czeladniej izby, weszliśmy więc nie pukając... poprzedził mnie on i oznajmił.

Słyszałem zdziwienie, z jakim Juta przyjęła to oznajmienie narzeczonego, który jej tłumaczył, że mnie spotkał i przyprowadził.

Wszedłem więc. Juta siedziała czarno ubrana w oknie. Twarz odsłoniła mi teraz dojrzeć strasznej, groźnej zmiany rysów, która zwiastowała niszczącą chorobę. Oczy miała wpadłe a gorączkowo świecące, na twarzy dwie ciemne plamy, usta blade..

uśmiech nawet, którym mnie przywitała, był smutny. Michał był rozradowany widząc, że się przecież trochę ożywiła.

Podawała mu rękę dziękując.

— Widzisz pan, rzekła, jaki to dobry mój Michał, zrozumiał to, że o wasze zdrowie była niespokojna i nic wziął mi tego za złe. Nasza przyjaźń nie jest dlań podejrzaną, bo on sam jest zacny i poczciwy.

Michał aż w rękę ją pocałował, nie znajdując wyrazów na podziękowanie, łzy mu się w oczach kręciły. Juta udawała wesołą.

— Onby mnie chciał rozerwać i dawny mój humor i spokój mi przywrócić, ale dziś — jakże to może być... Polakiem będąc... rozśmiać się niepodobna, trupy na Pradze w oczach stoją. Trąbka i bęben moskiewski odzywa się z ulicy... naszych kochanych nie ma. Śpią w mogiłach albo jęczą w więzieniach...

Spuściła głowę.

— O ciężkie życie nasze! dodała.

Michał także chciał się do rozmowy przyczynić.

— Już ja i mówić nie chcę, co po mieście gadają, boć to nie może być, szepnął... Króla, słyszę, koniecznie chcą ztąd wywieść, a gdy jego nie będzie, miasto wyrzną...

— W spokojny czas na bezbronnych rzucić się nie mogą, rzekłem...

— Dla czego? spytała Juta — niepokój sami wywołać mogą, gdy im będzie potrzebny... Wszystko możliwe. Warszawa raz wybiła się z ich jarzma, zechcą może osłabić ją, aby im to już drugi raz nie groziło...

— A! nie, zawołałem — są dosyć mocni, by nas osłabłych się nie lękać...

Z dziwną delikatnością Michał pod pozorem zajrzenia do czeladzi wyszedł do bocznej izby, zostawując nas samych...

Juta spojrzała za nim z wdzięcznością i prawie rozrzewnieniem. Łzy się jej zakręciły w oczach.

— W nieszczęściu nawet można mieć szczęścia trochę, odezwała się — mogłam w tym człowieku nieznanym znaleźć prześladowcę, znalazłam przyjaciela...

Zniżyła głos...

— Biedny chłopak marzy, iż przebolawszy wyzdrowieję; ja dobrze czuję, że nie... nie mam w sobie sił do życia... trzeba umierać... umrę spokojni...

Ostatnie słowa były prawie niedosłyszonym szmerem... Podniosła głowę — A wy? cóż wy myślicie z sobą?

— Wrócę do rodziców — pójdę na rolę, zakopię się w domu, odpowiedziałem...

— A! nie, przerwała mi — jakto? zwątpiliście o Polsce? o Ojczyźnie? o przyszłości? Mnie to wolno, bo ja jej nie zobaczę odrodzona i szczęśliwszą — wam, nie! Mówią, że człowiek w chorobie ma czasem sny i widzenia prorocze... mnie się też zdaje, jakbym przyszłość widziała!... Długie boje! długie boje! Jeszcze nie jeden niż będzie Warszawa niewolnica jak dziś i wolna jak była wczoraj! Wy żołnierzem jesteście... wy służyć możecie Polsce... A! nie!! byłżeby Bog, sprawiedliwość na ziemi, gdybyśmy my upadli złamani?... A! nie, pokuta przyjdzie... ale i koniec pokuty...

— Bądźcie pewni, odpowiedziałem, że ile razy ojczyzna wezwie — ja stanę... lecz będzież komu wzywać i prowadzić?

Łzy się nam kręciły w oczach...

Mówiliśmy po cichu o wszystkim, zwróciłem umyślnie rozmowę nasza na ludzi, na różne sprawy, aby spełnić to, co chciał Michał, aby rozerwać Jutę i odżywić ją nieco.

Próżne to jednak było staranie... na chwilę weselsza wpadała znowu w zamyślenie i łzy się jej w

oczach kręciły.

— Widzicie, odezwała się w końcu, gdym się żegnał, aby odejść, macie pozwolenie od tego poczciwego Michała... przyjdźcie tu czasem... dopóki nie wyjedziecie. Żal mi tego Michała, któremu tylko troskę przyniosłam... będzie mnie musiał pochować narzeczoną i pożałuje zawiedzionych nadziei... Nim się skończy żałoba, i życie z nią się zakończy.

Nie wiedziałem, jak ją z tych smutnych myśli wyprowadzić, sam też nie weselszym będąc; wyszedłem jak oblekany. Michał mnie jeszcze w progu pożegnał, przypominając, ażebym czasem Jutę odwiedził.

Musiałem długo chodzić po zimnie i rozbijać się w ulicach opustoszałych, nim oprzytomniawszy powróciłem do domu. — Obraz chorej tej stał mi przed oczyma...

Nazajutrz po bezsennej nocy... zwlokłem się, nie mogąc wytrzymać w mieszkaniu; ruch był dla mnie potrzebą, i lekarstwem. Zdziwiłem się niezmiernie zastawszy ulice, szczególniej około zamku pełne natłoczonego ludu; nie mogłem zrozumieć, co się stało... Moskiewskie warty patrzyły, pod bronią stojąc, na te milczące gromady, które opasywały zamek do koła.

Były to ostatnie dni grudnia, święta przeszły nie postrzeżone, ciche, modlono się tylko po kościołach... Spytałem stojących koło mnie mieszczan... co to znaczyć miało...

— Króla wywożą — szepnął mi — a jak jego nie stanie, zrobią, z miastem, co zechcą... wojska już nie ma, my bezbronni, ostatnie karabiny i szable po dumach pozabierali.

W dziedzińcu zamkowym istotnie widać było powozy przygotowane, ale niezaprężone... Ruch panował na wschodach i w bramie. Lud się ku nim cisnął. Nie było w nim nigdy miłości wielkiej dla króla, ale z nim korona, Rzeczpospolita, sama idea Polski — zabraną być miała.

Czuli wszyscy instynktowo, że tracili ostatniego panującego, który jeszcze Polski królem miał jakieś prawo się nazywać, że po nim następowała niewola obca... owo straszne finis Poloniae, włożone w usta Kościuszce a zrodzone nie w jego sercu ale w głowach tych ludzi, co chcieli, ażeby Polska nie wstała z maciejowickiego pobojowiska.

Bliżej zanika stojący płukali, słysząc było jęki i wołania i wykrzyku

— Nie puścimy! niech po naszych trupach jedzie.

Niekiedy z okien zamkowych ukazywały się głowy dworzan i rodziny króla... Przez ścisk przedarł się jakiś generał rosyjski do zamku. Marszałek dworu Kicki wyszedł na wschody i poczuł namawiać lud, aby się rozszedł, że król dziś nie jedzie. Nic to nie pomogło... tłumy stały uparcie do nocy... ku wieczorowi zmniejszyło się nieco, bo patrole rozpędzać zaczęły, lecz garść została przy bramie na straży u powozów i bryk królewskich.

Nazajutrz i parę dni następnych powtórzyły się te same sceny. Być bardzo może, iż z otoczenia królewskiego osoby próbowały w ten sposób powstrzymać wyjazd nakazany i ocalić Poniatowskiego, lecz i miasto nappełniała obawa rzezi... o której ciągle chodziły wieści.

Rok nowy nie zmienił położenia... ani czuć było, że przyszedł — bo nie przyniósł z sobą żadnej nadziei.

W parę dni po nim tylko doboz z pachołkiem obchodził ulice i czytano wszędzie po rogach ogłoszenie Suworowa imieniem imperatorowej do mieszkańców, iż chociaż król wyjedzie ze stolicy, zaręcza się całość życia i majątków obywatelom Warszawy. — Wojsko próbowało rozpędzać z pod zamku tłumy... lecz siły użyć nie chciano...

Szóstego wieczorem felczer, który do mnie czasami przychodził, oznajmił mi, iż nazajutrz bądź co bądź król wyjechać musi, że przygotowania poczyniono i rozkaz imperatorowej przyszedł... aby go choć siłą porwać.

Do dnia nazajutrz byłem na nogach i kto mógł, też chciał być świadkiem ostatniego gwałtu..

Pomimo dnia mroźnego tysiące napelniały ulice... wszystko to przybite, martwe, milczące, ponure... Zdawało się być przygotowane powozy i furgony, Moskale kręciło się dosyć, nie dopuszczając bliżej ludu, który się parł milczący.

Długo staliśmy tak w oczekiwaniu, naostatek poruszyło się coś na zamku... na wschody wyległ tłum kobiet i mężczyzn, którzy żegnali króla. Stanisław August ukazał się odziany sobolową szubą, okrytą aksamitem zielonym, w czapce futrzanej, chustkę trzymał przy oczach... Kicki podtrzymywał go i pomagał wsiąść do karety, do której sam wskoczył za królem.. Do innych powozów udało się szczerze gronko ludzi, które zabrać mu z sobą dozwolono. Nikomu z rodziny jechać nie było wolno. Dwór i służba pozostająca, dla której król był aż nadto dobrym i pobłażającym, głośnym płaczem ryczała. — Na wschodach siostry króla, rodzina... pełno kobiet padały z płaczu i rozpaczy..

W chwili, gdy powóz miał ruszać, lud jęknął, mruczenie dziwne dało się słyszeć, król się wychylił, jakby coś chciał mówić do ludu... ale Moskal dodany do konwoju począł naglić i krzyczeć — Paszoł, a woźnice z miejsca ruszyli i król padł w głąb powozu...

Ścisk był taki w ulicach, iż cały ten szereg powozów jak orszak pogrzebowy musiał postępować krok za krokiem... Z obu stron przy powozach jechali oficerowie rosyjscy, nikomu więc przystąpić nie było wolno... Z ciekawością, dziwną zaglądano do karety, w której ostatni król jechał na wygnanie i śmierć... Błada, niegdyś piękna twarz jego, jakby woskową powleczone żółtością, nieruchoma... spoczywała w poduszkach... oczy patrzyły i nie wiedziały nic... jechał martwy... czuł, że nie wróci, że nie zobaczy nigdy tego teatru swych męczeństw i rozrywek... pełnego wspomnień zgrozy i smutku i chwilowych nasyceń i omamień.

Długo jeszcze po przeciągnięciu tego orszaku stały tłumy i ściagały go oczyma... i powoli ze spuszczonej głowy, milczący poczeli rozchodzić się wszyscy. — Stałem u kolumny Zygmunta, dzieląc z innymi uczucie bóleści dziwne, niewytłumaczone, dojmujące. Co potem miało nastąpić? — bezkrólewie... zagłada!... śmierć czy życie nowe...

Z tych myśli rozbudziło mnie westchnienie i powitanie...

Spojrzałem, przedemną stał człowiek, którego z z razu twarzy nie mogłem sobie przypomnieć; był to ten ksiądz, z którym spotkałem się na zamku owej nocy, gdy mnie Niesiołowski posłał, ażeby do ucieczki dopomagał, która przyjść nie mogła do skutku. Oczy miał zaczerwienione, patrzył ku Pradze. Po chwili ujął mnie za rękę.

— Pereunt felicia regna! - rzekł z cicha.

Są to, jak wiadomo, ostatnie wyrazy proroctwa dotyczące się Polski, przypisywanego Erykowi, pochodzącego jakoby z XII. wieku a często po rękopismach końca XVII. spotykanego.

— Ostatni król Rzeczypospolitej, dodał z westchnieniem. Nie powiem, jakim był królem, to pewna, że najniezwyklejszym dla siebie i najniezwyklejszym dla Polski, lecz jako po człowieku płacząc.

Ujął mnie pod rękę. — Chodź — rzekł, mam prawo wniknąć jeszcze na zamek królów, który jutro będzie kwaterą generała lub szpitalem... Jeszcze dziś na nim czuć majestat' Zygmunta i Władysława... jeszcze nie zatarte siady Sobieskich... chodź... Szliśmy...

Na zaniku zamęt był, jakby zeń wszystko wynieść i zabrać miano. W podwórzach, po wschodach stały paki i sprzęty, ludzie kręcili się na pół nieprzytomni. Od pokojów królewskich schodziły płacząc jeszcze pani Krakowska, Zamoyska, Grabowska, Mniszchowie... ponure i blade twarze... Ustąpiliśmy z drogi nieszczęściu i żalości...

Ksiądz prowadził mnie do sali audyencyjnej, która stała ze swymi popiersiami i portretami nie tknięta. Marmurowy biust cesarzowej Katarzyny uśmiechał się ruinie... Gabinet króla był otwarty... stał zarzucony pomietami papierami, rozsypanymi książkami, z których część sznurami była

powiązana... Na kanapce leżał mundur korpusu kadetów stary, który król często nosił. Na ścianie znać było miejsce, z którego zdjęto ulubiony królowi obrazek Magdaleny Battoniego.... Około kałamarza kilkanaście piór świadczyło, że w ostatniej chwili coś mu podpisywać kazano...

Wszystko to tragicznym obleczone było smutkiem. Tron w sali audyencyonalnej ktoś szarem płótnem narzucił jakby brudnym całunem...

Ksiądz wiódł mnie do sali portretów, które nietknięte wisiały szeregiem... Bolesławy, Mieczysławy, Jagiellonowie... a w końcu na ogromnym płótnie Bacciarellego król... z klepsydra w rękę, patrzący na chmurne niebo...

Cienie dawnych panów zdawały się patrzeć zdumione na osieroconą pustkę...

W bibliotece połowy książek brakło... paki stały niektóre nabite niemi, inne próżne. W pośrodku sławny ów posąg Voltaira, pomnik, który mu król, wielbiciel jego, wystawił, śmiał się szydersko, okrutnie nieszczęściu Polski, której zagłady witał powinszowaniami do Fryderyka Wielkiego.

W sali jadalnej wisiały jeszcze pastele Marteau, wystawujące gości obiadów czwartkowych, wesołe twarze współbiesiadników dowcipnych.

Razem z nami kilka osób jak my ciekawych, milczących, wylekłych pielgrzymowało po gmachu, w którym najcichszy krok się rozlegał szeroko.... Żegnaliśmy żarnik królów.... Za nami słyhać już było niecierpliwy chód i głośnie rozkazy rosyjskich generałów, którzy opatrywali spuścizna, śmiejąc się swobodnie z tego uroczystego smutku i ruiny. •

Sale sejmowe miały się zamknąć na zawsze... cień Rejtana został tu ostatni na straży cnoty narodowej.

— Chodźmy — rzekłem znużony i rozdrażniony tym widokiem, to siły odejmuje... pieścić się taka żalobą.... Zapomnijmy przeszłość, gotujmy przyszłość.

Ksiądz się uśmiechnął.

— Nie my, Bóg ją zgotuje — rzekł, a jaką będzie, On wie.... Chciałem, byście widzieli dziś jeszcze zamek i zapamiętali tę godzinę pogrzebową, jutro przyniesie inne widoki i myśli. Ścisnąłem jego rękę.... Małemi wschody spuściliśmy się w podwórze.... Tu wozy i furgony mające iść za królem ładowano jeszcze, niektóre już upakowane przychodziły z Łazienek; służba spiesznie kończyła przygotowania do swej podróży, niemal wesoło.

Ksiądz podniósł głowę i wskazał mi ganki, które wiodły do łoży królewskiej w kolegiacie św. Jana.

— I tędy, rzekł, nikt już chodzić nie będzie, któż wie, jakiego Boga nam czcić każą?

Ostatni raz może przeszedł je król, idąc Bogu dziękować za kwietniowe zwycięstwo, choć pełna, trwogi miał duszę.

Po kilku słowach rozstaliśmy się.

— Dokąd wy? zapytał mnie ksiądz.

— Na Litwę, do rodziny — a wy?

— Do klasztoru, który jest mi też rodzina. Niosę ze sobą spory zapas do rozmyślań na życie całe. Nie każdemu człowiekowi widzieć się dostało upadająca tysiącoletnią przeszłość.... Fuius Troes!

Rozstaliśmy się w bramie.... W ulicach rozchodziły się powoli gromady... szemrząc.... Zegar wybijały południe a dzwony wołały na Anioł pański... za dusze poległych w bojach...

Za Wisłą — gdzieś szlakiem ku Grodnu, gdzie ostatni rozbiór podpisał... jechał król otoczony strażą honorową... i — płakał.

Płakał całe życie... gdyby miał męztwo wylać trochę krwi, ileżby sobie był łez oszczędził!!

Powracając z pod zamku, zdawało mi się, że spotkał drugą twarz znajomą, która mi z oczów bardzo prędko znikła.... Nie miała ona czasu wrazić mi się bardzo w pamięć, dla tego pewnym nawet

niebyłem, czy mnie jakie podobieństwo nie złudziło.

Zdało mi się, że to był ów oficer Miller, którego spotkałem w refektarzu u Kapucynów w czasie posiedzenia patryotów klubistów i z którym tak nieprzyjemne miałem zajście. Tym razem przedstawił mi się on w jakimś dziwnym mundurze, mignął i zniknął. On to był czy nie on? nie byłem pewny, ale mi go przypomniał.... Odwróciwszy się razy parę, idąc zdało mi się jeszcze, że go spostrzegł na zakrętach ulic... idącego z wolna za mną, miałem to wszakże za przywidzenie i zapomniawszy o nim dostałem się do domu.

Tu pakowali się także Mańkiewiczowie i ja nie miałem nic innego do zrobienia, tylko tłumoczki posiągać i wybierać się z Warszawy.

Myśl o biednej chorej wstrzymywała mnie tylko.

Mańkiewicz, który był przywykł bardzo do swego szambusia, ofiarował mu na wsi u siebie mieszkanie i życie, starowina się, wahał jeszcze.... Nadto nawykł do bruku tego i sadził zapewne, że zawsze znajdzie przy kim do końca życia dworować. Było już ciemnowo, gdy do bramy wcześniej zamkniętej pukać zaczęto....

Mańkiewicz się uląkł, zaczęliśmy się śmiać z niego, gdy wszedł, chłopak przestraszony i oznajmił mi na ucho, że dwóch żołnierzy z oficerem pytają się o mnie.

Nie mogłem zrozumieć, co by to znaczyć miało, nie mówiąc jednak nic dziadkowi, wyszedłem do sieni. — Oficer właśnie się wdzierał do pokojów.

— Wy pan Syruć ? zapytał grubiańsko.

— Ja jestem...

— Stupajcie za mnoj!

Byłem tak spokojny w sumieniu, że się tem nie zatrwożyłem wcale: oświadczyłem gotowość towarzyszenia mu, ale zapytałem tylko, o co by chodziło?

Szydersko odpowiedział mi:

— Już to się o tem u jenerała Buxhöwdena dowiecie.

Buxhöwden był naówczas jenerałem komendantem miasta Warszawy.

Co on mógł mieć do mnie? — nie pojmowałem. Podano mi płaszcz; nie żegnając się nawet z Mańkiewiczami, do których za parę godzin spodziewałem się wrócić, poszedłem.

Oficer naprzód, dwaj żołnierze po bokach... Szliśmy do komendanta. Byłem widocznie aresztowanym.

Mimowolnie spotkanie z Millerem, nie wiedzieć dla czego, przyszło mi na myśl.

W pałacu, który komendant zajmował, tak było ludno, iż ledwie się dla nas miejsce znalazło. Zamiast wprost do jenerała zaprowadzono mnie do obszernej izby, w której podobnie jak ja pobranych różnych osób mnóstwo siedziało, stało i przechadzało się. Kilku księży, mieszczan kilku i wojskowych zastałem, znajomego nikogo.

Było już późno dosyć — siadłem na ławie blisko pieca, bo sala mało opalona była chłodna, ale i piec był wystygły... We drzwiach stojąca warta pilnowała nas.

W nocy już poczęto wyprowadzać towarzyszków moich, czekałem cierpliwie kolei.

Jednego z ostatnich wzięto i mnie przez korytarze do rodzaju kancelaryi, w której znalazłem na kanapie siedzącego z fajką i podkurczonemi pod siebie nogami jenerała. — U stołu przy nim dwaj urzędnicy czy sekretarze milcząc skrobali pióra. Jeden z nich począł szukać w papierach powtarzając moje nazwisko. Jenerał koso i dziko spojrział na mnie.

— Syruć?

— Tak jest...

— Poruczczyk pułku Działyńskiego? Potwierdziłem.

— Należał do rewolucyi?

— Nie przeczę, rzekłem, służyłem w wojsku, szedłem z pułkiem.

Zaczęto mi wyliczać bardzo szczegółowo wszystkie moje zbrodnie i zasługi.

— Przyjaciół Kilińskiego? ptaszek! zawołał generał... — Zmilczałem...

— Chodził po klubach, po Kapucynach... a bronił pana Kościuszkę...

Zmilczałem już dając mu się wygadać do syta... Pomruczawszy trochę, zapytał mnie — czy chcę służyć w wojsku imperatorowej Jejmości...

Bez namysłu odpowiedziałem, że nie mogę.

— Tak, jakby w rewolucyi, pod Kostiuszką toby pan służył, a jak pod feldmarszałem Suworowem to nie... bo pan Polak i patriota?

Milczałem nie chcąc go drażnić.

— Pan masz do wyboru, zawołał, albo do wojska w tym samym stopniu a to jest wielka łaska w p obiedonośnem służyć wojsku cesarskiemu, albo... na Sybir...

Miałem tyle odwagi, bo się we mnie zburzyło wszystko, że odpowiedział głośno...

— Na Syberyi jest już naszych tak wielu, panie generale, że wolę być z nimi niż iść do wojska, do którego się nie zdałem. Rękę mam strzaskaną, żołnierz już ze mnie nie będzie.

— Pozwat doktora! krzyknął generał. Natychmiast jeden z pisarzy zerwał się i wybiegł, ja stałem i czekałem... Drugi tymczasem spisywał pędząc protokół z tego, com mówił... Generał palił fajkę i herbatę popijał, kiedy niekiedy rzucił na mnie wzrokiem i mruczał.

— Choroszy młodziec!

Pochwała ta wcale mnie nie uradowała. W dobry kwadrana wsunęła się mała figurka, zaspana, czerwona, niepozorna, ocierająca nos ręką w niedostatku właściwszego narzędzia...

— Opatrz mu rękę — zawołał generał... Zmierzył mnie doktor oczyma i kazał się rozbierać... Chwilę to trwało... Kula i kartacz zostawiły mi po sobie tak widoczne ślady przejścia, iż najmniej wprawne oko dostrzedz je mogło z łatwością. Rękę tę mam wychudłą do dziś dnia i jakby przyschła od pierwszej rany... Z pilnością przypatrywał się jej doktor, kazał nią i palcami poruszać, wyciągnął, aż krzyknąłem z bólu, z czego się generał z satelitami rozśmiał... Rewizya była skończoną, doktor po łysej głowie się skrobał, usta wydał, kręcił niemi i nareszcie przystępując do stolika, rzekł po cichu — ku generałowi — Kiepska ręka!

— Bardzo? zapytał generał. Potwierdził to głową i ramionami.

— Widzisz, odezwał się prezydujący, pan doktor powiada, że ręka zdrowa... Kłamiesz pan porucznik, możesz służyć w wojsku imperatorowej, tylko — nie chcesz...

Nie odpowiedziałem już nic. Panowie ci śmiali się — było z czego. Doktor począł ziewać okrutnie, ogromną ręką czerwoną zatulając sobie usta.

— Ja nie jestem taki okrutny, rzekł generał, żebym zaraz słał na Sybir, ja tobie dam dni kilka do namysłu... Jak posiedzisz na chlebie i wodzie, może rozum przyjdzie... U nas służba honorowa i sławna!!

Na tem skończyło się śledztwo; na skinienie generała odprowadzono mnie ale tym razem do innej izby, w której znalazłem na słomie usypiających kilku jak ja nieszczęśliwych więźniów... Wyszukawszy sobie legowisko, położyłem się obok nich. Sen jednak nie brał wcale... i dopiero nad ranem zdrzemnąłem się. Zmiana warty i liczenie więźniów, których oficer noga kopiąc rachował, zbudziło mnie ze snu przerywanego. W kilka godzin potem żołnierze wnieśli z kociołkiem krupnik, którego sami nie dojedli, i dali nam po kawałku suchego chleba... Wstaliśmy wszyscy, lecz jeden tylko, który tu już siedział od dni dziesięciu, złakomił się na krupnik... Reszta gryzła chleb i popiła woda, która zamarzała w kącie... Spojrzeliśmy na siebie... Jeden Bernardyn, kilku mieszczan...

czeladnik, którego poznałem... i staruszek dosyć porządnie odziany składali naszą towarzystwo. Około południa zapalono trochę mokrem drzewem w piecu, które syczało długo i zgasło.

Dano nam jeszcze raz krupnik z kartoflami, położyliśmy się spać o mroku, bo światła żadnego nie było. Dojmujący mróz do kości nas przechodził.... W piecu możebyśmy byli mogli podpalić słomą" na której leżeliśmy, ale tej było nie wiele... a stanowiła i pościel i ogrzanie, bośmy się nią obwijali.

Noc jednak zesła snem głębokim, snem tak twardym, że staruszek ów już się z niego nie przebudził. Gdy żołnierze przyszedli z krupnikiem a on nie wstawał, poczęli go budzić, kopiąc nogami znowu; okazało się dopiero, że nie żył. Mróz przyspieszył zgon jego.

Pierwszym i najpilniejszym obowiązkiem stróżów naszych było natychmiast obrewidować kieszenie, zdjąć buty, sygnet z palca, porozpinać go do koszuli i zostawić tylko w bieliźnie i wierzchnim przyodziewku. Odbyło się to z taką zręcznością, pośpiechem, artystyczną umiejętnością i wprawą, że nimeśmy się obejrżeli — był gotów.

Teraz już mógł przyjść lekarz dla poświadczenia śmierci i pisarz dla protokołu. Znać wszakże spuścizna po zmarłym tak spiesźnie przywłaszczona urzędownie komu innemu należeć musiała, gdyż pisarz się oburzył niezmiernie na odarcie trupa — i żołnierze uniewiniając siebie nas jako winowajców wskazali.

Jednakże na hałaśliwy krzyk oburzenia nasz i je- dnogłośnie wskazanie winowajców żołnierze musieli parlamentować. Jeden z nich milcząc oddał sygnet, drugi jakąś część pieniędzy, a gdy pisarz o zegarek się gwałtownie upominał, zwrócono i ten, oderwawszy łańcuszek. Reszta rzeczy została przy rabusiach. Pod wieczór wyniesiono ciało. Żołnierze się nam odgrażali, ale ich nazajutrz zmieniono.

Takie były pierwsze dni mojego więzienia. Zamiast kilku danych mi do namysłu upłynął miesiąc a nikt się nie zgłaszał do mnie ni po mnie. Wreszcie zawezwany zostałem z kolei" po innych więźniach do kancelaryi.

Jakież było zdziwienie moje, gdy tu zapytano mnie — za co byłem wzięty i trzymany?

Odpowiedziałem nazwiskiem mojem i tłumaczyłem się nieświadomością zupełny przyczyny uwięzienia. — Zaczęto szukać w papierach. — Nigdzie nie można było nic znaleźć. Szczęściem, chociaż się już wszyscy zmienili w kancelaryi, doktor mnie sobie przypomniał i opowiedział, co pamiętał, że miał do służby nic zdatną rękę.

Znowu tedy czukano po papierach.

Doktor wyszedł; jeden z pisarzów, wyciągnąwszy się jakby po długim śnie, usunął się także, został niepoczesny skrybent w mundurze...

Ten wstał zaraz ze stołka i żywo podszedł ku mnie.

— Słuchaj, pan poruczczyk, rzekł cicho — może ty masz trochę pieniędzy, ja ciebie uwolnię... Słowo daję, ja honorowy człowiek, uwolnię, a nie... to pójdiesz w Sybir.

Miałem przechowanych pięć dukatów w złocie — ostatni mój ratunek na wypadek wywiezienia — cóż miałem począć, dobytek je,

— To ostatnie — rzekłem — i oddałem mu je.

— Mało! odpowiedział przeliczywszy.

— Nie mam więcej — rzekłem spokojnie. Pomyślał chwilę...

— Czort cię bierz! zaklnij się na Boga, że więcej nie masz.

— Mogę przysiąc — odezwałem się — nie mam ani grosza.

Poklepał mnie po ramieniu.

— Niechaj tak będzie! A milczeć! — rozumiesz !..

Siadł tedy prędko coś pisać, zasypał piaskiem, zadzwonił, wszedł żołnierz... oddał mu papier i

usiadł za stołem.

Jakim sposobem w godzinę później znalazłem się w ulicy, wolnym w istocie z papierem pod pieczęcią, nakazującym mi we dwadzieścia cztery godzin wyjeżdżać z miasta na prężnie żyłiszcze (miejsce dawnego zamieszkania), z tegoby mi trudno się było wytłumaczyć.

Wprost ztamtąd pobiegłem na Miodowa.

Mańkiewiczów nie było już ani śladu, moich tłumoczków także... stróż mi nic o nich powiedzieć nie umiał. Zostałem więc na ulicy, bez mieszkania, bez grosza, głodny, źle odziany, zupełnie nie wiedząc, co pocznę...

Szukając w głowie środków ratunku — musiałem pójść na Stare miasto...

Ciemno już było, gdym zapukał do znajomych mi drzwi na drugim piętrze. Długo mi nic nie odpowiadało. Naostatek powolny krok zbliżył się ku nim, okienko się odemknęło — poznałem głowę poczciwego Michała, który krzyknął z podziwienia zobaczywszy mnie i drzwi co najprędzej otworzył.

Rzucił mi się na szyję płacząc.

Nie śmiałem go pytać o nic. Biedne chłopczysko blade było i wyzółkłe.

— Co się u was dzieje? zawołałem wchodząc po cichu.

Załamał ręce z rozpacza.

— Panie — krzyknął z wyrazem prawdziwej boleści i jękiem — panie, już jej nie ma... już nie ma tej świętej panny mojej... Tydzień, jakeśmy ją pochowali.

Sparłem się o ścianę nie mogąc iść dalej — zdało mi się, że serce pęknie...

— A! do ostatniej godziny pytała się o was, do- bra siostra... posyłała mnie, chodziłem po ratuszach i więzieniach, nigdzie znaleźć nie mogąc. Powiedzieli nam, że was na Sybir wzięto. Jak ona płakała za wami a jak się modliła... ot — i tak — wyszła dusza ze łzami.

Dziewięć dni temu wieczorem przyprowaździłem księdza wikarego od Panny Maryi... dowiedźcie się do niego... on ja, spowiadał, jemu ostatnia wolę swoja oddała... Nazajutrz rano wstała spokojniejsza, usiadła w oknie, uśmiechnęła mi się i dobrom słowem pocieszyła... Siedziała tak do wieczora... a gdy Barbara przysłała dopomódz jej przejść do łóżka, bo o swojej sile chodzić już nie mogła, znalazła ja już nie żywa.

Michał płakał.

— Gdybyś ja był widział na katafalku, jakeśmy ja obłożyli kwiatami do koła... Wyglądała gdyby śpiąca, uśmiechnięta i szczęśliwa... gdyby święta w raj...

Znów mu łzy przerwały mowę... Poszliśmy do jej pokoju. Stało tam wszystko jak było, bo Michał tknąc się nic nie ważył... krzesło w murze pod oknem, robótka... rozłożony Tomasz a Kempis i Ołtarzyk złoty...

Nie mogłem płakać z Michałem — łez mi zabrakło — późno w noc po rozmowie zrywanej ciągle i znowu powracającej do zmarłej nam drogiej chciałem odejść nie wiedząc dokąd... Michał zabrał mnie z sobą na górę... Powiedziałem mu, w jakim się znalazłem położeniu... Anim wątpił, że mi pomoże, abym się miał o czym dostać do domu; nie zawiodłem się też, bo mi daleko chciał dać więcej, niżeli potrzebowałem... Nazajutrz poszliśmy do staruszka wikarego u Panny Maryi... Przypomniawszy Jutę, jakkolwiek obyty ze śmiercią, nawykły do tych widoków chwil ostatnich — stary się rozrzewnił... — Nie spodziewałem się spełnić jej woli — odezwał się, bom Waćpana widzieć też nie spodziewał tak rychło, a moje dni policzone... Dzięki Bogu za to, że mogę oddać mu jej pożegnanie.

Poszedł do stolika, dobył z niego zawiniętą w papier obrączkę... i milcząc mi ją oddał. — Włożyłem na palec" — rzekł Syruc smutnie, podnosząc rękę i pokazując nam pierścionek — "a

odtąd zaślubiwszy umarłą, nie zrzuciłem go nigdy — wiernym mu będę do śmierci... "

Takiem było opowiadanie Syrucia, którego dalszy ciąg życia poprowadził na nowe boje; służył on potem w legionach, bił się pod Napoleonem, wrócił do wskrzeszonej owej Polski, co tak wielkie obudziła nadzieje spełzłe na niczem... Wkrótce potem podał się do dymisji i zamieszkał na wsi.

Ze wspomnień swych wiele pewnie równie zajmujących mógł wydobyć powieści, przecież jedną tę epokę Kościuszkowską zdawał się na starość pamiętać, bo w niej jednej żył młodzieńczym wspomnieniem.